

RES HUMANA

Humanizm
Racjonalizm
Kultura świecka

2/201

2026 r.

DWUMIESIĘCZNIK • ISSN 0867-847X Indeks 33426X • Numer 2 (201) 2026 Rok wyd. XXXV • Cena 18,00 zł



Przemysław GRUDZIŃSKI:

Rdzeniem trumpizmu
jest nowy feudalizm.

Czytamy od s. 4

Także analiza b. ambasadora RP w Iranie Juliusza Gojło

POLITYKA

– Mirosław Karwat
o jej wykoślawionych wzorcach

GOSPODARKA POLSKA W NIESPOKOJNYCH CZASACH

Wiesław Gumuła,
Konrad Prandeki,
Juliusz Gardawski

POEZJA

Grzegorza Walczaka zmagania
z Bogiem

POST SCRIPTA

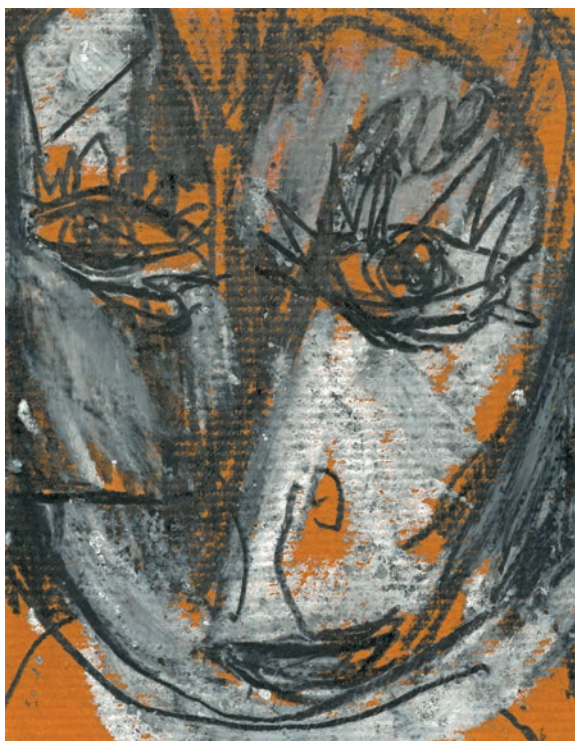
Jerzy J. Wiatr o Adamie Schaffie,
a Renata Mieñkowska-Norkiene
o feminitywach

Edukacja, humanistyka
i ich problemy
ze współczesnością

Forum myśli nieobojętnych

Recenzje

MAREK CHACZYK W KOLORZE





Mirosław Chałubiński
Zastępca redaktora naczelnego

Od redaktora

Współczesny świat narzuca nieuchronnie autorom i czytelnikom jego percepcję (mam na myśli ich zainteresowania, pasje i obawy). Nie inaczej jest w przypadku „Res Humana”.

Czas stał się wyjątkowo *gęsty*, a od ukazania się pierwszego w roku 2026 numeru naszego pisma na świecie wydarzyło się bardzo wiele. Władzę utracił Nicolás Maduro w Wenezueli, rozpoczęła się wojna Izraela i USA z Iranem na Bliskim Wschodzie, trwają walki zbrojne na froncie ukraińsko-rosyjskim. Prawdopodobna jest też możliwość rozszerzenia tych konfliktów na sąsiedzkie państwa, a nawet całe kontynenty.

Wydarzenia te łączy nie tylko ich nieprzewidywalność i brutalność, lecz również pierwszorzędny zazwyczaj w nich udział prezydenta USA Donalda Trumpa. Nie dziwi zatem, że najbardziej rozbudowany blok tego numeru nosi tytuł *Świat według Trumpa*. W dziale tym znajdziemy jednak także omówienia i analizy polskich problemów polityczno-gospodarczych. Nasilają się konflikty na linii prezydent – rząd, bardzo źle wygląda ich kohabitacja. Odnosi się wrażenie, że ostra kampania wyborcza już się zaczęła, a przecież wybory do parlamentu odbędą się dopiero jesienią 2027 roku.

Zagadnieniom tym – dodać należy – poświęcona była konferencja zorganizowana przez redakcję „Res Humana” 11 lutego br. Część wygłoszonych referatów jest publikowana w tym numerze.

Zauważmy też, że obecność problemów polskich i międzynarodowych nie wyczerpuje całości problematyki tego numeru. Znajdziemy tam kwestie związane z historią ideową PPS, jej aktualnością i feminizmem (dział *Tradycje PPS*). Do dziedziny kultury zaliczymy zaś dwugłos P. Bytniewskiego i M. Kuszyk-Bytniewskiej o problemach edukacji, *Świadectwa* (część II) T. Dziedzica, *Forum Myśli Nieobojętnych* oraz *Poezje* G. Walczaka, dobrze już czytelnikom znanego z naszych łamów.

Mirosław Chałubiński

RADA REDAKCYJNA

Danuta WANIEK
Jerzy J. WIATR –
przewodniczący Rady
Andrzej ŻOR

REDAKCJA

Mirosław
CHAŁUBIŃSKI
– z-ca redaktora
naczelnego
J. Paweł GIEORGICA
Renata MIEŃKOWSKA-
-NORKIENE
Jerzy PAPUGA
Zdzisław
A. RACZYŃSKI
Anna SIKORSKA-
-MICHALAK
Robert SMOLEŃ –
redaktor naczelny
Piotr STEFANIUK
Janusz TERMER

ADRES REDAKCJI

00-102 Warszawa,
ul. Marszałkowska 115
lok. 369A,
tel. 570 398 363,
e-mail: redakcja@
reshumana.pl
www.reshumana.pl

WYDAWCA

Fundacja Naukowa
im. Andrzeja Frycza
Modrzewskiego –
Centrum Analiz
Strategicznych

Zdjęcia autorów:

Paweł Wójcik lub
archiwum Redakcji.
Zdjęcie na okładce
z prywatnych
zbiorów Przemysława
Grudzińskiego,
po obróbce
z zastosowaniem AI.

Druk w Drukarni ACAD
w Józefowie

Spis treści

ŚWIAT WEDŁUG TRUMPA

Przemysław GRUDZIŃSKI – Nowy międzynarodowy feudalizm/4
Juliusz GOJŁO – Iluzje wojny chirurgicznej: czy opcje militarne
rozwiązują problemy polityczne?/9
Wiesław GUMUŁA – Gospodarka polska w połowie trzeciej dekady
(i co dalej?)/13
Konrad PRANDECKI – Polska i Unia Europejska wobec globalnych
przemian/17
Juliusz GARDAWSKI – Kapitalizm patchworkowy/22

POLITYKA

Mirosław KARWAT – Bariery postępu: wykoślawione wzorce polityki/29

TRADYCJE PPS

Mirosław CHAŁUBIŃSKI – Kilka uwag o aktualności myśli społeczno-
-politycznej Polskiej Partii Socjalistycznej. Konteksty i ewolucje/37
Danuta WANIEK – One były pierwsze .../41

RYSUNEK Jan STĘPIEŃ – Filuterie ludziki/48

POST SCRIPTA

Jerzy J. WIATR – Marksizm Adama Schaffa: ciągłość i zmiana/50
Renata MIEŃKOWSKA-NORKIENE – Odpowiednie dać rzeczy słowo?
Tylko, jeśli rzecz jest „męska”/52

NAUKA I EDUKACJA

Paweł BYTNIEWSKI, Mariola KUSZYK-BYTNIEWSKA –
Edukacja, humanistyka i ich problemy ze współczesnością – dwugłos/60

ŚWIADECTWA

Tomasz DZIEDZIC – Akademicki Klub Turystyczny. Uwarunkowania
i efekty fenomenu (część 2)/66
Profesor Dionizy Tanalski – filozof dialogu/75

RYSUNEK Marek CHACZYK – Twarze inne/76

FORUM MYŚLI NIEOBOJĘTNYCH

Andrzej ŻOR – Tak myślę/77
Andrzej MAŁKIEWICZ – My, z prowincji? (gościnnie)/87
Janusz TERMER – Marginesy/91
Jerzy PAPUGA – Wiejska 4/6/8/96
Adam KOMOROWSKI – Na odchodne/98

POEZJA

Grzegorz WALCZAK – Gdziekolwiek jest, jeśliś jest/100

RECENZJE

Zdzisław RACZYŃSKI – Opowieść o Albanii/109
Andrzej ŻOR – Kłopot z historią/111
Andrzej DĘBKOWSKI – Między kłozardem a Marią Szaloną/115
Jerzy PAPUGA – Książka będąca antidotum/119



Dziękujemy za wsparcie
Fundacji Amicus Europae

Pesymistyczna prognoza



Jerzy J. WIATR

Od czterech już lat trwa agresywna wojna wydana Ukrainie przez Rosję – najdłuższa, zarazem najbardziej krwawa wojna w Europie po drugiej wojnie światowej. Coraz mniej prawdopodobne wydaje się jej zakończenie jednoznacznym zwycięstwem którejs z stron. Rosji nie udało się odnieść zwycięstwa militarnego ani też złamać ukraińskiej woli walki. Ukrainie – wbrew zapowiedziom jej przywódcy – nie udało się odzyskać Krymu i utraconych obszarów na lewym brzegu Dniepru. Najbardziej prawdopodobny scenariusz to zamrożenie zbrojnego konfliktu na dziesięciolecie. Tak skończyła się w 1953 roku wojna koreańska i w 1974 roku zbrojna konfrontacja turecko-grecka wokół Cypru. Trzeba jednak wziąć pod uwagę szczególny charakter tej wojny wynikający z tego, że agresorem jest supermocarstwo, stały członek Rady Bezpieczeństwa ONZ. Oznacza to, że reperkusje tej wojny sięgają znacznie głębiej niż tamtych konfliktów.

Putin i jego otoczenie popełnili błąd strategiczny, licząc na błyskawiczne zwycięstwo i na bierność Zachodu. W tej drugiej sprawie być może kierowali się swoistym symetryzmem. Skoro Rosja pozostała bierna w 2003 roku, gdy Stany Zjednoczone zbrojnie zaatakowały Irak, zapewne liczone na podobne zachowanie USA, gdy Rosja zdecydowała się zaatakować Ukrainę. Jeśli tak kalkulowano, to popełniono fundamentalny błąd w ocenie sytuacji, w tym psychologicznych reakcji zachodniego świata.

Pod jednym jednak względem strategii kremlowscy się nie mylili. Stany Zjednoczone – zwłaszcza pod obecnym kierownictwem – traktują stosunki międzynarodowe jako grę supermocarstw, z których każde ma wolną rękę w narzucaniu swej woli państwom należącym do jego „strefy wpływów”. Trump domaga się Grenlandii, tak jak Putin Donbasu. Różnica zasadnicza polega na tym, że w USA działają (wciąż jeszcze!) mechanizmy demokratyczne, zdolne poskromić agresywność prezydenta. To jedyna iskierka nadziei na tym pesymistycznym obrazie współczesnego świata.

ZAPRASZAMY

do czytania i prenumeraty „Res Humana”

W 2026 roku koszt prenumeraty pozostaje niezmienny, tj. 90,00 zł plus opłaty pocztowe – w dwóch wariantach do Państwa wyboru: 33,60 zł lub listem poleconym 49,80 zł.

Zamówienie najprościej złożyć poprzez wpłatę należności na NOWE KONTO Wydawcy: Fundacja Naukowa A. Frycza Modrzewskiego – Centrum Analiz Strategicznych, nr 52 1020 5561 0000 3202 3066 0553.

Mamy nadzieję, że dołączą Państwo do grona naszych stałych Czytelników.

Redakcja

ŚWIAT WEDŁUG TRUMPA

Nowy międzynarodowy feudalizm



Przemysław GRUDZIŃSKI

Pałupka Europy – dopóki wasal uważa, że nie ma innej opcji niż pozostawanie dalej wasalem swojego suzerena¹, dopóty nie zrzuci okowów zależności.

Zachód nie był na Trumpa 2.0 (sformułowanie profesora Grzegorza Kołodki) przygotowany. Nie może zrozumieć skomplikowanej sytuacji, w której się nagle znalazł, ale godzi się z „nielogicznym, nieracjonalnym, nieprzewidywalnym” Donaldem Trumpem i trumpizmem. Traktuje tę prezydenturę jako aberrację i rezygnuje „na chwilę” z wyznawanych zasad i własnych interesów. Gra w grę pod nazwą *przeczekanie Trumpa*. Wprawdzie dotychczasowy świat rozsypuje się na naszych oczach, ale trwa wiara, że atlantycka wspólnota bezpieczeństwa i harmonia polityczno-gospodarcza odrodzi się z popiołów – po wymazaniu Trumpa z historii.

Globalne Południe nie jest zaskoczone; nowy *modus operandi* amerykańskiego mocarstwa, praktykującego od dawna gry o sumie zerowej w Trzecim Świecie, jest postrzegany przez pryzmat kontynuacji kolonializmu i imperializmu na sterydach.

Polityka Trumpa wyciąga wnioski z już ukształtowanej rzeczywistości, odzwierciedla i konsoliduje aktualny stan rzeczy w gospodarce i w polityce, bezwzględnie toruje drogę dalszym zmianom i przyspiesza. Warunki temu sprzyjają: w XXI wieku nastąpiła totalna fuzja władzy politycznej z kapitałem korporacji, a zwłaszcza monopoli z Doliny Krzemowej. Bogactwo jest skupione w rękach ludzi pokroju Elona Muska i garstki stopionych ze sobą oligarchów i polityków, którzy dysponują nowymi technologicznymi instrumentami do penetracji ludzkich umysłów i sprawowania kontroli nad zachowaniem mas. Tej generacji kapitanów gospodarki marzy się pokierowanie sprawami tego świata. W ich perspektywie demokracja jest tylko fasadą, ponieważ prawdziwa gra o kształt polityki – w ich rozumieniu o nieograniczony rozwój zyskownych technologii – nie toczy się w lokalach wyborczych. Świat

¹ Suzeren to najwyższy władca feudalny, najwyższy suweren/senior w hierarchii lennej. Nie będąc niczym wasalem, sprawuje niezależną suwerenną władzę.

przyszłości jest zapowiadany i organizowany nie przez politycznych wizjonerów, takich jak prezydenci Wilson, Roosevelt i Kennedy, lecz przez guru internetu i sztucznej inteligencji. Będzie to świat *szczęśliwych* ludzi, znany z ostrzegawczych wizji Huxleya i Orwella.

Zarzut stawiany przez liberalny establishment Trumpowi i jego ekipie dotyczy implementowania polityki sztucznego regresu, czyli *zwrotu do historii*, do dziewiętnastowiecznej polityki siły ponad prawem i do polityki opartej na równowadze sił, do koncertu mocarstw, dzielenia świata na sfery wpływów. W ich argumentacji taka polityka jest szkodliwa i prowadzi do zastąpienia liberalnego porządku światowego, sprzyjającego stabilności i gospodarce rynkowej, przez układ międzynarodowy bez ustalonych reguł i ograniczeń dla agresywnych mocarstw (Chiny, Rosja) i państw narodowych.

Jednak ten idealizowany *Pax Americana* już od dawna nie funkcjonuje. Trump zaledwie dotknął jego splekanej fasady i od razu posypały się całe struktury, aż do fundamentów. Spadła w jednym momencie zasłona hipokryzji dotyczącej standardów państwa prawnego, demokracji, praw człowieka, humanitaryzmu, strategicznej stabilności. Jak inaczej niż wyczerpaniem tego systemu można by wyjaśnić, że Trump dla zrujnowania korzystnego dla całego Zachodu liberalnego porządku potrzebował tylko kilkunastu miesięcy?

W istocie rzeczy korupcja polityczna od dawna osłabiała żywotność tego świata (patrz: zasady finansowania kampanii wyborczej w USA). Silni na Zachodzie wykorzystywali, gdy tylko mogli, słabych: pracowników najemnych, gasterbeiterów-migrantów, robotników i klasę średnią. Silni eksploatowali dawne kolonie, zdominowali instytucje międzynarodowe i łamali prawo międzynarodowe. System nazywany liberalnym porządkiem światowym, ograniczający się do członków zachodniego klubu, był systemem opierającym się być może na zasadach, ale nie na uniwersalnych normach prawa międzynarodowego, którego źródłem jest wyłącznie ONZ. Dla pozostałych państw liberalny porządek światowy był w istocie gwarantem nierówności. Drastycznym przykładem ignorowania NZ i ich agend oraz międzynarodowych trybunałów jest Gaza, która (już w czasach prezydentury Joe Bidena) stała się symbolem odejścia przez „awangardę” cywilizacji od stosowania się do reguł prawa międzynarodowego i symbolem upadku jej pretensji do wyższości moralnej.

To, co oryginalne w systemie Trumpa, to powiązanie gospodarki zaawansowanego kapitalizmu z zasadami rządzącymi systemem feudalnym. Suzeren i jego lennicy – Stany Zjednoczone i zwasalizowana reszta świata – to jest wizja Trumpa.

Dobrym przykładem jest tu ściąganie lenna – czyli opłat przez amerykańskie korporacje cyfrowe – z lenników z całego świata. Reszta świata jest wasalem, państwa i obywatele tego podporządkowanego świata są urzeczowionymi konsumentami i płatnikami. Poszczególne państwa to tylko dzierżawcy na łasce władcy feudalnego, którzy splecają słoną daninę za niepewną opiekę ze strony suzerena. Suzeren nie jest oświeconym władcą, łatwo się irtuje i przemienia się w emblematycznego *Raubrittera* (rycerza rabusia).

Polityka Trumpa zmierza ku prywatyzacji państwa, polityki i dyplomacji. Państwem i dyplomacją kieruje szeroko rozumiana Rodzina i Przyjaciele

Trumpa. W trakcie styczniowego Forum w Davos Trump zainauguował Radę Pokoju, która w istocie jest zapowiedzią prywatyzacji uniwersalnej Organizacji Narodów Zjednoczonych. Struktura Rady jest oparta na sieci osób i prywatnych interesów. Celem tej operacji nie jest rekonstrukcja Gazy jako miejsca do życia dla Palestyńczyków, ale generowanie zysku z pozyskanej nieruchomości. Przy okazji Trump powiedział: „w głębi duszy jestem specjalistą od nieruchomości” i dalej w tym duchu o Gazie „spójrzcie na tę piękną działkę” (Davos, 22 stycznia 2026 r.).

Świat zachodni przygląda się inicjatywie Trumpa częściowo z aprobatą, częściowo z obojętnością, częściowo z mniej lub bardziej ukrywaną antypatią. Ale na rzeczywisty opór nie ma ani chęci, ani zapotrzebowania. I właśnie ten brak stanowczego „nie” wobec dyktatu suzerena odzwierciedla obecny lęk i bezwolność w polityce Zachodu, który od dawna już nie wierzy w multilateralizm, w zasady pokojowej współpracy opartej na prawie międzynarodowym, współpracy zorganizowanej przez sam Zachód po II wojnie światowej w 1945 roku i odnowionej w Paryskiej Karcie Nowej Europy po zimnej wojnie w roku 1990. Tym razem cywilizacja i pretensje Zachodu poległy bez wojny, ale nie bez przyczyny. A jedną z przyczyn jest liczenie na zachowanie resztek przywilejów, wciąż istniejących i zapewnianych lennikom przez suzerena.

Prezydent Trump nie jest przypadkiem, infantylnym i szkodliwym odstępstwem. Trumpizm nie jest przejściowy, nie można go przecze-kać. Znaczna część dziejów kształtującej się stopniowo mocarstwo-wości Stanów Zjednoczonych jest historią niedobrych precedensów, interwencji, dywersji, lekceważenia prawa międzynarodowego i konsekwentnych działań politycznych na rzecz powiększenia obszarów dominacji. Obecny etap tej ewolucji był zapowiedziany. Trumpizm jest kolejnym ogniwem w historii amerykańskiej polityki w praktyce oraz jej intelektualnego zaplecza w postaci XXI-wiecznego neokonserwaty-zmu, neoliberalizmu, tradycjonalizmu i imperializmu epoki cyfrowej. Jego ważną częścią składową jest związek duchowy i polityczny no-wych chrześcijan w Stanach Zjednoczonych z lobby izraelskim w Ame-ryce i w Europie.

Trumpizm jest konsekwencją ewolucji kapitalizmu i jego gwałtownego przekształcenia w drapieżny imperializm. Stephen M. Walt trafnie określił Amerykę Trumpa jako *Predatory Hegemon* (drapieżny hege-mon).

Jest to moment przesilenia polityki amerykańskiej w sensie radyka-lizacji jej formy i intensyfikacji treści. Stąd rewizjonistyczne podejście administracji Trumpa do konstytucyjnych ram, w których działa ame-rykańska egzekutywa, marginalizacja Kongresu i deformowanie procesu wyborczego. Kształtuje się mocarstwo stanów wyjątkowych. Postępuje instrumentalizacja prawa i służb, nasila się nieufność i represyjność wobec *obcych* i wobec własnych obywateli (działania ICE). Powstaje już państwo zmilitaryzowane i garnizonowe na fundamentach, które już wcześniej były przygotowane. Kwitnie kompleks militarno-przemysło-wo-technologiczny. Jego prosperity wiąże się z nieustannymi interwen-cjami i ekspansją. Narzędzia militarne, siłowe są też w coraz większym stopniu wykorzystywane w polityce wewnętrznej do rozprawy z poli-

tycznymi oponentami. Mianem terroryzmu i terrorystami władza określa całe spektrum swoich przeciwników: zagrażają ponoć Ameryce od zewnątrz i od środka, co uzasadnia wprowadzenie metod państwa policyjnego.

Konieczne jest rozpatrywanie światopoglądu Trumpa i trumpizmu jako grupowej ideologii nacjonalistycznej elity MAGA (w odróżnieniu od elit z roku 1945, a nawet z roku 2000). Ma ona inne standardy, inne wyznaczniki sukcesu, inne aspiracje. Celem tej wąskiej elity nie są miliony, ale miliardy dolarów. Zysk bez stawiania granic etycznych w korzystaniu ze środowiska naturalnego, w mediach cyfrowych, w rozwoju sztucznej inteligencji czy w naukach biologicznych. Ziemia, woda, powietrze, zasoby naturalne – czyli to, co nowi feudałowie otrzymują *za darmo*, są eksploatowane bez oglądania się na los planety i przyszłych pokoleń. Idee liberalnego mainstreamu, takie jak prawa człowieka, walka z dyskryminacją, rasizmem, są potępione lub na marginesie zainteresowań trumpizmu.

Rdzeniem trumpizmu jest nowy feudalizm.

Trump ma rację: cały świat, a zwłaszcza Zachód, zaciągnął w XX wieku dług u Stanów Zjednoczonych, on go teraz ściągą i ściągają dłużników z pozycji wierzyciela. Alianci zachodni niejednokrotnie zaciągnęli większy dług niż inni. I powinni okazać wdzięczność nie tylko werbalnie, ale i materialnie. Premier Kanady w Davos elokwentnie pożegnał się na zawsze z tym przytulnym dla państw Zachodu (ale tylko dla tego kręgu państw) porządkiem międzynarodowym.

Obecny świat jest feudalną domeną suzerena, który oczekuje daniny lennej od swoich lenników. Od wszystkich, którzy są słabsi i od niego zależni. Polityka celną jest polityką ściągania lenna. Lennicy oceniani są wobec stopnia indywidualnych hołdów i stopnia uległości, a także od wielkości darów, które składają suzerenowi. Inną formą uległości są wymuszone zakupy broni, energii i innych dóbr w metropolii.

Splącanie długu nigdy się nie kończy, prosperity i bezpieczeństwo jest przywilejem suzerena. Dług pozostaje na zawsze, uwolnienie od obowiązków lennika nie następuje nigdy.

Po drodze Trump oczyszcza teren dla swojej autokratycznej pozycji: trwa usuwanie przeszkód w amerykańskim systemie politycznym. Umocnia władzę prezydenta, podważa system *check and balances*, centralizuje system federalny, likwiduje niezależne instytucje, podważa wolność akademii i mediów. Wyprowadza Stany Zjednoczone z organizacji międzynarodowych. Odchodzi od zobowiązań humanitarnych i traktatowych, w tym stabilizujących wyścig zbrojeń nuklearnych. Zrywa dekoracje, czyli instrumenty w postaci praw człowieka i odrzuca ochronę zasobów ekologicznych. Wolność bez obowiązków i granic jest pretekstem do odrzucenia wszelkich ograniczeń dla amerykańskiego biznesu, a zwłaszcza wielkich monopolii krzemowych.

Ci, którym Stany Zjednoczone pomagają, a którzy „nie mają kart”, muszą spłacić dług w formie koncesji, takich czy innych. Ich suwerenność jest ograniczona (w zakresie relacji handlowych i przez eksterytorialne bazy), a ich zasoby, ich bogactwa naturalne, przejmuje suzeren.

Z całą mocą powrócił terytorialny aspekt ekspansji, bo własność ziemiska jest historycznie najtrwalszym zasobem, podstawą i zasadą panowania feu-

dalnego. Ekspansja terytorialna jest najbardziej logicznym elementem strategii. Trump, domagając się Grenlandii, podkreślił swoje zainteresowanie jej pełną własnością, a nie dzierżawą. Dzierżawcami mogą być Duńczycy, lennicy Stanów Zjednoczonych.

Co przeszkadza w feudalizacji całego świata? Nie upokarzani i bierni alianci zachodni, ale inne mocarstwa i państwa Globalnego Południa, które są zorganizowane w swoje kluby i organizacje. Czy i jaki opór stawia ekspansjonizmowi Trumpa? Czy, zgodnie z teorią realizmu, system międzynarodowy wygeneruje przeciwwagę dla drapieżnych Stanów Zjednoczonych? Jak będzie zreorganizowany cały świat? Tego jeszcze nie wiemy.

Trudno jednak liczyć na samodzielny wkład Europy. Trump traktuje Europę jak upadającą cywilizację, która znalazła się na skraju wyczerpania. Wbrew obecnej fali zachwyty nad stanowczością części państw Europy, która zastopowała (?) agresywne zamiary Trumpa wobec Grenlandii, trudno dopatrzeć się oznak zdecydowanej i konsekwentnej polityki uniezależnienia się Unii Europejskiej od Stanów Zjednoczonych. Europejczycy mają świadomość, że „nie mają kart” i ich stan apatii będzie trwać tak długo, jak długo nie znajdą *modus vivendi* z Rosją, a także Chinami. A do tego czasu członkowie tego komfortowego klubu będą składać Trumpowi lenno. Z pewnym ociąganiem przystosują się do porządku nowego feudalizmu w miejsce wcześniej promowanego przez siebie multilateralizmu.

Nie będzie korekty. Z czasem może nastąpić spowolnienie i złagodzenie form, jednak istota polityki Stanów Zjednoczonych pozostanie ta sama. Wielu polityków z Partii Demokratycznej i wielu wybitnych znawców spraw międzynarodowych, takich jak Stephen M. Walt, Graham T. Allison i Richard Haas, ubolewa nad zakrętem w amerykańskiej polityce zagranicznej i krytykuje odwrócenie się Trumpa od sojuszników, od NATO. Krytycy słusznie przewidują, że jego polityka przyniesie w rezultacie nieodwracalne szkody dla Stanów Zjednoczonych i ich sojuszy.

U autorów czołowych amerykańskich periodyków poświęconych sprawom międzynarodowym nie dostrzegam jednak głębszej troski o stabilny pokojowy porządek dla całego świata, nie tylko dla Zachodu. Wciąż dominują wypowiedzi o bezpośrednim zagrożeniu ze strony Chin i o niszczeniu porządku światowego przez autokratów. I nie widzę w amerykańskim establishmentie polityki zagranicznej dążenia do przeprowadzenia rzetelnego obrachunku i dotarcia do korzeni amerykańskiego ekspansjonizmu jako naturalnego wyrazu *objawionego przeznaczenia, Manifest Destiny*². ■

Przemysław Grudziński – profesor historii, amerykańista, wykładowca, były polski ambasador (Waszyngton 2000–2005; Stały Przedstawiciel przy OBWE i ONZ w Wiedniu 2009–2014; Helsinki 2015–2017), były wiceminister obrony narodowej i spraw zagranicznych, autor esejów i książek.

² Dziewiętnastowieczna doktryna głosząca, że ekspansja USA na zachód, aż do Oceanu Spokojnego, jest nieunikniona i usankcjonowana przez Boga, uzasadniająca podboje terytorialne (aneksja Teksasu, wojna z Meksykiem) oraz szerzenie amerykańskiej demokracji i kultury [przyj. red.].

Iluzje wojny chirurgicznej: czy opcje militarne rozwiązują problemy polityczne?



Juliusz GOJŁO

Poniższy artykuł został napisany przed izraelsko-amerykańskim atakiem na Iran. Zdecydowałem się jednak nie ingerować w jego treść ani nie aktualizować go poprzez dopisywanie nowych fragmentów odnoszących się do bieżących wydarzeń. Tekst dotyczy bowiem problemu bardziej ogólnego: założeń strategicznych, które stoją za przekonaniem o możliwości osiągnięcia szybkich i jednoznacznych rezultatów politycznych poprzez użycie siły militarnej. Pozostawiam Czytelnikowi ocenę, w jakim stopniu rozwój wypadków potwierdza lub podważa przedstawione poniżej argumenty.

Słynna teza Carla von Clausewitza głosi, że „wojna jest jedynie kontynuacją polityki innymi środkami”. Konflikt zbrojny zatem nie jest aktem autonomicznym, lecz narzędziem realizacji celów politycznych poprzez przemoc. Jeśli użycie siły nie prowadzi do jasno określonego celu politycznego, to przestaje być instrumentem strategii, a staje się przejawem jej braku.

W debacie dotyczącej konfrontacji między Stanami Zjednoczonymi a Iranem niezmiennie powraca pokusa myślenia technokratycznego: skoro przewaga militarna jednej ze stron jest bezdyskusyjna, rezultat konfliktu wydaje się przesądzony. Założenie to jest jednak wątpliwe, ponieważ – po pierwsze – pomija wnioski płynące z tezy von Clausewitza i – po drugie – nie uwzględnia doświadczeń militarnych interwencji. Historia choćby ostatnich trzech dekad na Bliskim Wschodzie pokazuje, że nawet absolutna przewaga militarna nie gwarantuje osiągnięcia celów politycznych. Jeśli wojna jest instrumentem polityki, to pytanie o sens działań militarnych nie dotyczy ich wykonalności, lecz ich politycznej racjonalności.

Istota zagadnienia nie sprowadza się do pytania, czy Stany Zjednoczone są w stanie zadać Iranowi dotkliwą stratę. Kwestią kluczową pozostaje natomiast to, czy istnieje realistyczny cel strategiczny, który można osiągnąć przy użyciu siły militarnej – oraz czy jego realizacja rzeczywiście wzmocniłaby pozycję strategiczną Waszyngtonu. Pytanie zasadnicze nie brzmi więc „czy możemy?”, lecz „co konkretnie osiągniemy?”.

Jeżeli odpowiedzią niewyraźną wprost jest destabilizacja i chaos, wówczas mamy do czynienia nie ze strategią, lecz z destrukcją – i na tym etapie dalsze rozważania można by zasadnie zakończyć. Jeśli jednak przeanalizujemy cele deklarowane, to ich ocena ujawnia zasadniczą asymetrię poznawczą. Każdy potencjalny cel – zmiana reżimu, likwidacja programu

nuklearnego czy wymuszenie ustępstw – okazuje się albo krótkotrwały, albo nierealistyczny, albo obarczony konsekwencjami bardziej niebezpiecznymi niż *status quo*. Dzieje się tak dlatego, że zwolennicy uderzenia interpretują zachowanie irańskich władz przez pryzmat własnych założeń. Zakładają przy tym ich irracjonalność lub sprowadzają je do religijnego fanatyzmu. Tymczasem działania Iranu są spójne i podporządkowane nadrzędemu imperatywowi każdej władzy – zapewnieniu własnego przetrwania.

Groźba siły jako narzędzie normalnej dyplomacji

Jednym z najbardziej uderzających elementów dominującego na Zachodzie dyskursu jest normalizacja groźby użycia siły jako narzędzia negocjacyjnego oraz otwarte założenie, że zmiana reżimu w Iranie stanowi cel politycznie dopuszczalny. Przyjmuje się niemal bezrefleksyjnie, że „ewentualne opcje militarne są oczywiste”.

Tymczasem prawo międzynarodowe, a w szczególności art. 2 ust. 4 Karty Narodów Zjednoczonych, traktuje groźbę użycia siły jako bezprawną i równoznaczną działaniom zbrojnym. Groźba ta obejmuje zarówno ultimatum, jak i demonstrację wojskową czy koncentrację sił zbrojnych. Mimo to od dekad powraca ona w wypowiedziach amerykańskich polityków wobec Iranu, często w formule: „wszystkie opcje, w tym militarna, pozostają na stole”. Retoryce tej uległ nawet laureat Pokojowej Nagrody Nobla, Barack Obama.

Czy – przykładowo – obecność *grupy uderzeniowej* z lotniskowcem USS Abraham Lincoln w okolicach Omanu nie jest dorozumianą zapowiedzią użycia siły? Z perspektywy Teheranu demonstracja siły nie jest elementem gry dyplomatycznej, lecz egzystencjalną presją. Jeżeli jedno państwo dopuszcza możliwość obalenia władz innego, racjonalną odpowiedzią tego drugiego nie jest jednostronne ustępstwo, lecz maksymalizacja zdolności odstraszenia.

Iluzja zmiany reżimu

Doświadczenia interwencji w Iraku i Afganistanie ujawniły sprzeczność między zdolnością do obalenia istniejącego systemu władzy a możliwością ustanowienia stabilnego porządku po jego upadku. Operacyjne zwycięstwo nie przełożyło się tam na trwały efekt polityczny, lecz zapoczątkowało długotrwałą niestabilność.

Iran nie jest ani Irakiem, ani Afganistanem. To państwo o zakorzenionych strukturach instytucjonalnych, silnej tożsamości narodowej oraz rozbudowanym aparacie bezpieczeństwa, który jak dotąd skutecznie utrzymuje kontrolę nawet w warunkach poważnej presji. Nie istnieje spójna, legitymizowana alternatywa polityczna zdolna przejąć władzę.

W takich warunkach próba zmiany reżimu prowadziłaby nie do stabilizacji, lecz do próżni władzy. W państwie liczącym ponad 85 milionów mieszkańców, położonym w strategicznym centrum regionu, próżnia taka byłaby nie rozwiązaniem problemu, lecz jego multiplikacją o konsekwencjach wykraczających daleko poza granice samego Iranu.

Mit destabilizacji jako narzędzia zmiany

Drugim filarem zachodnich kalkulacji jest przekonanie o wewnętrznej niestabilności Iranu i jego podatności na załamanie pod wpływem presji zewnętrznej. Założenie to opiera się na uproszczonych interpretacjach struktury demograficznej i etnicznej kraju.

Rzeczywistość jest bardziej złożona. Mediana wieku w Iranie wynosi obecnie około 35 lat, co oznacza, że wiekowa *masa krytyczna* rewolucyjnego potencjału nie musi być wielka. Elity władzy nie posiadają *opcji wyjścia* – ich przetrwanie jest związane z przetrwaniem systemu. W takich warunkach presja zewnętrzna nie musi prowadzić do liberalizacji, lecz raczej do konsolidacji. Mechanizm ten – opisywany jako *efekt flagi* – potwierdziła wojna z Irakiem w latach 1980–1988, gdy większość Irańczyków szła na front nie w obronie *republiki islamskiej*, ale *ojczyzny*. Również domniemane różnice wynikające z wieloetniczności okazały się przy tym nieistotne.

Program nuklearny: arbitralność interpretacji i opóźnienie zamiast eliminacji

Układ o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej (NPT) nie zakazuje wzbogacania uranu do celów cywilnych. Przeciwnie, w jego art. IV *expressis verbis* potwierdzono „niezbywalne prawo” państw-stron do rozwijania badań, produkcji i wykorzystania energii jądrowej do celów pokojowych. Spór wokół Iranu nie dotyczy więc formalnego naruszenia jednoznacznego zakazu, lecz politycznej interpretacji intencji oraz zakresu dopuszczalnej działalności. Żądanie od Iranu pełnego wstrzymania programu oznacza arbitralne różnicowanie praw sygnatariuszy NPT, nie mówiąc o milczeniu wobec tych, którzy układu nie podpisali, a swoje ambicje nuklearne realizują.

W tym kontekście kolejny postulat „zniszczenia irańskiego programu nuklearnego” opiera się na wybiórczym interpretowaniu jego istoty. Program nuklearny nie jest wyłącznie infrastrukturą. Jest systemem wiedzy, instytucji i doświadczenia oraz – wreszcie – ambicji nie tylko politycznych, ale także percepcji, że jest on atrybutem technologicznego rozwoju państwa i jego nowoczesności. Można zniszczyć wirówki, lecz nie można wymazać zdobytej wiedzy – chyba że poprzez zabijanie fizyków, czego Iran również doświadczył. Można opóźnić program, lecz nie można go definitywnie wyeliminować bez trwałej okupacji kraju – scenariusza zarówno militarnie, jak i politycznie nierealistycznego.

Co więcej, uderzenie militarne mogłoby przynieść efekt odwrotny do zamierzonego. Mogłoby przyspieszyć proces nuklearyzacji, po raz kolejny wzmacniając przekonanie, że broń jądrowa stanowi jedyną skuteczną gwarancję bezpieczeństwa.

Trwałość potencjału militarnego i doktryna asymetrii

Podobnie iluzoryczne jest przekonanie, że możliwe jest wymuszenie pełnej rezygnacji z programu raketowego czy jego trwałe zniszczenie. Stanowi on fundament doktryny obronnej Iranu i odpowiedź na strukturalną przewagę militarną Stanów Zjednoczonych oraz Izraela. Bez niego Iran jest zupełnie bezbronny, a państw całkowicie bezbronnych na świecie nie ma. Również dlatego, że zostają szybko podbite.

Nawet poważne straty nie zlikwidowałyby potencjału odbudowy. Wojna może go opóźnić, lecz równie dobrze też przyspieszyć jego ewolucję poprzez mobilizację zasobów i determinacji.

Logika przetrwania zamiast logiki kapitulacji

Często zakłada się, że presja militarna lub precyzyjne uderzenia punktowe zmuszą Teheran do jednostronnych ustępstw. Jest to jednak założenie życzeniowe. Najwyższy Przywódca Ali Chamenei nie jest izolowanym autokratą, lecz elementem trwałego systemu instytucjonalnego. Eliminacja pojedynczej osoby nie doprowadziłaby do jego upadku, ponieważ mechanizmy systemowe natychmiast wyłoniłyby następcę. System sprawowania władzy w Iranie jest skonstruowany tak, że absorbuje presję i może przetrwać nawet w warunkach długotrwałej konfrontacji.

Granice siły

Przewaga militarna nie rozwiązuje problemów, które mają charakter polityczny i strukturalny. W przypadku Iranu rzeczywistym problemem dla jego adwersarzy jest niemożność zdefiniowania celów, które byłyby jednocześnie osiągalne i wolne od przewidywalnych, głębokich konsekwencji ubocznych – politycznych, gospodarczych i społecznych – oraz od ryzyka eskalacji i konieczności zarządzania jej długofalowymi skutkami w skali całego regionu. Użycie siły nie usuwa tych ograniczeń, lecz je potęguje. W tym sensie potwierdza się fundamentalna intuicja Clausewitza: wojna może być narzędziem polityki tylko wtedy, gdy służy jasno określone i realistycznemu celowi politycznemu. Tam, gdzie taki cel nie istnieje lub pozostaje nieosiągalny, wojna przestaje być narzędziem polityki, lecz przejawem jej załamania – działaniem, którego najbardziej przewidywalnym rezultatem jest destabilizacja. ■

Juliusz Gojło, wieloletni dyplomata, specjalista od Bliskiego Wschodu, Afryki, krajów Azji Centralnej; pracował m.in. w Iraku, RPA, w latach 2010-2017 ambasador RP w Iranie. Ekspert Centrum Stosunków Międzynarodowych. Obecnie pracuje w Ministerstwie Rozwoju i Technologii.

ZDANIE

Od 20 marca w sprzedaży będzie dostępny
nowy numer kwartalnika „Zdanie” (1/2026)
– w którym m.in.:

■ rozmowa „Troje na Jedną” z Hanną Machińską ■ wywiad z marszałkiem Sejmu i przewodniczącym Nowej Lewicy Włodzimierzem Czarzastym ■ Joanna Hańderek o dekonstrukcji mitu Zachodu ■ Marcin Galent o raporcie Mario Draghiego ■ Dominika Rafalska o prawie pacjentów do kontaktu ze zwierzętami towarzyszącymi ■ Monika Szymańska o potrzebie regulacji zawodu psychologa ■ Roman Medyński – dokumenty źródłowe w sprawie służby Tomasz Turowskiego w wywiadzie PRL ■ Paweł Sękowski o ostatnich publikacjach o Adamie Michniku ■ Andrzej Romanowski o jubileuszu Polskiego Słownika Biograficznego.

Zachęcamy do kupna i lektury!
Redakcja „Res Humana”

Gospodarka polska w połowie trzeciej dekady (i co dalej?)



Wiesław GUMUŁA

Debata na temat gospodarki polskiej toczy się z rozmachem, przybierając rozległe spektrum odcieni: od nachalnego optymizmu na temat jej kondycji oraz nieomal utopijnych projekcji odnośnie do przyszłości po pesymistyczne krakanie oraz kasandryczne przewidywania. To rozproszenie poglądów zdaje się wypływać między innymi ze złożonej sytuacji międzynarodowej, niosąc z sobą rozmaite szanse i zagrożenia, a także z licznych silnych i słabych stron charakteryzujących potencjał rozwojowy społeczeństwa polskiego. W przypadku Polski czynniki zewnętrzne i wewnętrzne spletają się w konfiguracje, które możemy wykorzystać do budowy dobrostanu społecznego, bądź je zmarnować popadając w regres. Obydwie drogi są możliwe. Mamy bogaty wybór, który w dużym stopniu zależy od nas. A jeżeli nawet sprawy globalne będą przebiegać w najbliższym czasie nie po naszej myśli, to możemy zaprząć nasze zasoby wewnętrzne do osłabiania negatywnych następstw ze strony czynników zewnętrznych oraz do wypracowywania potencjału na dalszą przyszłość. Rzeczy nie dzieją się jednorazowo; końca świata jutro nie będzie, pojutrze zacznie się nowy dzień i trzeba będzie coś wtedy zrobić.

Końca świata nie będzie

Tak przypuszczam, odwołując się do prostego fizycznego prawa inercji. Również w świecie społecznym wiele dzieje się na zasadzie bezwładności. Życie społeczne, w tym jego domena gospodarcza, jest jak swoisty wir, który wciąga jednostki, zbiorowości i instytucje w kontynuację uruchomionych trendów. Skoro od trzech dekad gospodarka polska odnotowuje wzrost gospodarczy niezależnie od tego, jakim zawirowaniom i kryzysom podlegają inne gospodarki; skoro od dwóch dekad produktywność pracy w Polsce rośnie szybciej niż wynagrodzenia (choć i te rosną); skoro Polacy pracują dłużej niż inne nacje na świecie, przyczyniając się do coraz lepszej kondycji przedsiębiorstw i gospodarstw domowych; skoro od lat gospodarka polska z równą uwagą uwzględnia rynek wewnętrzny i rynek zewnętrzny – to niby dlaczego nagle miałyby się to zmienić pod wpływem czynników zewnętrznych? No chyba że doszłoby do jakiegoś pandemonium światowego. Ale wtedy poniższe rozważania byłyby bezprzedmiotowe. Uwzględniam więc warianty pozytywne przebiegu światowych procesów oraz takie warianty negatywne, z których możemy się wykaraskać, a przynajmniej zrobić co się da, aby sobie poradzić. Nie zamierzam budować prognoz; wystarczy unaocznic czytelnikowi, co dla przyszłości może oferować stan obecny, który nie jest obietnicą nieuchronnych procesów, lecz zbiorem pokus czy zachęt do działania w niektórych wybranych kierunkach oraz przestróg skłaniających do unikania innych.

Również głosy o rozkładzie Unii Europejskiej są przedwczesne. Żeby jej wyrwać poduszkę spod głowy, światowe mocarstwa musiałyby się mocno wysilić i dogadać ze sobą na wzór państw, które niegdyś rozebrały III Rzeczpospolitą. A do tego jest daleko. UE ma się znacznie lepiej niż Unia Polsko-Litewska w XVIII wieku. Dysponuje majątkiem, potencjałem kulturowym i gospodarczym, który nie rozplynie się ot tak w powietrzu. Kuleją umizgi władz Stanów Zjednoczonych kierowane wobec Rosji, połączone z bałaganiarskim dyskredytowaniem UE. Pomysłem na rozebanie UE przeskadzają niektóre światowe ośrodki wzrostu, które niewiele by na tym skorzystały.

Rzeczywiście UE od jakiegoś czasu pogarsza swoją pozycję wobec innych regionalnych ośrodków wzrostu. Ale trzeba uwzględnić fakt, że w ostatnim czasie przebudziły ją odgłosy armat dochodzące z Ukrainy; wstrząsnęła nią dekompozycja światowego ładu gospodarczego zapoczątkowana przez Stany Zjednoczone oraz Chiny; administracja Trumpa wybiła elitom politycznym i gospodarczym UE z głowy pomysły na dalsze uprawianie hazardu moralnego oraz kontynuowanie jazdy na gapę. Nawet jeżeli dojdzie do licznych wstrząsów towarzyszących adaptacji Europy do nowych warunków geopolitycznych i rynkowych, nawet jeżeli nastąpi dezintegracja UE w niektórych płaszczyznach, co mogą zapowiadać liczne sprzeczne interesy pomiędzy krajami członkowskimi, to ważne jest, aby ocalały przynajmniej unię handlową, a także dogadać się ze wspólnym rynkiem w Ameryce Południowej (Mercosur) oraz Indiami. Sądzę, że Unię Europejską stać na to, a może nawet na więcej. To jest dobra wiadomość dla Polski. Nie twierdzą, że tak się stanie. Ale szanse są duże.

Już nie budzi wątpliwości fakt, że świat doświadcza licznych fundamentalnych wstrząsów. Ład oparty na zasadach Konsensu Waszyngtońskiego został zakwestionowany przez Stany Zjednoczone. Chiny skutecznie sprzeciwiły się próbom Stanów Zjednoczonych jednostronnego kształtowania nowych reguł gry w sferze gospodarczej. One również będą współdecydować o przyszłym ułożeniu stosunków gospodarczych w skali świata. Stany Zjednoczone zdają się rezygnować z dotychczasowej roli jedynego hegemonu. Przy tym zamierzają jednak utrzymać znaczącą przewagę militarną nad innymi potęgami, a także ochronić dolara jako walutę światową. Wiele wskazuje na to, że są gotowe odstąpić od zasady prymatu na rzecz powstania kilku centrów regionalnych, które podzielą pomiędzy siebie strefy wpływu. Niepokoi fakt, że wyraźnie upatrują w Rosji przyszłego regionalnego mocarstwa ze strefą wpływów rozciągającą się na Europę Środkową. To oznacza, że są gotowe na jakąś formułę dominacji Rosji nad Polską, Ukrainą i sąsiednimi krajami – podobnie jak na początku lat dziewięćdziesiątych powierzyły to zadanie Niemcom w wymiarze gospodarczym.

Niepokoi również fakt, że obecnie Stany Zjednoczone są zarządzane na wzór bananowej republiki, której elity rządzące nie znają słowa *merytokracja*. Wytwarzają w skali świata chaos, który jest na rękę Rosji, Chinom, a także wyłaniającej się w Ameryce nowej warstwie oligarchów, bogacących się kosztem swojego kraju i całego świata. Marne pocieszenie płynie z pojawiających się interpretacji, że dokonują w ten sposób transformacji świata poprzez anarchię oraz chaos do nowego porządku. A jeżeli chaos

zrodzi nowy chaos? No cóż. Liczę na to, że poradzimy sobie w tym całym zamieszaniu, wykorzystując je do przeforsowania własnych interesów.

Strategiczne wyzwania dla Polski

Kluczową sprawą dla dalszego rozwoju gospodarczego Polski jest niedopuszczenie do jej podporządkowania Rosji w wymiarze politycznym – bądź to przy użyciu środków militarnych, bądź to środków politycznych. Jest to duże wyzwanie, ponieważ wiele wskazuje na to, że Stany Zjednoczone, rezygnując z prymatu światowego, wycofują się również z pełnienia funkcji dostawcy bezpieczeństwa dla Europy Środkowej. Wątpliwe jest również, czy zachodnioeuropejskie kraje członkowskie NATO zdecydują się na wystąpienie w tej roli. Wątpliwe jest poza tym, czy w razie pojawienia się zagrożenia ze strony Rosji przyjdą wschodniej flance ze skuteczną pomocą, ponieważ to nie będzie obsługiwało interesów Niemiec i Francji, a tym bardziej Hiszpanii i Włoch – zwłaszcza jeżeli sprawy w Europie Środkowej będą szły w złym kierunku. Dlatego trzeba się dogadać z krajami o zbieżnych interesach, które będą interpretować ewentualną przegraną Polski jako wstęp do swojej przegranej (i odwrotnie). Wymieniam tu kraje flankowe, a zwłaszcza Finlandię, Szwecję, Rumunię i Turcję. Wskazane jest uzgodnienie w porozumieniach dwustronnych między nimi – a może i w umowach grupowych – zasad natychmiastowego wsparcia w razie eskalacji konfliktu. Takie porozumienia nie powinny być interpretowane jako podważenie reguł obowiązujących w NATO, ponieważ będą one subsydiarne wobec Paktu, którego członkowie są zobowiązani do wspierania się nawzajem. Ponadto trzeba będzie wymóc na krajach zachodnioeuropejskich podpisanie umów o natychmiastowym dostarczaniu broni i amunicji w razie pojawienia się takiej potrzeby – niezależnie od tego, jak bardzo będą chciały krajom flankowym pomagać lub zaniechać pomocy w wymiarze kinetycznym. Dotyczy to również udrożnienia kanałów transferu pomocy przez wszystkie kraje członkowskie bez zbędnej i spowalniającej biurokracji. To są minimalne oczekiwania wobec naszych zachodnich sojuszników. A może niektórzy z nich zdecydują się na więcej.

Efektywność porozumień militarnych ulega spotęgowaniu, gdy powstają one na podłożu intensywnych wzajemnych kontaktów gospodarczych oraz zadziergniętych interakcji między konkretnymi ludźmi. Dlatego Polska powinna wspierać wszelkie inicjatywy udrażniające połączenia pomiędzy krajami Europy Środkowej. Powinniśmy zwłaszcza kierować znacznie więcej środków na budowę naszego „jedwabnego szlaku”, to jest infrastruktury przemysłowej w układzie północ-południe, wciągając w nasze zamysły kraje Europy Środkowej, Półwyspu Bałkańskiego oraz Skandynawii. Szkoda, że w międzyczasie idea Trójmorza została mocno sponiewierana przez Niemcy, Rosję oraz inne kraje Zachodu. Trzeba kontynuować prace w zakresie rozbudowy infrastruktury drogowej, energetycznej i informatycznej, łączącej kraje Europy Środkowej. Nawiasem mówiąc, wiele w tej sprawie zrobiono w ostatnich latach. Jest to ważne pod względem militarnym i gospodarczym.

Rozbudowa infrastruktury w układzie północ-południe, a w ślad za tym intensyfikowanie kontaktów gospodarczych na tym kierunku, sprzyja wzrostowi bezpieczeństwa w wymiarze wojskowym i gospodarczym. W dodatku ułatwia przekalibrowanie przemysłu i handlu pod kątem wybicia się gospodarki polskiej na wyższą produktywność i sprawczość. Polski przemysł

i przetwórstwo rolne przez ponad trzy dekady pełniły dla Niemiec oraz kilku innych wiodących krajów Europy Zachodniej rolę poddostawców. Natomiast zagraniczne korporacje były właścicielami projektów oraz finalnych produktów. One decydowały o rozdysponowaniu zleceń, o cenach narzucanych końcowym odbiorcom oraz o miejscach osadzania się zysku. Trzeba więc wypracować odpowiednie narzędzia i bardziej skutecznie przeciwstawiać się takim praktykom. Kluczową sprawą jest coraz śmielsze wchodzenie Polski w rolę finalnego dostawcy produktów, który decyduje, komu sprzedawać, a komu odmówić sprzedaży wytworzonych towarów, i za jaką cenę. Warto podpatrywać, jak Chiny w tym zakresie radzą sobie ze Stanami Zjednoczonymi, żeby bardziej skutecznie zacząć sobie radzić z Niemcami i innymi krajami Europy Zachodniej. Trzeba zacząć od mozolnego, krok po kroku, poprawiania swojego miejsca w łańcuchach dostaw. Skoro nie za bardzo to wychodzi w branżach tradycyjnie zdominowanych przez przemysł niemiecki i holenderski, to na początku trzeba wykorzystać wszelkie asymetrie, gdzie możemy wybić się na pozycje dostawców finalnych produktów. Poza tym należy dywersyfikować odbiorców naszych produktów. Na przykład Francja zaczyna dostrzegać w Polsce i innych krajach Europy Środkowej potencjalnych kooperantów. A poza tym kraje Europy Środkowej stają się wzajemnymi odbiorcami i dostawcami towarów i usług właśnie dzięki rozbudowie infrastruktury na kierunku północ-południe. W najbliższej przyszłości widzę dużą rolę państwa polskiego w promowaniu przedsiębiorstw, które mogą pokusić się o wytwarzanie produktów końcowych. Tego rodzaju produkty (i przedsiębiorstwa je wytwarzające) powinny znaleźć się na listach priorytetów państwa, jeżeli idzie o dotacje i inne formy wsparcia.

I tutaj dochodzimy do kluczowej sprawy roli państwa i budżetu państwa we wspieraniu konkurencyjności krajowych produktów na rynkach światowych. Mam tu na myśli nie tylko władze i budżet centralny, lecz również instytucje lokalne oraz budżety samorządowe.

Podkreślam jeszcze raz znaczenie mądrze ukierunkowanych dotacji na promocję produktów finalnych w łańcuchach dostaw. Oczywiście, Niemcy i inne wiodące kraje Europy Zachodniej długo jeszcze będą naszymi głównymi kooperantami. Ale zacznijmy im stawiać większe wymagania, wykorzystując przedsięwzięcia, o których przed chwilą pisałem. Dzięki nim zdobędziemy również dodatkowe argumenty, które będzie można użyć do utrudniania prób ponownego dogadania się Niemiec z Rosją na takie formy współpracy, które szkodzą interesom Europy Środkowej. Niechlubnym przykładem takiego mariażu z drugiej dekady, któremu nie udało się zapobiec, był Nord Stream 2.

Polska dysponuje dużym potencjałem intelektualnym, który jest równie ważny jak potencjał przemysłowy i finansowy, jeżeli chodzi o budowę relacji z UE oraz światem. Trzeba go rozmyślnie zaprząć do rozbudowy potencjału gospodarczego. W wiodących krajach coraz większy wpływ na wyłanianie się nowych trendów zaczynają mieć kompetencje cywilizacyjne, zdobywanie i przetwarzanie informacji, informatyczne technologie, nastroje społeczne, akcje marketingowe i działania propagandowe, doktryny i programy. Trzeba się więc od nich uczyć, jak wykorzystać kulturę symboliczną do promowania wzrostu gospodarczego.

Trzeba wykorzystać zamieszanie w europejskim i światowym otoczeniu do załatwienia rozmaitych spraw wewnętrznych z korzyścią dla gospodarki. Między innymi dobrze by było: (a) pozbyć się przepisów prawa gospodarczego rodem z Hotelu Marriott, które wypychają nas w peryferyjność; (b) przeciwstawić się dezertowaniu korporacji międzynarodowych z powinności podatkowych; (c) rozstać się z neoliberalizmem – który szkodzi dobru ułożeniu spraw gospodarczych oraz antagonizuje społeczeństwo polskie w wymiarze politycznym – na rzecz społecznej gospodarki rynkowej, do której zobowiązuje Konstytucja; (d) zahamować wdrażanie programów gospodarczych, które potęgują ryzyka, obecnie niewidoczne, ale które ujawniają się, gdy zawyżają syreny (jak na przykład wypieranie obrotu gotówkowego). Należy również mądrze ułożyć się z Ukrainą, starannie identyfikując zbieżne i wykluczające się interesy. ■

Dr hab. Wiesław Gumuła, profesor emeritus UJ, socjolog i finansista.

Polska i Unia Europejska wobec globalnych przemian



Konrad PRANDECKI

Ostatnie lata przynoszą szereg zaskakujących zmian politycznych, społecznych i gospodarczych, które skłaniają obserwatorów i komentatorów do różnych alarmistycznych wypowiedzi. W tym kontekście zazwyczaj wymienia się wojnę w Ukrainie, izraelską interwencję w Strefie Gazy, ponowny wybór Donalda Trumpa na prezydenta USA itp.

Skutkiem tych wydarzeń jest zmiana myślenia o relacjach globalnych, co istotnie wpływa na sytuację geopolityczną Polski i Unii Europejskiej. Dyskutując o przyszłości Polski, warto więc poświęcić uwagę na analizę zmian w naszym otoczeniu, również tym dalszym – globalnym.

Na początku lat 90. XX w. rozpadł się dwubiegunowy system globalny. Został on zamieniony na jednobiegunowy, w którym USA pełniły rolę strażaka formalnie dbającego o zapewnienie możliwości demokratycznego rozwoju tym, którzy tego chcą. Współcześnie chętnych do odgrywania mocarstwowej roli jest więcej. W kontekście globalnym należy tu wymienić, oprócz USA, Chiny i Rosję. W skali regionalnej również pojawia się liczna grupa państw chcących odgrywać większą rolę niż ich sąsiedzi i mieć wpływ na otoczenie. W efekcie społeczeństwa są świadkami konfliktu mocarstw, który destabilizuje poczucie bezpieczeństwa i perspektywę dalszego pokojowego rozwoju.

Warto przy tym zwrócić uwagę, że nowy podział wpływów niweluje dawny podział na dobrych i złych. Jeśli jeszcze jakoś można było próbować uzasadnić amerykańskie (wraz z koalicjantami) interwencje w Afganistanie i Iraku, to napaść Rosji na Ukrainę nie ma takiego uzasadnienia. Zarówno władze Afganistanu, jak i Iraku posługiwały się wrogą retoryką wobec USA, wręcz w tym drugim przypadku sugerując wykorzystanie broni ABC przeciwko

mocarstwu. Ataki terrorystyczne z 11 września 2001 r. nie były najmocniejszą przesłanką do wojny, ale można szukać w nich usprawiedliwienia dla działań USA. Jednakże, w przypadku ataku z 24 lutego 2022 r. trudno jest mówić o wrogiej postawie Ukrainy wobec Rosji. Relacje między tymi państwami nie były przyjazne, zwłaszcza po aneksji Krymu w 2014 r., ale pomimo tego trudno jest wskazać agresywną politykę Ukrainy wobec Rosji, uzasadniającą interwencję zbrojną. Podobną do rosyjskiej ścieżką podążyły USA, przeprowadzając 3 stycznia 2026 r. interwencję w Wenezueli. Różnica pomiędzy działaniem Rosji a USA polega jedynie na tym, że USA były w stanie przeprowadzić szybką operację zmiany władzy, a rosyjska operacja specjalna zamiast trzech dni trwa już 4 lata i końca jej nie widać. Jednakże na tym kończą się różnice. Interwencja USA jest równie nieuzasadniona jak rosyjska agresja. W tej sytuacji powstaje retoryczne pytanie, czy ktoś jeszcze ma moralne prawo do powstrzymania Chin przed atakiem na Tajwan? Naruszenia suwerenności innych państw, polityka celna Donalda Trumpa czy też próby przejęcia Grenlandii powodują poczucie, że świat wraca do XIX-wiecznego koncertu mocarstw, kiedy los mniejszych suwerennych państw się nie liczył.

Z europejskiego punktu widzenia zmiana globalnej sytuacji budzi jeszcze większe obawy. Imperialna polityka Rosji, niezrozumiała dla przywódców i społeczeństw Zachodniej Europy powoduje poczucie zagrożenia wojną. Z drugiej strony przewidywalny sojusz z USA staje się coraz bardziej kruchy i wątpliwy. Żądania terytorialne wobec sojusznika (Grenlandia), nakładanie wysokich ceł na europejskie państwa, próby poróżnienia sojuszników i ich deprecjonowanie, a przede wszystkim nieporadne próby porozumienia z Rosją powodują, że społeczeństwa europejskie i ich przywódcy mają coraz większe wątpliwości odnośnie do trwałości sojuszy i chęci zrozumienia europejskiej sytuacji przez USA.

Sytuacja wewnętrzna Europy, a głównie Unii Europejskiej, również budzi obawy, co wynika ze sprzeczności niektórych planów. Z jednej strony UE stawia na rozwój nowych innowacyjnych rozwiązań, które mają doprowadzić do poprawy stanu środowiska przyrodniczego, dobrobytu i jakości życia, a z drugiej wiele z tych rozwiązań, np. opartych na sztucznej inteligencji, jest wysoce energochłonnych i wykorzystujących trudno dostępne surowce ziem rzadkich. Do tego dochodzi problem proceduralny. Konieczność zapewnienia jak najbardziej przejrzystych zasad proceduralnych powoduje, że wiele innowacyjnych firm nie jest w stanie spełnić kosztownych i czasochłonnych procedur i w efekcie nie próbuje wypełnić wniosków o wsparcie. Podobnie jest w nauce, gdzie wiele pomysłów na badania jest odrzucanych ze względu na brak możliwości uwiarygodnienia autorów, a jednocześnie środki są wydawane na badania, których wyniki są mało znaczące i łatwe do przewidzenia, ale za to zespół autorów jest przewidywalny i gwarantuje publikację naukową w dobrym czasopiśmie (czyli wymierne efekty grantu). Powyższe stwierdzenia są oczywiście dużym uproszczeniem, ale pokazują problem.

Unia Europejska jest świadoma tych ograniczeń. Próbuje nawet poszukiwać ścieżek wyjścia z trudnej sytuacji. W ten sposób należy patrzeć na umowy handlowe z państwami Mercosur, z Indiami czy też Filipinami. Są to rozwiązania dalekie od ideału, ale w coraz bardziej podzielo-

nym świecie mogą być one szansą dla UE. Istotne jest, aby te porozumienia uwzględniały jak najszersze interesy państw członkowskich. Jednakże, w dobie spowalniającej globalizacji, a nawet – jak wskazuje się – selektywnej deglobalizacji, brak dostępu do rynków może być czynnikiem przesądzającym o dalszym rozwoju państwa i regionu.

Na ten obraz można nałożyć jeszcze zawirowania pojawiające się wewnątrz państw. Dynamicznie zmieniające się relacje międzynarodowe powodują, że dotychczas skuteczne rozwiązania społeczno-gospodarcze przestają przynosić spodziewane efekty. Ponadto zmiany społeczne, a przede wszystkim rozwój mediów społecznościowych powodują, że wewnątrz społeczeństw powstaje wiele grup niezadowolonych, którymi łatwo jest sterować i podburzać do realizacji cudzych interesów. Skutkiem tego jest zmiana zachowań przedstawicieli ośrodków władzy i partii politycznych, które budują swój kapitał głównie na polaryzacji. Od władzy oczekuje się natychmiastowego rozwiązywania problemów, co w dynamicznym świecie i przy demokratycznych instytucjach staje się coraz bardziej skomplikowane. Z tego powodu przedstawiciele władzy również sprowadzają dyskusję do podziału na *my versus oni*, ponieważ wskazując wroga, niekoniecznie prawdziwego, łatwiej jest skupić wokół siebie wyborców i popleczników. Każdy, kto ma inne zdanie, staje się obcy, wręcz wrogi.

Biorąc pod uwagę powyższe, coraz bardziej dynamiczne zmiany, obserwuje się rosnące napięcia wewnątrz i pomiędzy społeczeństwami. To poczucie jest podsycane przez licznych obserwatorów i komentatorów, którzy poprzez dramatyczne wypowiedzi i budowanie napięcia chcą być dostrzeżeni. Stąd w publicystyce jest wiele szokujących, katastroficznych nagłówków. Jednakże, chciałbym zwrócić uwagę, że wydarzenia, których jesteśmy świadkami wpisują się w szerszy trend przemian cywilizacyjnych. Zgodnie z koncepcją J. Kleera każdej dużej zmianie cywilizacyjnej, do której w mojej opinii bardziej pasuje tofflerowskie określenie fali, towarzyszy okres niepewności nazwany przejściem cywilizacyjnym. Jest to okres burzliwy, w którym ścierają się stare i nowe ideologie, a ich wypadkowa staje się nowym postrzeganiem świata i gospodarki. Zmiany gospodarcze związane z rewolucją przemysłową, nie byłyby tak efektywne, gdyby nie zmiany polityczne, wzrost znaczenia prawa, wprowadzenie trójpodziału władzy i szereg innych reform, które wprowadziły głębokie zmiany klasowe. Jeśli spojrzymy na te zjawiska z szerszej perspektywy i włączymy w to przemiany religijne, w tym oderwanie władzy od Kościoła, to zauważymy, że to przejście nie było łagodne, wręcz przeciwnie – miało bardzo brutalny przebieg. Zgodnie z dyskusjami prowadzonymi od wielu lat w Komitecie Prognoz PAN, świat znajduje się w okresie kilku takich przejść. Z jednej strony w krajach wysokorozwiniętych można zauważyć powstawanie gospodarek postprzemysłowych (choć nie jest to w pełni adekwatna nazwa), a z drugiej – w krajach rozwijających się zauważalne jest przejście od gospodarek agrarnych do przemysłowych z elementami postprzemysłowymi. Tym procesom towarzyszą przekształcenia w polityce medialnej, w sposobach sprawowania władzy i postrzegania sfer wpływu. W efekcie pojawiające się głosy o powrocie XIX-wiecznego mocarstwowego podejścia do świata są jedynie częściową obserwacją zachodzących zmian. Proces ten jest znacznie głębszy. W dobie gwałtownie zmieniających się uwarunkowań demokracji będącej

dotychczas gwarantem stabilności stają się zbyt powolne, aby reagować na zmiany. Rozwiązania w stylu autorytarnego dewelopmentalizmu wydają się być bardziej adekwatne. Świadczą o tym liczne przykłady państw azjatyckich oraz działania naśladowców w Afryce. Na tym tle w demokracjach pojawiają się próby bardziej autorytarnego zarządzania, czasami na krawędzi prawa, a nawet wbrew przepisom. Przykłady można zaobserwować w Polsce, USA i wielu innych państwach. Wolne rynki na razie wydają się być nienaruszalne, ale w dobie wysokorozwiniętych nowych technologii kontrola rynku staje się coraz bardziej realnym narzędziem umożliwiającym ręczne sterowanie.

Co wynika z przyjęcia teorii przesileń cywilizacyjnych? Świadomość, że żyjemy w bardzo turbulentnych czasach, które mogą zaprowadzić nas w nieznane. Powrót do historycznych rozwiązań jest więc tylko próbą powstrzymania nieuniknionego. W tym kontekście zarówno polityka Polski, jak i Unii Europejskiej nie powinna opierać się na istniejącym status quo, ale na aktywnym poszukiwaniu rozwiązań. W obliczu prób odтворzenia koncertu mocarstw trzeba szukać rozwiązania, które pozwoliłoby UE i tym samym państwom członkowskim stać się mocarstwem i to nie tylko gospodarczym, ale również militarnym i politycznym.

W publicystyce jest wiele głosów skazujących Europę na upadek. Z historycznego punktu widzenia każde mocarstwo doświadcza upadku, który jest poprzedzony fazą schyłkową. Wielu twierdzi, że się w niej znajdujemy. Wskazuje się, że wysokie koszty życia, a zwłaszcza energii skazują nas na utratę przewag konkurencyjnych, głównie w obszarze nowoczesnych technologii przetwarzania dużych ilości danych i opartej na tym sztucznej inteligencji. Nie ulega wątpliwości, że jest w tym wiele prawdy, ale jednocześnie, niezależnie od zmian zachodzących na świecie, nadal Europa Zachodnia jest uważana za najlepsze miejsce do życia, gdzie poziom bezpieczeństwa, przestrzegania prawa i opieki społecznej jest wyjątkowo wysoki. Wskaźniki takie jak HDI dobitnie to pokazują.

Najbliższe kilkanaście lat będzie bardzo ważne dla Unii Europejskiej. Przesądzi o dalszym kierunku jej rozwoju. Obrana przez UE polityka zrównoważonego rozwoju i rzeczywistego dążenia do neutralności emisyjnej w zakresie gazów cieplarnianych w połowie stulecia jest bardzo ambitnym celem, który istotnie wpływa na poziom zamożności społeczeństw poprzez rosnące koszty. Wiele gospodarek, jak np. niemiecka, nie radzą sobie z transformacją tak jak oczekiwano, przez co odczuwają spowolnienie. Zazwyczaj jest to przesłanką do podjęcia reform.

Ocena strategii rozwojowych UE jest niejednoznaczna. Z jednej strony założony kierunek zmian wydaje się być słusznym, z drugiej postępująca internalizacja efektów zewnętrznych w oderwaniu od reszty świata grozi utratą przewag konkurencyjnych i pogorszeniem się poziomu jakości życia w Europie. Nawet raporty opracowywane na potrzeby UE wskazują, że najprawdopodobniej z niektórych celów trzeba będzie zrezygnować. W mojej ocenie UE nie powinna zmieniać kierunku zmian, ale dostosować ich tempo do zmieniającego się otoczenia, podobnie jak to robią Chiny, które wbrew pozorom w ostatnich latach podejmują wiele działań na rzecz przeciwdziałania zmianom klimatycznym, ale jednocześnie nadal nie zrezygnowały ze spalania węgla. UE również powinna zwiększyć

swoją elastyczność, łącząc dbałość o środowisko przyrodnicze z większą dbałością o dobrobyt mieszkańców i możliwością ich rozwoju gospodarczego.

Trudno jest prognozować, w jakim kierunku pójdą reformy w Unii Europejskiej, ale w mojej ocenie, niezależnie od obranego kierunku, nie powinny one zachwiać procesem integracji. Uważam, że mało prawdopodobne jest nawet, aby jakieś czynniki spowodowały oderwanie się kolejnych państw od UE. Przykład Wielkiej Brytanii dobitnie pokazuje, że nie rozwiązuje to żadnych problemów, a dodatkowo powoduje problemy gospodarcze. Wiadomo, że wiele sił wewnętrznych i zewnętrznych działa w kierunku rozpadu UE. Słabsza, podzielona i poróżniona Europa jest łatwiejsza do rozgrywania. Bezdyskusyjnym jest, że osłabienie UE jest na rękę Rosji, ale działania USA prowadzące w tym kierunku są dużo mniej zrozumiałe. Oczywiście jedności UE nie należy traktować jako pewnik. Trzeba aktywnie o nią dbać, wskazując jej mieszkańcom korzyści, jakie płyną z integracji. W przypadku państw, które w XXI wieku dołączyły do UE, nie powinno to być problemem. Wystarczy wskazać, jak zmieniła się jakość życia w okresie członkostwa.

Dyskusja nad przyszłością Polski wydaje się oczywista. Niezależnie od przyjętej perspektywy, w większości koncepcji cywilizacyjnych jesteśmy państwem na skraju dwóch cywilizacji. Wschodnia, pod przewodnictwem Rosji, chętnie przyciągnęłaby nas w swoją sferę wpływów i podporządkowała. Z kulturowego i gospodarczego punktu widzenia byłibyśmy dla nich bardzo cennym zasobem. Dla Zachodu nie mamy aż takiej wartości, ale w wielu aspektach również jesteśmy cenni, co powoduje, że pomimo licznych kosztów opłaca się utrzymywać Polskę w zachodniej sferze wpływów. Porównanie polskich osiągnięć w ostatnim trzyletniu z okresem PRL dobitnie pokazuje, że pomimo licznej i narastającej krytyki wobec UE celem strategicznym powinno być nie tylko członkostwo w UE, ale również aktywna polityka kreowania rozwoju Wspólnoty. Polski głos ma szansę być coraz lepiej słyszalnym w UE. Ostatnie lata dowiodły, że nasza ocena relacji z Rosją jest bardziej adekwatna niż podejście Zachodu. W sprawach gospodarczych również odgrywamy coraz większą rolę, co pozwala nam budować coraz skuteczniejsze koalicje. Utrzymanie tego kierunku wydaje się być najbardziej słusznym rozwiązaniem.

Postulowane przez niektórych rozwiązanie w postaci *samotnej wyspy* skazuje nas na porażkę. Nie będziemy wystarczająco istotnym partnerem dla obu stron, aby traktować nas równorzędnie. Liczenie na trwałość sojuszu z USA poza UE również jest nieodpowiedzialne. Wojna w Ukrainie dobitnie pokazuje niewielkie zrozumienie i zainteresowanie USA europejskimi problemami. Trudno jest znaleźć przekonujące argumenty, które uzasadniałyby w oczach USA potrzebę zaangażowania się w konflikt z Rosją dla obrony Polski. Jest to możliwe dla Polski jako członka Unii Europejskiej, gdyby pojawiło się ewentualne ryzyko podpalenia całej Europy i utraty licznych amerykańskich interesów, ale samodzielna Polska nie jest aż tyle warta.

Podsumowując, nadchodzące dekady nie będą łatwe, nawet spodziewałbym się, że w gospodarce globalnej pojawi się jeszcze wiele napięć i konfliktów. Na przykład, w momencie pisania tego tekstu pojawia się groźba amerykańskiej interwencji w Iranie, która również może mieć dalekosiężne skutki. W ciągu dekady z pewnością wzrośnie napięcie wokół Tajwanu, które może doprowadzić do otwartej wojny.

Polska powinna mieć świadomość, że jako samotny gracz umiejscowiony pomiędzy dwoma cywilizacjami nie jest w stanie przetrwać w takich turbulentnych czasach. Z tego powodu musi podejmować strategiczne decyzje dotyczące jej przyszłości w oparciu o silne powiązania sojusznicze. Jednocześnie musi mieć świadomość, że w tak gwałtownie zmieniającym się świecie nie jest trwałe, w tym również sojusze. Powiązania tworzone przez Polskę muszą być wystarczająco silne, aby funkcjonowały również w czasach niepewności wynikającej nie tylko ze zmian geopolitycznych, ale również gospodarczych. Obecnie relacje gospodarcze silnie nas wiążą z Unią Europejską i powinniśmy za wszelką cenę dążyć do tego, aby były one wzmacniane. W dodatku powinniśmy aktywnie wspierać rozwój UE, ponieważ w praktyce jedynie silna Unia może odgrywać znaczącą rolę w świecie. Europa podzielona nie ma możliwości odegrania istotnej roli na mapie świata. Jednocześnie silna UE jest szansą rozwojową dla Polski nie tylko jako rynek zbytu dla naszych produktów, ale również jako podmiot wymuszający przestrzeganie wysokich standardów, co w większości przypadków prowadzi do polepszenia jakości życia i rozwoju gospodarczego. Skok cywilizacyjny, jaki dokonał się w ostatnim ćwierćwieczu, nie byłby możliwy bez akcesji do UE. ■

Dr Konrad Prandecki – wiceprzewodniczący Komitetu Prognoz Polskiej Akademii Nauk, Instytut Ekonomiki Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej – PIB.

Kapitalizm patchworkowy



Juliusz GARDAWSKI

Gdy w 1989 roku kraje Europy Środkowej i Wschodniej wydoły się z sowieckiej podległości, to przejście do rynku i demokracji miało charakter wyjątkowy: została przerwana ciągłość ścieżek i nastąpiła z punktu danych krajów zmiana punktacyjna, że użyjemy pojęcia przejętego z paleontologii. Co więcej, została sfalsyfikowana większość przewidywań sowiektologicznych odnośnie do przyszłości krajów regionu, podobnie jak przewidywań „tranzytologicznych”, osadzonych w teoriach modernizacji.

Dopiero więc gdy gospodarki okrzepły, można było rozpocząć analizy wyłaniających się typów kapitalizmu. Większość badaczy zastosowała narzędzia wykorzystywane w badaniu zachodnich systemów społeczno-gospodarczych (zwłaszcza typy idealne Halla i Soskice’a oraz modele Amable’a¹). Pozostali badacze dokonali albo modyfikacji zastanych narzędzi, albo konstruowali oryginalne siatki pojęciowe.

¹ P. Hall, D. Soskice, *Introduction to Varieties of Capitalism - The Institutional Foundations of Comparative Advantage*, Oxford University Press, Oxford 2001; B. Amable, *The Diversity of Modern Capitalism*, Oxford University Press, Oxford 2003.

W Szkole Głównej Handlowej szereg placówek naukowych podejmowało prace nad typologią kapitalizmu postkomunistycznego. Poniżej zostanie przedstawiony jeden z takich nurtów badawczych, poświęcony kapitalizmowi rozwijającemu się w 11 krajach Europy Środkowej i Wschodniej, przyjętych do Unii Europejskiej (UE11). Początkowo stosowano metodę Amable'a, jednak w kolejnym etapie opracowano oryginalną koncepcję lokalnego kapitalizmu, której poświęcony jest artykuł.

Prace rozpoczęły się w Katedrze Ekonomii Kolegium Gospodarki Światowej w 2015 roku, a rok później dołączyli socjologowie gospodarki z Zakładu Socjologii Ekonomicznej². W pierwszym etapie przedmiotem badań była analiza podobieństw instytucji krajów UE11 i 4 krajów Europy Zachodniej, reprezentujących cztery modele porządków kapitalistycznych zgodne z klasyfikacją Amable'a³. Badania były przeprowadzone metodami ekonomii głównego nurtu: w pierwszym rzędzie nowej ekonomii instytucjonalnej (NEL) i właściwej jej perspektywy teorii racjonalnego wyboru. W wyniku badań stwierdzono odrębność klastra krajów UE11 w stosunku do innych klastrów krajów europejskich oraz niższy poziom spójności i komplementarności architektur instytucjonalnych tych krajów w porównaniu z Europą Zachodnią. Zastosowane metody nie dostarczały jednak podstaw do teoretycznego wyjaśnienia genezy i charakteru specyficznej niespójności. Dla jej opisu użyto wprowadzić terminu *patchwork*, jednak w znaczeniu metaforycznym.

Sytuacja ta skłoniła dwóch członków zespołu, reprezentujących odmienne dyscypliny – socjologię ekonomiczną (Juliusz Gardawski) i ekonomię głównego nurtu (Ryszard Rapacki) – do podjęcia w 2019 roku próby interdyscyplinarnego wyjaśnienia specyfiki lokalnego kapitalizmu. Przyjmując do pracy nad nową konceptualizacją, nawiązano do wybranych wątków metodologicznych i teoretycznych dorobku Maxa Webera, do nowej socjologii ekonomicznej (Mark Granovetter, Richard Swedberg), ekonomii ewolucyjnej i innych nurtów nieortodoksyjnych⁴. Kluczowa dla tej koncepcji kapitalizmu okazała się analiza praktyk stosowanych przez zagraniczne korporacje (TNK) w krajach UE11. Rekonstruowano kapitalizm, wykorzystując w dużym stopniu metodę typu idealnego według propozycji Webera z 1904 roku, przyjęto perspektywę jakościową i holistyczną w odróżnieniu od ilościowej perspektywy pierwszego etapu badań. Za Weberem kładziono nacisk nie tylko na motywacje celowo racjonalne, lecz także wartościowo racjonalne i tradycyjne. Przyjęto definicję *patchworku* jako układu powstającego w drodze dołączania do systemu elementów niezależnych od wcześniej ułożonych przy zachowaniu swobody w ich wchodzeniu i wychodzeniu z systemu i przy braku instytucji kontrolującej układ.

² W skład zespołu autorskiego, kierowanego przez Ryszarda Rapackiego wchodzili obok niego: Adam Czerniak, Bożena Horbaczewska, Juliusz Gardawski, Adam Karbowski, Piotr Maszczyk, Mariusz Próchniak, Rafał Towalski.

³ R. Rapacki (red.), *Kapitalizm patchworkowy w Polsce i krajach Europy Środkowo-Wschodniej*, PWE, Warszawa 2019; R. Rapacki (red.), *Diversity of Patchwork Capitalism in Central and Eastern Europe*, Routledge, 2019.

⁴ J. Gardawski, R. Rapacki, *Patchwork Capitalism in Central and Eastern Europe – a New Conceptualization*, "Warsaw Forum of Economic Sociology", vol. 12 No 2 (24)/2022; J. Gardawski, with cooperation R. Rapacki, *Extended Conceptualization of Patchwork Capitalism*, "Warsaw Forum of Economic Sociology", vol. 13 No 1 (25)/2022.

Porządek kapitalistyczny opisywano używając kategorii „osnowy” i „wątku”. Pierwsza odnosiła się do instytucji konstytuujących porządek: głównie instytucji formalnych, ale także nieformalnych, o ile kształtowały one podstawowe dla danego porządku warunki działania, jego reguły gry. Niespójność formalnej osnowy krajów UE11 była potęgowana przez obecność dwóch warstw instytucjonalnych: pochodzących z dziedzictwa protokapitalistycznego, z autorytarnego socjalizmu oraz z niespójnego zbioru elementów przeszczepionych z różnych aktualnych modeli zachodnioeuropejskiego kapitalizmu.

Kategoria „wątku” obejmuje ogół „graczy” działających na podstawie reguł gry. W realiach krajów EŚW graczami są przede wszystkim duże firmy, w tym należące do międzynarodowych korporacji (TNK).

Geneza i proces kształtowania kapitalizmu patchworkowego

Idealne typologie kapitalizmu mają zwykle swoje zakorzenienie w konkretnych porządkach społeczno-gospodarczych. W przypadku kapitalizmu patchworkowego nawiązuje się do porządku właściwego przypadkowi polskiemu. Model tego kapitalizmu nie jest indukcyjnie wyabstrahowany z realnej genezy polskiego kapitalizmu, wyselekcjonowane zjawiska empiryczne są ułożone w nieco odmiennej konfiguracji i mają nieco odmienny charakter niż rzeczywiste (zawierają elementy *utopii*). W takim właśnie typowo idealnym ujęciu przedstawione będą poniżej główne etapy ewolucji kapitalizmu patchworkowego.

Historia wytyczyła szlak zależności ścieżkowej kilku trwałych elementów porządków społeczno-gospodarczych Polski i większości krajów UE11, z których główny to nikła instytucjonalizacja osnowy ładu społecznego i niski poziom identyfikacji z instytucją państwa. Stefan Nowak uchwycił багаż dziedzictwa u schyłku poprzedniego reżimu: słabo zintegrowane społeczeństwo stanowiło swego rodzaju „federację grup pierwotnych” (rodzinnych i towarzyskich) o słabych więziach z instytucjami oficjalnymi, zjednoczonych w narodowej wspólnotce. Członkowie społeczeństwa mieli skłonność do relatywizowania norm moralnych, podchodzenia z rezerwą do norm prawa („prawno-aksjologicznego nihilizmu”⁵), mieli wysoki poziom zaufania do członków grup własnych, natomiast niski do grup obcych i do pełniących role władcze (niski społeczny kapitał pomostowy i podległościowy).

Wraz ze złagodzeniem reżimu totalitarnego lub przekształcaniem w części krajów EŚW totalitaryzmu w autorytarny socjalizm pojawiły się w niektórych krajach UE11 sprzyjające warunki dla powstania i utrwalenia etosowych grup opozycyjnych, zespolonych wokół idei narodowych i niepodległościowych. W Polsce były to członkinie i byli to członkowie podziemnej Solidarności, w tym inteligenckiej grupy byłych doradców Solidarności z 1980 roku (elita „etosowo-solidarnościowa”).

⁵ G. Skąpska, *Od „legalnej rewolucji” do kontrrewolucji. Kryzys konstytucjonalizmu liberalno-demokratycznego w Polsce*, „Acta Universitas Wratislaviensis”, no. 3791/2017.

Załamanie komunizmu i rządy nowych elit

W momencie przełomu ustrojowego w 1989 roku w żadnym kraju satelickim Związku Radzieckiego ani tym bardziej w żadnej tzw. republice radzieckiej nie istniała klasa ekonomiczna przygotowana do rozwijania porządku kapitalistycznego. W wyniku wyborów władza polityczna wpadła niespodziewanie w ręce nowych elit. Należy dodać, że były to specyficzne elity władzy, powstałe *ad hoc*, ich droga do władzy nie dawała się wyjaśniać w ramach teorii elit. Analizy wykazały, że geneza elit nie była neutralna dla przyszłego porządku kapitalistycznego.

Splot czynników obiektywnych (wielkość i złożoność gospodarki oraz jej kondycja) i subiektywnych (systemy wartości i aspiracje nowej elity) otwierał okno różnorodnych możliwości rozwoju porządku kapitalistycznego – porządkowi demokracji liberalnej lub porządkom *nie*liberalnej demokracji. Za pierwszą ukrywała się ścieżka stopniowo wiodąca do kapitalizmu patchworkowego, za drugą – do kapitalizmu politycznego, oligarchicznego, biurokratycznego („prebendowskiego”) itp.

Wprowadzenie systemu rynkowego było powszechnym programem nowych elit władzy krajów UE11 w momencie obejmowania rządów. Próby realizacji tego programu wywołały w wielu z tych krajów pogorszenie poziomu życia, utratę bezpieczeństwa na rynku pracy i falę strajków. Zmusiło to elity władzy do złagodzenia radykalizmu stosunków rynkowych. W przypadku Polski notowano następstwo dwóch elit etosowo-solidarnościowych: elity *przełomu* i elity *adaptacji*. Pierwsza z nich była symbolizowana nazwiskami Mazowieckiego i Balcerowicza. Fundamentalne znaczenie dla polskiej ścieżki miał fakt, że członkowie tej elity nie aspirowali do roli właścicieli środków produkcji, więcej, nie chcieli wykorzystać władzy do osobistego bogacenia się. Nie było to regułą w świecie postkomunizmu.

Elita przełomu ratowała kraj przed bankructwem, wprowadzając do osnowy rodzącego się porządku kapitalistycznego zasady spójnego modelu liberalnego i uzyskując tym samym przychylność zachodnich wierzycieli, godzących się podtrzymać zamierającą gospodarkę kredytami stabilizacyjnymi. Wystawiono jednak rachunek w postaci konieczności akceptacji modelu radykalnie rynkowego.

Polskie społeczeństwo, cechujące się wysokim poziomem indywidualizmu i zaradności, szybko rozwinęło sektor przedsiębiorstw prywatnych, w których swobodnie kształtowano stosunki pracy. W małej i średniej prywatnej przedsiębiorczości powstał układ patchworkowy (minimalne koszty transakcyjne wchodzenia i wychodzenia do systemu, swoboda w kształtowaniu wewnętrznego ustroju firm). Należy dodać, że misję prywatyzacji podjęły elity w wielu krajach UE11, chociaż idea prywatyzacji nie wszędzie była społecznie akceptowana⁶.

W wyniku liberalizacji nastąpiło pogorszenie materialnego poziomu życia ogółu, utrata poczucia bezpieczeństwa na rynku pracy, fala strajków i ryzyko społecznego buntu antyrynkowego („przeciw-ruchu” w rozumieniu Polanyi’ego).

⁶ T. Popic, *The Role of Ideas in Welfare Reforms in Central-Eastern Europe*, “Working Paper-LPF n. 4. Centro Einaudi, Laboratorio di Politica Comparata e Filosofia Publica With the support of Compagnia di San Paolo”, 2018.

Ta sytuacja wpłynęła na pojawienie się elity *adaptacji*, symbolizowanej nazwiskami Kuronia (z okresu, gdy drugi raz był ministrem pracy) oraz Bączkowskiego. Podjęła ona wyzwanie ze strony „przeciw-ruchu” i ograniczyła pewne mechanizmy rynkowe w imię łagodzenia szoku. Nastąpiło specyficzne ograniczenie procesu daleko idącego utowarowienia przedsiębiorstw państwowych, jednak nie w kierunku nadania im statusu dobra kolektywnego (jak proponowano w ruchu samorządu pracowniczego), lecz w drodze uczynienia z załóg pracowniczych beneficjentą utowarowienia w ramach Paktu o przedsiębiorstwie z 1993 roku⁷.

Te korekty instytucjonalne pogłębiły heterogenię osnowy (m.in. przez wprowadzenie dialogu społecznego rząd-praca-kapitał). Pierwszy etap transformacji (do drugiej połowy lat 90.) dał więc heterogeniczną osnowę i patchworkowy rozrost sektora polskich przedsiębiorstw prywatnych w ramach „wątku”. Ponadto w okresie tym powstały fortuny oligarchów, pojawiły się patologie związane z prywatyzacją, także napływem zagranicznego kapitału spekulacyjnego.

Podsumowując drogę, na którą wszedł polski kapitalizm, można zacytować tezę Stefana Nowaka, że istnieją rzadkie momenty historyczne, gdy o biegu wydarzeń o wielkiej skali społecznej rozstrzygają nie czynniki strukturalne, lecz postawy, wartości i aspiracje, w tym przypadku cechujące elitę etosowo-solidarnościową. Jerzy Bartkowski⁸ następująco opisał to środowisko: „OKP stanowił nietypową elitę władzy. Cechowała ją zarówno specyficzna samoświadomość, jak i wiele nietypowych zachowań. Charakteryzowały ją: 1) poczucie misji i odpowiedzialności za kraj; ciężar oczekiwań społecznych; poczucie «historyczności» w działaniu i zachowaniu; 2) definiowanie swej roli jako reprezentanta kraju, a nie określonego środowiska lub okręgu wyborczego (bardziej reprezentanci «zmiany» niż wyborców); 3) duże znaczenie przywiązywane do zachowań symbolicznych, nadawanie wagi tej sferze i dążenie do stworzenia nowej symboliki narodowej; 4) rola czynników etycznych w wypełnieniu roli; polityka wartości i szlachetności, zakorzeniona w etosie opozycji”.

Odwołując się do koncepcji Acemoglu i Robinsona, elita etosowo-solidarnościowa wprowadzała Polskę na *wąską ścieżkę* demokratycznego liberalizmu, która zakładała rozdzielenie władzy politycznej i własności ekonomicznej. Drogi tej nie wybrały nowe elity na wschodzie, ale także nie weszły na nią niektóre postkomunistyczne elity na południu.

Polska elita władzy i droga ku kapitalizmowi patchworkowemu

Etosowo-solidarnościowa elita władzy, głosząc program radykalnej prywatyzacji, musiała stworzyć warunki dla ukształtowania się klasy własności ekonomicznej. System wartości, ideologia i naciski rynków światowych skłaniały elitę ku kapitałowi zagranicznemu i nadaniu mu pozycji uprzywilejowanej. Autorzy badań wszystkich porządków spo-

⁷ Nawiązano tu do ramy teoretycznej z pracy Marka Ziółkowskiego, Rafała Drozdowskiego i Mariusza Baranowskiego *Utowarowienie w perspektywie socjologicznej*, Scholar, Warszawa.

⁸ J. Bartkowski, *OKP jako elita władzy*, „Studia Polityczne”, tom 46, nr 2/2018, str. 18.

leczno-gospodarczych krajów UE₁₁ wskazywali na zależność tych gospodarek od bezpośrednich inwestycji zagranicznych (BIZ), zależność ta przyjmowała jednak różny zakres w zależności od kraju.

W Polsce powstały specyficzne warunki, które nadały BIZ wyjątkową swobodę. Wiązało się to z głębokością kryzysu i akceptacją zasad tzw. konsensusu waszyngtońskiego. Oznaczał on likwidację barier wobec BIZ, gwarancję praw własności, wspieranie wolnej konkurencji, politykę antymonopolistyczną, a także ograniczenie ingerencji państwa w gospodarkę. Ponadto notowano niski zasób krajowego kapitału i brak rodzimej burżuazji, która ograniczałaby możliwości rozwoju BIZ. Spotęgowało to patchworkowy wzrost gospodarki: szeroko otworzono wrota przed zagranicznymi korporacjami i dano im przywilej bezkosztowego wchodzenia do systemu i wychodzenia z niego oraz kierowania swoimi firmami w sposób praktycznie nieomal niezależny od regulacji krajowych.

Pamiętając o typowo-idealnej perspektywie, można stwierdzić, że tam, gdzie wcześniej rozwinęły się załączki kapitalizmu patchworkowego i zaakceptowano wymienione powyżej zasady, kapitał zagraniczny, działający racjonalnie, przybierał formę, którą trafnie opisał model Zależnej Gospodarki Rynkowej (ZGR) Andreasa Nölkego i Ariana Vliegentharta⁹. Wprowadzenie w życie modelu pozwoliło w następnym kroku na konsolidację kapitalizmu patchworkowego.

Zgodnie z modelem ZGR poszczególne zagraniczne korporacje (TNK) realizują produkcję wielkoseryjną nowoczesnych, lecz nieinnowacyjnych produktów na podstawie *know-how* opracowanego często w krajach macierzystych danej TNK i pod kontrolą tamtejszych central, a następnie zaspokajają głównie popyt poza granicami kraju goszczącego. W efekcie jednym z istotnych problemów krajów zdominowanych przez model ZGR staje się brak możliwości realizacji długookresowego ukierunkowanego rozwoju własnej gospodarki.

W rezultacie trzon gospodarki staje się patchworkowym zbiorem zagranicznych korporacji, stanowiących swego rodzaju zamknięte monady rządzące się własnymi regułami. Zbiór ten wzrasta i zmniejsza się zależnie od decyzji zagranicznych central TNK, rozwija lub hamuje rozwój danych dziedzin gospodarki zgodnie z polityką tych central.

Kapitalizm patchworkowy odpowiada interesom kapitału zagranicznego i ma zróżnicowany wpływ na efektywność gospodarek krajów UE₁₁, zależnie od uwarunkowań panujących w poszczególnych krajach w danych okresach. Ma on zarówno przewagi konkurencyjne, jak i deficyty. Na poziomie makro można wymienić następujące przewagi: a) szeroki nurt BIZ powoduje wprowadzanie do gospodarki innowacji organizacyjnych i marketingowych, zasadniczo unowocześnia krajowe gospodarowanie; b) następuje wzrost produkcji i eksportu; c) pojawia się możliwość szybkiego reagowania gospodarki na wyzwania dzięki elastycznej strukturze osnowy i łatwemu wchodzeniu i wychodzeniu TNK do systemu; d) TNK zapewniają stosunkowo lepsze warunki pracy i płacy niż przedsiębiorstwa krajowe (są jednak wyjątki); f) TNK stosunkowo szczerze wypełniają rynek, tworząc z czasem własną „elitę

⁹ A Nölke, A. Vliegenthart, *Enlarging the Varieties of Capitalism: The Emergence of Dependent Market Economies in East Central Europe*, „World Politics” 61(4)/2009.

kompradorską”, co skutecznie powstrzymuje rozwój warstwy krajowych oligarchów; g) z racji słabości osnowy praktycznie ułatwiony jest wzrost entropijny, począwszy od importu toksycznych odpadków i lokowania przedsiębiorstw zanieczyszczających środowisko naturalne, kończąc na działalności przedsiębiorstw nieprzestrzegających praw pracowniczych.

Główny deficyt w skali makro to ograniczanie jakościowego rozwoju krajowej gospodarki i utrwalenie *dryfu* rozwojowego oraz swoboda kształtowania ustroju wewnętrznego TNK, co wywołuje zanik zinstytucjonalizowanej partycypacji pracowniczej i reprezentacji interesu pracowniczego.

Bardzo ważną przewagą konkurencyjną w skali mikro są więź społeczna i społeczny kapitał zaufania tkwiące w małych grupach, co tworzy dyspozycję do *brania spraw w swoje ręce* bez oczekiwania odgórnych regulacji. Jest to atut w okresach systemowych kryzysów, jak pandemia COVID-19, co zostało wykazane w badaniach empirycznych.

Perspektywy kapitalizmu patchworkowego w ujęciu typowo-idealnym należy rozpatrywać diachronicznie. Jego powstanie miało miejsce w czasach trwałego pokoju w naszej części świata i dominacji w światowej gospodarce demokracji liberalnej bliskiej modelowi Liberalnej Gospodarki Rynkowej. Wówczas optymalną drogą dla krajów w głębokim kryzysie gospodarczym, pozbawionych kapitału, o elitach politycznych niosących misję demokratyzacji i urynkowienia, niezainteresowanych w sprywatyzowaniu dla siebie majątku państwowego, był model kapitalizmu patchworkowego, radykalnie rynkowego, odpowiadający gospodarce rozwijanej przez niemonopolistyczny kapitał zagraniczny. Wprowadzenie modelu miało swoją cenę – przynosił wprawdzie modernizację i wzrost gospodarczy, jednak utrudniał ukierunkowany rozwój gospodarczy (wywoływał *dryf*). Odpowiadający modelowi porządek doprowadził do opanowania trzonu gospodarki przez zagraniczne korporacje: zajęły one większość atrakcyjnych miejsc przy stole symbolizującym gospodarke.

W czasie, gdy powstaje ten esej, sytuacja polityczna i gospodarcza świata uległa destabilizacji, ideologia radykalnie rynkowa przestała być efektywna. Wyzwaniem dla krajów liberalnej demokracji, bliskich typowi idealnemu kapitalizmu patchworkowego stało się ograniczanie zasięgu patchworku przez instytucję państwa kreatywnego nastawionego na rozwój kapitału endogennego o własnych celach rozwojowych. Niemniej typ idealny kapitalizmu patchworkowego jest nadal, zdaniem piszącego te słowa, trafnym narzędziem w studiach porównawczych krajów UE11. ■

Juliusz Gardawski – emerytowany profesor SGH, członek Komitetu Nauk o Pracy i Polityce Społecznej PAN.

Problematyka tego artykułu była przez Autora i jego współpracowników poruszana w kilku wcześniejszych publikacjach, np.: J. Gardawski, *Zarys koncepcji kapitalizmu patchworkowego*, „Biuletyn PTE” nr 2(101)/2023; J. Gardawski, *Partycypacja pracownicza w polskim kapitalizmie patchworkowym. Kłopoty z systemem*, „Tygodnik Spraw Obywatelskich” nr 294 (33), 19 sierpnia 2025 r.; J. Gardawski, R. Rapacki, *Patchwork Capitalism in Central and Eastern Europe – a New Conceptualization*, op. cit.; J. Gardawski with cooperation R. Rapacki, *Extended Conceptualization of Patchwork Capitalism*, op. cit.

POLITYKA

Bariera postępu: wykoślawione wzorce polityki



Mirosław KARWAT

Postęp społeczny nie jest tożsamy ze wzrostem gospodarczym, lecz polega na rozwiązaniu kluczowych problemów, stawieniu czoła obiektywnym koniecznościom technologicznym i ekonomicznym, na sprostaniu kolejnym wyzwaniom cywilizacyjnym. Zmiana na lepsze to nie tylko dobrobyt, ale i psychiczny dobrostan, komfort, i moralne odczucie, że panujące stosunki są sprawiedliwe, zapewniają godność i umożliwiają potwierdzenie tożsamości wszystkim, a nie wybranym uczestnikom życia społecznego. Do tego niezbędny jest odpowiedni format sterników życia społecznego.

Tymczasem w kręgach klasy politycznej – tej, która miałaby nas wszystkich poprowadzić ku lepszemu – wręcz nabrzmiewają anachronizmy i dysfunkcje. Tak: jedną z istotnych barier postępu we współczesnej Polsce są wykoślawione lub wręcz wynaturzone wzorce polityki (jako gry, kooperacji, walki, rządzenia) i style działalności politycznej, destrukcyjne mechanizmy selekcji liderów i karier politycznych (teraz najczęściej: dworskich i/lub medialnych). Splot takich deformacji podważa społeczną reprezentatywność instytucji politycznych (partii i parlamentu), rzeczywistą służebność polityków i urzędników, a nawet czysto pragmatycznie i doraźnie rozumianą efektywność rządów.

O kilku takich barierach będzie tu mowa.

Reprezentacja *in blanco*, czyli oligarchizacja

Przedstawicielski typ demokracji (w odróżnieniu od trudnego do zastosowania w makroskali państwowej modelu demokracji bezpośredniej) uznawany jest – w perspektywie liberalnej – za atrybut i sprawdzian demokracji panującego porządku prawnopolitycznego.

Rozumowanie jest tu równie proste, jak optymistyczne. Skoro władze wyłaniane są w drodze i w rezultacie wolnych wyborów, to mają one *demokratyczną legitymację*. I mało tego, są reprezentatywne, bo przecież to wyborcy sami zdecydowali, kto ma ich reprezentować, to znaczy: wyrażać ich interesy i oczekiwania, podejmować decyzje w ich imieniu itd.

A przecież... można podejmować decyzje rzeczywiście w imieniu i zgodnie z wolą swoich wyborców, ale równie dobrze takie, które tym interesom, oczekiwaniom, jak i własnym zapowiedziom *wybrańców ludu* zaprzeczają,

a co najmniej rozmijają się z nimi. Wola wyborców nie stoi na przeszkodzie temu ani zawczasu, ani po fakcie. Wynik wyborów działa do końca kadencji, więc jest jak w sklepie: po odejściu od kasy reklamacji nie uwzględnia się. Można też – po tym, gdy już nas wybrali – zawierać takie koalicje i kompromisy, które zaprzeczają woli/upoważnieniu ze strony wyborców, gdyż głosowali jednoznacznie za czymś (czego nie doczekają), a zarazem lub przynajmniej przeciw czemuś i komuś.

Można wreszcie być wybranym z jednej listy wyborczej, a następnie swobodnie zmienić klub parlamentarny, przystąpić nawet do tej formacji, przeciwko której się startowało. I włos z głowy nie spadnie, a prawdopodobieństwo ukarania przez niewybranie w następnej elekcji jest minimalne – bo płynna część elektoratu i tak kieruje się nie barwami ideologicznymi, lecz rozpoznawalnością, a *zdrajca* będzie kandydował już z innej listy, a więc kto inny będzie go wybierał; raczej nagrodzi za dołączenie, niż ukarze. Nie ukarzą go ci, którzy może mieliby ochotę, lecz już nie mają jak. Nieodwoływalność parlamentarzystów – zarówno formalna, jak i praktyczna – sprawia, że wybór reprezentanta przypomina nie delegowanie wykonawcy woli (pozostającego pod efektywną kontrolą), lecz zawarcie swoistej umowy o jednostronnym kierunku i na zasadzie *in blanco*. Wybieramy wszak ze świadomością (cyniczną), że po wyborze reprezentant i tak zrobi to, co sam zechce lub co nakaze mu lider (a to groźniejsza instancja niż opinia publiczna).

Demoliberalny model reprezentacji politycznej ładnie się nazywa, ale w istocie jest ładną fasadą. Po pierwsze, nie polega na ciągłej zależności – poza samym głosowaniem – reprezentanta od tych, którym obiecał reprezentowanie, lecz opiera się na ciągu transakcji. Jest to model transakcyjny właśnie. Pierwotną transakcję między wyborcami a kandydatem po wyborze zastępuje i modyfikuje transakcja między wybranym a zmiennymi grupowymi klientami, adresatami jego ofert oraz między nim a politykami z innych formacji, których *szable* musi pozyskać w zamian za rozmaite ustępstwa. *Reprezentowanie* zyskuje więc status taki jak pełnomocnictwo *in blanco*. I niewiele tu zmienia wyrazy rozczarowania, niezadowolenia, przejściowe spadki notowań (które jednak nie uśmierca) itp.

Po drugie, wybrany już reprezentant jest *dyscyplinowany* nie naciskiem społecznym, lecz wolą lidera ugrupowania, a poniekąd i jego mocodawców, lobbies, które sfinansowały jego start i sukces lub umożliwiły to ekwiwalentnym sposobem wsparcia, obsługi. Wiadomo od dawna, że o wyniku wyborów decydują bardziej zasoby niż programy czy rzeczywiste walory kandydatów, partii. A po wyborach poseł, senator boi się nie tyle tego, że go nie wybiorą (patrz wyżej), ile tego, że liderzy go nie wystawią na liście, w każdym razie nie na miejscu *biorącym*.

Taka ułomność tego modelu reprezentacji – z *carte blanche* do końca kadencji – nie jest przypadkiem, lecz rezultatem liberalnego w duchu zaprogramowania na sumę czy wypadkową podmiotowości indywidualnej obywateli (jako obywateli, podatników, konsumentów, mieszkańców), a nie na podmiotowość grupową określonych klas społecznych, warstw, grup zawodowych, środowisk, społeczności, wspólnot kulturowych. Agituje się („wybierzcie nas”) i kusi marketingiem oraz popolitą demagogią

statystyczny zbiór zwany elektoratem, a nie grupy społeczne mające wolę zbiorową i rzetelną, a wpływową reprezentację pozapolityczną. Marketing wyborczy przypomina marketing, promocję i reklamę w handlu, w sterowaniu konsumpcją, a nie klasyczną propagandę czy odwoływanie się do diagnozy problemów, zasobów społecznych i prawdopodobnych kosztów zmian.

Ta dezagregacja podmiotów grupowych (zredukowanych do sumy obywateli oddzielonych od grupowej agregacji i artykulacji interesów) powoduje, że nacisk społeczny, kontrola nad rządzącymi i pretendentami do władzy ma ograniczony zasięg i skuteczność, natomiast ułatwiona jest ekwilibrystyka i koniunkturalna zmienność ofert politycznych, manipulacyjne dyskutowanie nastrojów społecznych, okolicznościowych *wzmożeń*, także – kariery polityczne tak pokrętne, jak ruch konika szachowego (naprzód i w bok).

Jednym z pozorów reprezentatywności społecznej sił politycznych usytuowanych w parlamencie i w instytucjach rządowych oraz sprzymierzonych mediach jest *fetyszyzacja sondaży*, pozwalająca na powoływanie się na oczekiwania, życzenia, żądania, na wyrażany w sondażach opinii dystans lub opór itp. Od dawna już odnotowano fenomen tzw. *sondażokracji*, której karykaturalnym przejawem jest zachowanie polityka jak cukrzyka, gdy mierzy poziom glukozy nawet kilka razy dziennie. Taki polityk od tych pomiarów uzależnia i do nich dostosowuje swoje decyzje, nie od swych zobowiązań, realnego znaczenia spraw. Reaguje na bodźce sondażowe jak pies w pogoni za zajączkiem z lusterka. Nie myśląc o tym, jak ulotna jest tego rodzaju *presja społeczna* – w odróżnieniu od tego, co go w dłuższym czasie uwiera.

Mamy więc taki paradoks, że w tym mechanizmie reprezentacji całe grupy społeczne nie mają reprezentacji lub tracą swoją reprezentację ze względu na alienację elit, rozszady w kręgu nawet partii *kanapowych*. A partia kanapowa 3 osób może być języczkiem u wagi – w czasie, gdy całe grupy społeczne pozbawione są głosu.

Jedna z przyczyn tego stanu rzeczy jest dobrze znana, choć konsekwentnie przemilczana. Mianowicie: formalnie każdy może (ale nie musi) być reprezentowany, tymczasem niejeden nie może praktycznie, chociaż mógłby formalnie. Wiadomo przecież, że podobnie jak w grze w pokera nawet słaba karta wygrywa dzięki większej „kasie w banku” i zręczności taktycznej gracza, tak w wyborach o wyniku decydują zasoby finansowe i materialne uczestników, posiadanie własnego lub przychylnego zaplecza medialnego, dobrze opłacona profesjonalna kampania; o sensowności startu kandydata także decyduje jego kieszeń, konto.

Czy uwarunkowany tym przekrój społeczny parlamentarzystów jest współmierny do statystycznego rozkładu statusu majątkowego obywateli? Czy to przypadek, że gros parlamentarzystów stanowią przedsiębiorcy, gracze giełdowi, właściciele kilku domów i mieszkań na wynajem? Czy to przypadek – a z drugiej strony, czy to jest zdrowe społecznie – że na zajmowanie się polityką stać (i mogą sobie na to pozwolić zasobem wolnego czasu) bogacze, aspirują zaś do roli polityków ludzie, którzy wiedzą, że „tu są konfitury”. Świątek polityki to albo krezusi, albo beneficjenci ekskluzywnych kredytów – przez to zarazem zakładnicy mocodawców. Mocodawców, nie wyborców.

Zachodzi ścisły związek między postępującym rozwarstwieniem społecznym i realizowanym modelem bynajmniej nie zrównoważonego rozwoju a ku-

mulacją władzy, własności i prestiżu. Podobnie: między taką oligarchizacją świata polityki, establishmentu a pogłębieniem kryzysu w służbie zdrowia, budownictwa mieszkaniowego, oświaty, komunikacji publicznej. Przyrost masy samochodów elektrycznych (atrakcyjnie dotowanych!) nie świadczy o tym, że „po prostu” jakoby „Polakom żyje się lepiej”.

Patologiczna personifikacja i personalizacja polityki

Wprawdzie uczestnicy, jak i świadkowie życia politycznego zachowują z tyłu głowy świadomość, że jest ono grą interesów wielkich grup społecznych i psychodramą zbiorowych namiętności światopoglądowych i ideologicznych, nie przenosi się to jednak ani na wyobrażenie o mechanizmach polityki, ani na praktykowane siłą oczywistości i przyzwyczajenia formy działania politycznego. W tych miejscach faktycznie obowiązuje indywidualistyczna wizja społeczeństwa i podmiotowości. Społeczeństwo, jak i elektorat to w tej optyce zbiory statystyczne, a za realnych uczestników polityki uznaje się jednostki – głównie jednak lub wyłącznie te w rolach formalnie kierowniczych, władczych lub co najmniej przywódczych.

W postrzeganiu (w medialnym, a nawet i edukacyjnym interpretowaniu) polityki regułą dominującą jest dość trywialna *personifikacja*, a w praktykowanym stylu działania *personalizacja*.

Personifikacja polega na traktowaniu określonych jednostek (w tym wypadku: ideologów, wodzów, monarchów, republikańskich przywódców) jako uosobienia, jednostkowego ucieleśnienia tendencji społecznych, sił społecznych, określonych wspólnot itp. Więcej – jako samoistnych sprawców wielkich dokonań. Nie musi to być mitologizacją, może wiązać się z rzeczywistą reprezentatywnością takich osób.

Jednak trywialna, wynaturzona personifikacja to już inna jakość: tu wyróżnionej jednostce przypisuje się taką rolę, jak gdyby to jej osobiste cechy (przymioty, ambicje, cechy charakteru) określały tożsamość danej wspólnoty, jak gdyby to ona była pierwotnym inicjatorem i sprawcą zmian społecznych, a nie wyrazicielem tendencji społecznych, oczekiwań społecznych, kimś zainspirowanym procesami społecznymi, co więcej, jak gdyby była ona niezastąpionym zwornikiem wspólnoty. To perspektywa (z długą tradycją w postaci heroistyczno-cezarystycznej wizji dziejów) kusząca dla samych polityków (ich miłości własnej, próżności, nawet manii wielkości) i wygodna tak dla nauczycieli, jak i dla mediów. Tyle tylko, że prowadzi na manowce, skupia uwagę na politycznych efemerydach, gwiazdach sezonu, których 15 minut nikt po latach nie pamięta, odwraca zaś uwagę od *ruchów sejsmicznych* w społeczeństwie, od krystalizacji alternatyw społecznych, jakich nie wyrażają żadne rankingi osobistej sławy, popularności, zaufania. Tymczasem właśnie taka optyka, w tym stymulowana marketingiem i PR perspektywa *wizerunkowa*, zdominowała w Polsce tak zwany dyskurs polityczny.

Idzie to w parze z obłędem *medialności*. Bo jest główną treścią w medialnych informacjach i komentarzach politycznych? Personalalia, personalia, personalia. Awantury, awantury, skandale – z protagonistami wprawdzie politycznymi, lecz oprawionymi w takie ramy, jak w porta-

lach Pudelek, Plotek, Pomponik. Oświadczenia, komentarze, spekulacje. Relacje z decyzji, wydarzeń, konfliktów, przełomów politycznych przypominają bądź kronikę towarzyską, bądź drogową kronikę wypadków.

Personalizacja to taki praktyczny mechanizm funkcjonowania ruchu społecznego, stowarzyszenia, partii, Kościoła, rządu, państwa, kiedy realna i wyłączna władza (nawet jeśli nie przewiduje tego akt założycielski, statut, konstytucja) skupiona jest w rękach jednej osoby. Jej wyobrażenia, jej wola (nawet zupełnie arbitralna), jej osobiste ambicje tudzież obsesje, fobie, nawet urojenia przesądzają – niekiedy nawet z góry – o tym, do czego ma dążyć zbiorowość, czemu się podporządkować (zadaniem podwładnych, obywateli/poddanych/członków partii jest posłuszeństwo, dyspozycyjność, niezawodność w wykonywaniu rozkazów), czego się wyrzec (wątpliwości, samodzielności, zdania odrębnego, poszukiwania alternatyw). Kolegialne organy kierownicze okazują się tylko zapleczem serwisowym dla Wodza.

Klasyczne ucieleśnienia takiego mechanizmu to dawne jedynowładztwo (zwłaszcza despotyczne) czy *Führerprinzip* w partii nazistowskiej, stalinizm. Ale to wzór „wiecznie żywy” w niejednej korporacji, armii dowodzonej autorytarnie, partii, którą przewodniczący kieruje jak dowódca w stanie wojny. Popisy Donalda Trumpa to współczesna odsłona nie tylko mentalnego, ale i praktycznego przerostu ego nad warunkami funkcjonowania wspólnoty. Personalizacja władzy jest w istocie odwróceniem ról: rzekomy Sługa narodu (choć w roli Przewodnika, Patrona, Opiekuna), to taki *przewodnik stada*, który czuje się / staje się właścicielem stada. A wspólnota stadem właśnie.

Otóż tak się składa, że demoliberalny model ustrojowy wcale nie uniemożliwia przekształcenia życia politycznego w licytację egocentryzmu i egoizmu polityków. A w dalszej konsekwencji – sprawowania przywództwa po prostu ku własnej chwale i megalomanii, tylko pod pretekstem służebności. Niewielu z nas zauważa, że właśnie takiej ewolucji demokratycznej polityki sprzyja jej sprzężenie z marketingiem i PR, z wymogami i kryteriami medialności. A właśnie to dzieje się w życiu politycznym współczesnej Polski. Jest tak, że nie tylko mamy polaryzację zamiast pluralizacji, ale i status przywódców (choćby ich przywództwo trwało jeden sezon albo i krócej) jako „osi obrotów” czy jako pępek świata.

Wynaturzenie przywództwa: prywatyzacja partii

Patologiczna już nie tylko personifikacja, ale też w praktyce personalizacja działalności politycznej przejawia się wyraźnie w kilku tendencjach dominujących.

Po pierwsze, w tym, że w okolicznościach powstawania (ale potem tym bardziej funkcjonowania) sił politycznych, formacji politycznych, zwłaszcza formalnie rozumianych i rejestrowanych partii politycznych, czynnikiem kluczowym jest nie proces zbiorowego samookreślenia i samoorganizacji określonych grup społecznych lub wspólnot ideowych, kulturowych, wyłaniających w tym procesie swych wyrazieli, ale osobista ambicja i inicjatywa, nawet powstały *ad hoc* mit czy wrażenie charyzmy i status pewnej osobistości jako *ojca założyciela*. Status zarówno zwyczajowo-mentalny (jak jest postrzegany i traktowany ten założyciel), jak i nawet formalny – np. w statucie, ba, w samej nazwie partii. Znane przykłady: Ruch Palikota;

Kukiz'15; Polska 2050 Szymona Hołowni. W tej ostatniej nazwie językoznawca musiałby rozstrzygnąć, czy własnością Hołowni jest Polska 2050, czy Polska w ogóle – do roku 2050.

Po drugie, stąd już tylko krok do modelu partii wodzowskiej, skrzyżowanej z monarchicznym zgoła mechanizmem dworu. Praktyczną konsekwencją takiego przepoczwarczenia partii deklarujących demokratyczną orientację ustrojową jest uzależnienie karier polityków od uznania lidera jako chlebobdawcy, nawet od zmiennych etapów łaski/niełaski, od zasług dla Szefa itd. Na ironię zakrawa fakt, że w partiach demokratycznej (demokratycznej, bo antypisowskiej?) koalicji rządzącej też przeważa autokratyczny, choć jeszcze nie skrajnie autorytarny, jak po przeciwnej stronie, styl przywództwa i kierowania.

Po trzecie, gdy partia przybiera charakter wodzowsko-monarchiczno-dworski, to zarazem o tyle staje się „nowoczesna”, że przekształca się nieomal w prywatne przedsiębiorstwo Wodza-Chlebobdawcy. Życie wewnątrzpartyjne opiera się wtedy na czynniku osobistego zaufania ze strony Lidera, wymagania i sprawdzania osobistej lojalności, na schemacie paternalistyczno-klientelistycznym. Trudno się dziwić, że kiedy tak funkcjonuje partia wewnątrz, to również jej polityka gospodarcza, społeczna, kulturalna oscyluje między transakcjonizmem a paternalizmem właśnie.

Po czwarte wreszcie, tak ubezwłasnowolniona partia – w której alternatywa dla czyjegoś przywództwa nie istnieje albo zostaje przekreślona w zarodku – staje się sceną dla osobistej psychodramy Przywódcy – zwłaszcza wtedy, gdy jest to Narcyz. A ten mechanizm najbardziej sprzyja właśnie narcystycznym pretendantom do kariery politycznej.

Temu towarzyszy politykierska deformacja rywalizacji o przywództwo. Zostaje ona zredukowana do gry osobistych ambicji, antypatii, rewanży lub co najwyżej do koteryjnych układów – zamiast być odzwierciedleniem współzawodnictwa prawdziwie alternatywnych koncepcji programowych, strategicznych i taktycznych, i to takich, za którymi stoją szersze kręgi członków i zwolenników partii, a nie tylko ambicje i roszady w kręgach aparatu czy wręcz dworu.

Medializacja

Współzależność między mediami a światem polityki ma charakter ambiwalentny.

Z jednej strony niektóre media – usiłując zasłużyć na miano niezależnych, wolnych – realizują w jakimś stopniu swoją tak optymistycznie pojmowaną funkcję czwartej władzy, a więc czynnika kontroli, krytyki społecznej, ekspresji przejawów oporu społecznego wobec woluntaryzmu ośrodków władzy, miejsca rozliczenia nadużyć władzy i machlojek.

Z drugiej jednak strony to, co należałoby nazwać *medializacją polityki* staje się źródłem poważnych i trwałych deformacji życia politycznego, działalności politycznej.

Medializacja polityki to – najogólniej rzecz ujmując – podporządkowanie tej sfery życia społecznego i w szczególności mechanizmów selekcji kadr politycznych, karier polityków, powodów do poparcia społecznego itd. kryteriom i wymogom „medialności”.

W praktyce oznacza to:

(1) przekształcenie gry politycznej, walki politycznej, a nawet procesu rządzenia, podejmowania decyzji w *spektakl medialny* – co staje się albo wyłączną naturą tej interakcji, albo mistyfikacją ideologiczno-propagandową, przesłonięciem przez teatr polityczny rzeczywistej gry interesów i wpływów;

(2) dostosowanie nie tylko form komunikacji polityków ze społeczeństwem (komunikacja za pośrednictwem mediów – telewizji, radia, internetu, z odwołaniem do sondaży i komentarzy w coraz większym stopniu *zamiast* bezpośredniego kontaktu polityków ze środowiskami społecznymi), ale nawet kalendarza i grafiku wydarzeń politycznych do telewizyjnej czy radiowej ramówki;

(3) uzależnienie karier polityków nie tyle od ich merytorycznych kwalifikacji tudzież poparcia, namaszczenia przez określone środowiska, grupy zawodowe, społeczności, ile od ich talentów medialnych, a więc umiejętności atrakcyjnej autoprezentacji, krasomówstwa, przebojowości w stylu show biznesu, ale też równie dobrze od widowiskowego pieniądza;

(4) zaskakującą z początku, a dziś już spowszedniałą i niedziwiącą *celebryzację* polityki. Politycy nie tylko naśladują celebrytów w swych zabiegach o uwagę, rozpoznawalność, popularność, ale i *stają się* celebrytami w swojej mentalności i w swojej roli;

(5) poważniejszą tego konsekwencję – *infantylizację* polityki i polityków, widoczną w ich zachowaniach rodem z piaskownicy czy teatryku szkolnego, w przeniesieniu czasu i miejsca aktywności, obecności publicznej do social mediów z komentarzami zamieszczanymi z intensywnością biegunki.

Medializacja – demoralizacja

Każdy z tych aspektów oznacza *per saldo* negatywną selekcję protagonistów sceny politycznej, w tym zupełnie przypadkowe wloty i „objawienia” w stylu Dyzmy. Zaczynają się kariery, które w zderzeniu z realnymi problemami i koniecznością zajęcia jednoznacznego stanowiska okazują się – ale dopiero poniewczasie – blamażem.

Medializacja polityki pociąga za sobą *demoralizację* polityków. Życie polityczne zostaje przesycone manifestacjami egocentryzmu i egotyzmu polityków, w skrajnych (ale licznych!) przypadkach demonstrujących samopojenie, poczucie samowystarczalności, pochłoniętych (wbrew deklaracjom) nie *służbą społeczną*, lecz autopromocją i samoobsługą. „Parcie na szkło” tak powszechne wśród polityków z ambicjami (ambicjami osobistymi, nie programowymi, nie w roli wyrazicieli oczekiwań społecznych) prowokuje do pytania, czym właściwie na co dzień zajmują się medialne gwiazdy polityki, skoro „nie wychodzą z telewizora”; ile czasu poświęcają działalności, a nie występom.

Przy tym trudno nie zauważyć pewnego paradoksu. Wydawałoby się, że ta medializacja sprzyja *konkursowi osobowości* (co prawda, osobowości medialnej, co nie jest tym samym, co potencjał intelektu, wiedzy, oryginalności); tymczasem jednak skutkuje ona rozszerzoną *reprodukcją klonów*. Politycy wypowiadający się czy to w studiu, czy na korytarzach sejmowych lub ministerialnych w odpowiedzi na indagacje dziennikarzy, czy podczas

konferencji prasowych mówią tzw. przekazem dnia, recytują gotowe i utarte formułki. Odpowiedzi na najbardziej precyzyjne i jednoznaczne, ale kłopotliwe pytania są równie przewidywalne jak wykrętne, gdy mają zająć stanowisko w sprawie jakiegoś problemu, decyzji czy zdarzenia. Wszystko jedno, kto odpowiada, na pewno każdy powiedziałby to samo.

Paradoks pochodny: im bardziej spersonifikowany i spersonalizowany jest dyskurs polityczny, tym bardziej jest zdepersonalizowany. Wśród deficytów demokracji liberalnej w Polsce współczesnej na czołowym miejscu powinniśmy wymienić deficyt indywidualności, brak osobowości *twórczych* torujących drogę innowacji, transgresji, zdolnych do antycypacji poważnych tendencji i zmian społecznych; gdy w bród mamy odtwórców i przetwórców schematów dawno przebrzmiałych. Przypomina to teatr, w którym repertuar jest od lat niezmienny (i przez to ograny), lecz obsada kolejnych spektakli rotacyjna. A narracja mediów w kwestiach polityki jest właśnie taka – zdarzeniowa, cykliczna, rzadko procesualna. Z pozoru podobna do fabuły *Dnia świstaka*. Ale jednak nie, bo zarówno media, jak i politycy – w odróżnieniu od bohatera tego filmu – nie uczą się modyfikacji, nie wykorzystują powtórek do poprawki.

W procesie postępującej medializacji i celebrytyzacji politycy upodabniają się do dawnych... *kawiarnianych polityków*. „Politykują” (w każdym razie przed ekranem i mikrofonem), co niezupełnie jest tym samym co prowadzenie, realizowanie polityki. Zawsze są *au courant*, gdy chodzi o kwestię *kto kogo z kim* – i zawsze spóźnieni, gdy chodzi o diagnozę społecznych problemów i konieczności, tym bardziej – o projekty rozwiązań.

Konkluzja

Zarysowana powyżej lista wynaturzeń – do których jednak tak się przyzwyczailiśmy, że już nie dziwią, nie zastanawiają, nie skłaniają do zmiany – to oczywiście wrywkowy, niekompletny przegląd i ogląd cech dysfunkcyjnych w mentalności i w praktyce funkcjonowania świata polityki we współczesnej Polsce. Nie ma też walorów precyzyjnej generalizacji statystycznej. Oczywiście nie wszyscy uczestnicy polityki (w tym tacy, jak intelektualiści, aktywiści społeczni, urzędnicy) są zarażeni omówionymi deformacjami. Zmuszeni są jednak do funkcjonowania – że tak się wyrażę – w chorym obramowaniu.

Nie bez powodu raz po raz mamy takie odczucie, jak gdyby ważne sprawy nie posuwały się naprzód, jak gdybyśmy jako społeczeństwo i państwo stali w miejscu. Przepraszam, *ruszamy się* w miejscu – jak ćwiczący na bieżni treningowej. Taśma się przesuwa, my tylko w zmienionym miejscu i czasie powtarzamy te same kroki, byle wytrzymać i się nie przewrócić.

Nie zmieni się wiele w życiu społecznym (poza tym, że znów przyrośnie PKB), jeśli nie zmieni się styl życia publicznego, gry politycznej, mentalność polityków i pretendentów do tej roli. ■

Mirosław Karwat, prof. nauk humanistycznych, Uniwersytet Warszawski, Wydział Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych, Katedra Teorii i Myśli Politycznej.

TRADYCJE PPS

Kilka uwag o aktualności myśli społeczno-politycznej Polskiej Partii Socjalistycznej. Konteksty i ewolucje



Mirosław CHAŁUBIŃSKI

Zacznę od samoograniczeń. Pasjonujący temat – historia PPS – choć do-
czekał się już wstępnych, nierzadko kompetentnych opracowań¹, zasługuje
z pewnością na dalsze, kompleksowe studia. Nie mogą zostać one z oczywi-
stych względów w tym miejscu podjęte. Co najwyżej można zająć się proble-
matyką zaanonsowaną w tytule artykułu.

Metrykalnie rzecz ujmując, PPS powstała w 1892 r. i mając nieco ponad
130 lat jest zdaniem historyków najstarszą partią lewicową w Polsce. Mimo
długiego istnienia nigdy nie sprawowała ona samodzielnie rządów, lecz co
najwyżej współrządziła, odgrywając szczególnie ważną rolę po I i II wojnie
światowej. Współcześnie jest tylko partią *kanapową*, lecz idee i programy,
które współtworzyła w swej długiej historii, wciąż okazują swoją żywotność,
aktualność w życiu politycznym². Często dzieje się to bez świadomości ich
uczestników w epoce transformacji postkomunistycznej.

Chciałbym jednak uniknąć prezentyzmu, *sztucznych aktualizacji* (tzn.
błąd popełnianego nierzadko przez historyków i politologów, a zwłaszcza
polityków), których przyczyną jest abstrahowanie od szeroko pojmo-
wanego, zmieniającego się kontekstu historycznego, stronniczości, jednostron-
ności oceny zjawisk, osób, podmiotów zbiorowych i skutków ich działania.
Często bywa to skutkiem ich uwikłania w polityczną *bieżączkę*.

Przykładów tego typu dostarcza w obfitości historia PPS. Po I wojnie świa-
towej była ona często oskarżana o komunizm. W PRL nierzadko krytykowa-
no ją za polityczną niedojrzałość, burżuazyjność, rewizjonizm i niewielki
wkład – w porównaniu z PPR – w funkcjonowanie państwa podziemnego

¹ J. Tomicki, *Polska Partia Socjalistyczna 1892–1948*, Warszawa 1983; Adam i Li-
dia Ciołkoszowie, *Niepodległość i socjalizm 1835–1945*, Warszawa 1984 (I wyd. 1976);
J. Holzer, *PPS. Szkic dziejów*, Warszawa 1977.

² M. Śliwa, *PPS – mit który wraca*, „Przegląd” 2021/11 (rozm. R. Walenciak).

i udział w odbudowie struktur gospodarczych po II wojnie światowej. Współcześnie zaś – w wersji prawicowej, IPN-owskiej – PPS jest traktowana jako jedna z mutacji „lewactwa”, wprawdzie może nie najbardziej szkodliwa dla NARODU i PAŃSTWA (słów tych należy używać, pisząc je wielką literą!), ale jest to coś, co należy oceniać negatywnie i zwalczać poprzez politykę historyczną, edukację itp.

Tak więc, reasumując, powiem, że *wyluskiwanie* przynajmniej niektórych wątków i rozwiązań z ponadwiekowej myśli PPS wymaga krótkiej prezentacji dziejów tej orientacji pod kątem współczesności, co też czynię poniżej.

*

Przypomnę, że Polska Partia Socjalistyczna powstała w listopadzie 1892 r. w Paryżu. W zebraniu założycielskim, który uznano później za I Zjazd i któremu przewodniczył Bolesław Limanowski (1835–1935), uczestniczyło 18 polskich socjalistów. Zjazd ten stanowił nie tylko sukces organizacyjny, który wpłynął na integrację środowisk lewicowych na ziemiach polskich, lecz także przyspieszył krystalizację programową powstałej partii, bowiem na pierwszy plan – oprócz realizacji socjalizmu jako celu nadrzędnego – wysunęła się walka o niepodległość. Stało się to w polskim ruchu robotniczym przedmiotem wielu kontrowersji.

Powstająca PPS czerpała szeroko ze wzorów zachodnioeuropejskiej socjaldemokracji, przyjmując – generalnie – pokojowe metody walki i ewolucjonizm w dochodzeniu do ustroju socjalistycznego³.

PPS odegrała także niemałą rolę w walce o niepodległość podczas I wojny światowej. Nie zapominajmy, iż socjalistą był wtedy Józef Piłsudski, pierwszorzędný wówczas polityk. Zwraca też uwagę duża obecność członków tej partii w Legionach, zaś później w tworzeniu podstaw instytucjonalno-ustrojowych państwa polskiego⁴. Oprócz Piłsudskiego wymienić też należy udział m.in. Ignacego Daszyńskiego i Jędrzeja Moraczewskiego w tworzeniu pierwszych gabinetów II RP, wojnie polsko-bolszewickiej, redagowaniu konstytucji marcowej (1921), w traktacie ryskim (1921).

Ogólnie rzecz biorąc, PPS dążyła do stworzenia systemu parlamentarno-gabinetowego, samorządności pracowniczej, ustawodawstwa pracy, praw wyborczych kobiet, spółdzielczości. Słowem – systemu demokratyczno-liberalnego z szeroką obecnością instytucji zaliczanych współcześnie do społeczeństwa obywatelskiego⁵. PPS, choć poparła zamach Piłsudskiego w maju 1926 r., uznając go wciąż za socjalistę, to jednak popierała będący w Europie w odwrocie porządek liberalny i krytykowała obecne wówczas w niej trendy autorytarne, faszystowskie, generalnie antydemokratyczne. Charakterystyczne było zachowanie PPS w okresie Centrolewu (był to blok wyborczy stronnictw centrum i lewicy, działający w latach 1929–1930, stawiający silny opór autorytarnym tendencjom obozu sanacyjnego i jej wodzowi)⁶.

³ J. Tomicki, *op. cit.*, rozdział I; J. Holzer, *op. cit.*

⁴ A. Garlicki, *Józef Piłsudski*, Warszawa 1988.

⁵ Nie wszyscy jednak, bowiem J. Piłsudski był raczej zwolennikiem ustroju prezydenckiego, a system, który współtworzył po r. 1926, ewoluował w stronę autorytaryzmu.

⁶ A. Garlicki, *op. cit.*, s. 403–635.

Wyrazem rozbratu między PPS a sanacją był personalny spór między Piłsudskim a będącym jego przyjacielem i bliskim współpracownikiem Dażyńskim.

W okresie II wojny światowej PPS odegrała znaczący udział w organizowaniu na uchodźstwie tzw. państwa londyńskiego, a także w okupowanym kraju w podziemiu tworzyła partię nazywaną Wolność-Równość-Niepodległość (w skrócie WRN). Czołową rolę w jej działalności odegrał Kazimierz Pużak. PPS-WRN charakteryzował zdecydowany antykomunizm i pełne obawy nastawienie do ZSRR związane z imperialistyczną polityką Stalina wobec Polski.

Późniejsze, tzn. podejmowane już od połowy 1944 r. próby utworzenia tzw. odrodzonej PPS opierały się na lewicowych odłamach socjalistów (m.in. RPPS), nie zaś reaktywowaniu PPS-WRN⁷, gdyż wielu ludzi z tej partii nie weszło do nowych tworów politycznych współpracujących z Polską Partią Robotniczą. Bodaj najbardziej wpływowym działaczem ówczesnej PPS był Józef Cyrankiewicz, który od początku 1947 r. pełnił funkcję premiera RP.

Powstaje pytanie, jaką rolę PPS odegrała po II wojnie światowej? Odpowiadając pokrótce, stwierdzę: jako partia współrządzająca – nie małą w odbudowie kraju. Można w jej polityce dostrzec próby realizacji wcześniej sformułowanych założeń programowych budowy demokratycznego socjalizmu⁸. Bodaj najpełniej sformułował je wówczas Julian Hochfeld w swej koncepcji *polskiej drogi do socjalizmu*⁹. Myśli tam formułowane wyrażały silne przekonanie, iż podejmowane w Polsce wysiłki budowania nowego ustroju powinny się różnić demokratyzmem od tych, które realizowano w ZSRR¹⁰.

Niestety tzw. zjednoczenie ruchu robotniczego, które dokonało się w końcu 1948 r., stanowiło de facto wchłonięcie PPS przez PPR. Szanse realizacji *polskiej drogi do socjalizmu* zostały tym samym przekreślone, zaś imitacja wzorów ustrojowych rodem z ZSRR w różnych dziedzinach przybrała szczególnie intensywną postać. Można powiedzieć, iż jeśli określenie „totalitaryzm” znajduje w odniesieniu do naszego kraju teoretyczne uzasadnienie, to właśnie w tym, co działo się w latach 1948–1954. Zjednoczenie ruchu robotniczego prowadziło też do pomniejszania roli w życiu publicznym niedawnych działaczy, mimo iż niektórzy z nich zajmowali wysokie stanowiska, np. Cyrankiewicz był premierem, oprócz lat 1952–1954. Sytuacja zmienia się w okresie przedpaździernikowym, a zwłaszcza w październiku 1956 r, gdy można powiedzieć, iż wielu dawnych działaczy (w tym ówczesny premier Cyrankiewicz) wsparło dochodzącego do władzy Władysława Gomułkę i związane z tym demokratyczne przemiany w różnych dziedzinach, m.in. w sferze szeroko rozumianej kultury, nauki, spółdzielczości¹¹. Nie wszystkie z tych przemian okazały się być trwałe, co spowodowało kryzysy w okresach późniejszych.

⁷ M. Śliwa, *Polska Partia Socjalistyczna (1918–1948)*, Wrocław 1988; r. V.

⁸ A. Werblan, *PPS jaką pamiętam*, „Tak po prostu” 2012/8.

⁹ M. Chałubiński, *Polityka i socjologia. Studium koncepcji Juliana Hochfelda*, Warszawa 1991, rozdział II.

¹⁰ Określeniem tym posługiwali się również działacze PPR (m.in. W. Gomułka), ale wkładano w nich treści bliższe rozwiązaniom ustrojowym ZSRR, niż to czyni PPS.

¹¹ Z. Siemiątkowski, *Między złudzeniem a rzeczywistością. Oblicze ideowe PZPR pod rządami Władysława Gomułki*, Toruń 2018; J. J. Wiatr, *Drogi i bezdroża reformatorów w PZPR*, „Dziś” 1991/4.

Można też powiedzieć, iż wielu dawnych działaczy aktywizowało się w okresach kryzysowych, w latach 1956, 1970, 1980, co tworzyło polską specyfikę odróżniającą nas od innych krajów bloku wschodniego. Co prawda ludzie z PPS nie stanowili bynajmniej jedynej grupy polityków reformatorsko i krytycznie nastawionych wobec PRL, jednak ich obecność zaznaczała się w wielu momentach bardzo wyraźnie. Przykładem może tu być powstanie w 1976 r. Komitetu Obrony Robotników, które dokonało się w Warszawie w mieszkaniu prof. Edwarda Lipińskiego, znanego ekonomisty i historyka, dawnego członka PPS-Lewicy (a później PZPR). Członkowie KOR odegrali później niemałą rolę w tworzeniu NSZZ Solidarność¹².

Wspomnieć też należy o późniejszych próbach reaktywowania PPS. W okresie października 1956 r. inicjatywy takie przejawiał Edward Osóbka-Morawski, były premier i członek władz tej partii po II wojnie światowej. W listopadzie 1987 r. czołowi działacze opozycji Jan Józef Lipski i Piotr Ikonowicz również działali w tym kierunku. Jednakże rozłamy w tych kręgach nie doprowadziły do powstania skutecznego podmiotu politycznego. Wpłynęły jednak na powstanie lewicowych ugrupowań, m.in. Unii Pracy (1992), której czołowym działaczem był Ryszard Bugaj.

*

Słowem, PPS w swej historii, której niektóre fragmenty pobieżnie naszkicowałem, wykazywała istotną obecność i żywotność w życiu politycznym oraz ideowym naszych czasów. Szczególnie ważne wydaje się być lansowanie we współczesnym, pragmatycznym świecie demokratycznych i egalitarnych przekonań, wiary w potencjał rozwojowy człowieka. Wiązą się one z lewicowym myśleniem, choć napotkać można ich obecność w różnych kompozycjach polityczno-ideowych. Dla nas szczególnie ważne są zagrożenia dla wartości z nimi związanych, jako że naiwną wiarę w nieuchronne zwycięstwo postępu à la Francis Fukuyama mamy już dość dawno za sobą¹³. W tym kontekście idee obecne w programach PPS wydają się być godne przywołania i analizy. Mam na myśli kryzys demokracji liberalnej i wzrost w świecie tendencji autorytarnych. Przez autorytaryzm rozumiem wszelkie niedemokratyczne rządy, włącznie z totalitaryzmem jako ich formą skrajną¹⁴. Różne badania sondażowe konstatują zahamowanie po *trzeciej fali demokratyzacji* przyrostu liczby krajów demokratycznych. Obserwujemy też ożywienie tendencji autorytarnych w państwach, które jeszcze bardzo niedawno uchodziły za wzorzec demokracji – np. USA Donalda Trumpa. Rośnie też pozycja polityczna i gospodarcza Chin, których do demokracji liberalnych w żaden sposób zaliczyć nie można. Stają się one wzorcem dla części świata. Zwłaszcza dla Globalnego Południa¹⁵.

¹² G. Kucharczyk, *Polska myśl polityczna*, Dębogóra 2009, rozdział 6; P. Zakrzewski, *Po prostu profesor*, „Gazeta Wyborcza” 30.11.2024.

¹³ F. Fukuyama również, gdyż jego poglądy w różnych sprawach ewoluowały.

¹⁴ Z. Krasnodębski, *Autorytaryzm* [w]: *Encyklopedia Socjologii*, tom I, Warszawa 1998, s. 46–48; A. Walicki, *Marksizm i skok do królestwa wolności. Dzieje komunistycznej utopii*, Warszawa 1996.

¹⁵ J. J. Wiatr, *Kryzys, ale nie przegrana*, „Res Humana” 2025/3; J. Reykowski, *Rozczarowanie demokracją. Perspektywa psychologiczna*, Oxford University Press 2020.

Przypomnieć należy w tym kontekście niewątpliwe sukcesy neoliberalizmu jako dominującej doktryny ekonomicznej współczesnego kapitalizmu w końcu XX i początkach XXI wieku. Personifikacjami neoliberalnej polityki byli niewątpliwe Ronald Reagan i Margaret Thatcher. Określenie „neoliberalizm” (inaczej „fundamentalizm rynkowy”) weszło w szerszy obieg w drugiej połowie XX wieku i wiązać go można z upadkiem „realnego socjalizmu” i początkiem postkomunistycznej transformacji¹⁶. W Polsce jego wybitnym przedstawicielem był Leszek Balcerowicz, kilkakrotnie pełniący funkcję wicepremiera ds. gospodarczych. Ekonomiczna polityka realizowana zgodnie ze wskazaniem neoliberalizmu prowadziła do wzrostu nierówności wewnątrz poszczególnych społeczeństw i między państwami. Wybitni jej polscy krytycy, m.in. Andrzej Walicki, Grzegorz Kołodko, Tadeusz Kowalik, Andrzej Szahaj, Jerzy J. Wiatr, wykazywali, iż prowadzi ona do poważnych ograniczeń państwa opiekuńczego wiążących się z traktowaniem społeczeństwa jako swego rodzaju rynku, na którym wygrywają lepsi.

Neoliberalizm zakłada pewną filozofię człowieka. Ma on naturę egoisty, materialisty. Właściwie dobrze opisuje go określenie *homo oeconomicus*¹⁷. Zwolenników praktyk neoliberalizmu cechuje też gloryfikacja własności prywatnej jako podstawy organizacji życia społecznego. Krytycy doktryn i praktyk neoliberalnych wykazują istnienie różnych wariantów kapitalizmu, gdyż oprócz opcji anglosaskiej znajdziemy inne, m.in. zawierający elementy socjalne wariant skandynawski. Nazwijmy go kapitalizmem zhumanizowanym. Albo kapitalizmem z ludzką twarzą. Reasumując, powiem, że do tej rodziny należy też myśl społeczna PPS. To dobra tradycja. Nie wolno o niej zapominać. ■

¹⁶ *Neoliberalizm* (K. D.) [w]: *Leksykon politologii*, Wrocław 1999, s. 322–323; A. Walicki, *Od projektu komunistycznego do neoliberalnej utopii*, Kraków 2013.

¹⁷ A. Szahaj, *Kapitalizm a natura ludzka*, „Przeгляд” 2020/35 oraz *Inny kapitalizm jest możliwy*, Warszawa 2019.

One były pierwsze ...



Danuta WANIEK

Walka kobiet o równouprawnienie ma swoją znaczącą, aczkolwiek wciąż niedocenianą historię. Sądzę, że nawet członkinie współczesnych organizacji kobiecych nie zawsze są świadome tego, ile ich poprzedniczki gotowe były poświęcić za cenę uzyskania praw obywatelskich na równi z mężczyznami. Warto historię tych walk przypominać, bo pierwsze emisariuszki praw kobiet płaciły za swą determinację cenę najwyższą: utratę życia, wolności, zdrowia i godności ludzkiej. Nie ulega wszakże wątpliwości, że i dziś polityczna aktywność kobiet – podobnie jak 200 lat temu – ma nieprzejechanych przeciwników, a bywa też ryzykowna.

W Europie i w Polsce ukazało się mnóstwo opracowań, analizujących różnicowane doświadczenia feminizmu, opisujących jego zniuansowane

odcienie, zróżnicowane metody osiągania stawianych przez kobiety celów oraz rezultaty ich aktywności. Polska jest najlepszym przykładem tego, jak trudno jest w praktyce przezwyciężyć skutki wielowiekowego obowiązywania zasady patriarchalnej¹, w obronie której pojawiały się zawsze argumenty, wynikające z dogmatów religijnych.

Odświeżmy więc pamięć przynajmniej o niektórych inicjatorkach tych walk, ponieważ stawiane przez nich cele i postulaty wciąż wymagają kontynuacji i uwagi. Można przyjąć, że we współczesnym świecie troska o prawa kobiet jest niezmiennym wyzwaniem.

Co przyniosły kobietom francuskie rewolucje?

Pierwsze nadzieje na zmianę sytuacji kobiet po odrzuceniu feudalizmu niosły hasła Wielkiej Rewolucji Francuskiej, która wynosiła mieszczactwo na szczyty interesów i stosunków społecznych. Szybko jednakże okazało się, że zapowiadane w jej toku hasło „Wolność, Równość i Braterstwo” obywatelsko upodmiotowiły jedynie mężczyzn. I chociaż zawartość *Deklaracji praw człowieka i obywatela*, uchwalonej przez Konstytuante 26 sierpnia 1789 r., wywodziła się z myśli politycznej największych filozofów europejskiego Oświecenia², kobiety zostały w niej wykluczone – nawet jeśli pierwszy artykuł Deklaracji stanowił, że „wszyscy ludzie rodzą się i pozostają wolni i równi wobec prawa”³. Rozczarowanie kobiet angażujących się po stronie rewolucji zradycyzowało ich wystąpienia. Domagały się zagwarantowania im praw obywatelskich w konstytucji, nie chciały być traktowane przez państwo jako istoty niesamodzielne, wymagające stałej kurateli ojca lub męża.

Nie powinno więc dziwić, że w 1791 r. w przestrzeni rewolucyjnej pojawił się dokument nazwany *Deklaracją praw kobiety i obywatelki*, której koronnym hasłem było równouprawnienie płci. Napisała go Olimpia de Gouges (1748–1793) i ogłosiła, że jeśli kobieta ma prawo wstąpić na szafot, to powinna być dla niej dostępna również trybuna publiczna⁴. Zwolenniczki de Gouges i napisanej przez nią Deklaracji nosiły w czasie rewolucji strój *à l'egalite'* (równość), który był charakterystyczny dzięki czerwonej czapce frygijskiej, będącemu symbolem republikanizmu.

Jednak oczekiwania kobiet zostały przez przywódców rewolucji uznane za zbyt radykalne, choć aktywnie uczestniczyły we wszelkich ważnych wydarzeniach, nosiły nawet broń i potrafiły jej użyć. Wkrótce okazało się, że determinacja kobiet budziła opór członków Konstytuanty, nieprzygotowanych na daleko idące ustępstwa obyczajowe. Kobiety francuskiej rewolucji poniosły klęskę, co współcześnie zostało skwito-

¹ Zasada patriarchalna – opierała się na dominującej roli mężczyzn w państwie społeczeństwie i rodzinie, bądź inaczej – system społeczny, w którym decyzje z zakresu władzy, autorytetu i przywództwa należą do mężczyzn.

² Mam tu na myśli dzieła filozoficzne Monteskiusza, J.J. Rousseau, Johna Locke'a oraz Diderota.

³ Takiemu potraktowaniu kobiet przeciwstawiał się w czasie obrad Konstytuanty jedyny mężczyzna – filozof Nicolas Condorcet (1743–1794), który jako jeden z pierwszych w historii zaproponował wpisanie do konstytucji powszechnej i obowiązkowej edukacji, równouprawnienia kobiet i ludzi wszystkich ras. W niektórych analizach określany jest mianem największego umysłu rewolucyjnej Francji.

⁴ M. Ostrogorski, *Kobieta i prawo publiczne*, Warszawa 1898, s. 34.

wane trafnym stwierdzeniem, że „Francuzi wyswobodzili się z pęt feudalnych, ale łańcuchy mizoginizmu pozostawały nienaruszone”⁵. Zezłoszczona tym Olimpia de Gouges zaatakowała ostro samego Robespierre’a, w wyniku czego latem 1793 r. zostaje aresztowana i skazana na śmierć. I tak twórczyni później *Deklaracji praw kobiety i obywatelki* 3 listopada 1793 r. zostaje zgilotynowana w Paryżu na Placu Rewolucji. „Taki był męczeński koniec najwspanialszej patriotki, agitatorki walczącej o sprawy kobiece, lecz nie rewolucjonistki. W jej działaniu trudno odnaleźć szal łwic czy hien rewolucji. Dostrzegamy kobietę dobrą, wrażliwą na nędzę i cierpienie, skłoną do poświęceń, która upodlenie najniższych warstw przenosi na kobiety. Staje się kolejno ich obrończynią i orędowniczką, żąda dla nich tych samych praw i przywilejów, które mężczyźni sami sobie nadali i ograniczyli do swego świata. Walczy z otwartą przyłbicą, bez względu na konsekwencje”⁶.

Myślę, że z opisanych powyżej przyczyn warto przypominać pierwszą w historii nowożytnej Europy *Deklarację praw kobiety i obywatelki*⁷. Należy jednak zaznaczyć, że choć Rewolucja Francuska nie była łaskawa dla formowania praw kobiet, to – jak twierdzi Michelle Perrot – w sferze cywilnej zrobiła dla nich wiele, ustanawiając m.in. śluby cywilne i rozwody, wolność małżeństw, a także równość chłopców i dziewczynek przy dziedziczeniu⁸.

Co ciekawe, wizerunek kobiety w roli romantycznej przywódczyni ludu powrócił we Francji w wyniku kolejnej rewolucji, zwanej rewolucją lipcową, która trwała trzy dni – od 27 do 29 lipca 1830 r. Skierowana była przeciwko rządowi Karola X, który swymi ordonansami znosił zdobycze obywatelskie z czasów Wielkiej Rewolucji. Wiktor Hugo w *Pieśni o zmięczeniu* napisał, że przez trzy dni i trzy noce lud w Paryżu kipiał płomieniem, w wyniku czego król abdykował na rzecz Ludwika Filipa, który wstąpił na tron jako król Francuzów, zrywający z prawem boskim. Nastrój drugiej rewolucji w przemawiający sposób oddał artysta Eugen Delacroix, który namalował obraz pt. *Wolność wiodąca lud na barykady*. Alegoryczną postać wolności symbolizował wizerunek kobiety – odważnej Marianny, która w jednej ręce trzyma rewolucyjną flagę trójkolorową, a w drugiej karabin z bagnetem. Prof. Maria Janion opisywała ją jako *Kobietę-Wolność i Przewodniczkę*, prowadzącą „lud na barykady, niosącą sztandar wyznawców lub oświetlającą drogę w przyszłość”⁹. Na obrazie Delacroix głowę Marianny znów zdobi czapka frygijska utożsamiana z niepodległością i niezależnością, która stała się symbolem narodowym we Francji¹⁰.

⁵ T. Wysocki, *Zapomniana płeć – jak rewolucja francuska nie chciała pamiętać o kobietach*, [w:] Acta Universitatis Lodzianensis, Folia Litteraria Romanica 8/2013, s. 224.

⁶ J. Radwan-Pragłowski, *Kobieta i mężczyzna. Człowiek rozdwojony*, Kraków 2009, s. 231.

⁷ Tekst Deklaracji, z którego korzystała autorka, został zamieszczony [w:] L. Braun, *Historia rozwoju ruchu kobiecego*, przeł. J. Oksza, Warszawa 1904, s. 83. Warto dodać, że *Deklarację praw kobiety i obywatelki* współcześnie opublikowało pismo feministyczne Ośka, nr 11/2000 r.

⁸ Patrz: *Dwa wieki kobiet – rozmowa z historyczką prof. Micheale Perrot*, [w:] „Wysokie Obcasy” z 26 lutego 2000 r., s. 25. Z sarkazmem należy dodać, że Francuzki, jak na prekursorce politycznego feminizmu przystało, prawa wyborcze otrzymały dopiero w 1944 r.

⁹ M. Janion, *Kobiety i duch inności*, Warszawa 2006, s. 5. Obraz E. Delacroix jest prezentowany w Luwrze.

¹⁰ Historię namalowaną przez E. Delacroix uzupełnił pieśń *Paryżanka*, której słowa napisał Casimir Delavigne.

Na postęp w walce o równouprawnienie trzeba będzie poczekać we Francji do Wiosny Ludów. Jej przebieg sprawi, że znów pojawią się środowiska, które ożywią hasła walki o prawa kobiety i obywatelki. Wydawane będą pierwsze czasopisma dla kobiet, jak „La gazette des femmes”, „Voix des femmes” i „Tribune des femmes”. Na ich łamach wznawiane będą postulaty, które we Francji jako pierwsza spisała Olimpia de Gouges.

2. Wiosna Ludów w CK Austrii 1848 r. nie dla praw obywatelskich kobiet

Rok Wiosny Ludów 1848 był przykładem dramatycznego zrywu kobiet w walce o swe prawa również na terenie cesarstwa austriackiego. Jednakże hasło emancypacji kobiet nie było hasłem pierwszoplanowym. U źródeł Wiosny Ludów i jej przebiegu dominowały kwestie narodowe (Czechów, Węgrów, Polaków, Chorwatów, Serbów i Ukraińców) oraz sprawa chłopska. Zniesienie pańszczyzny było wówczas jednym z naczelnych postulatów, o swoje prawa walczyli również mieszczaństwo oraz studenci. Żądanie zagwarantowania kobietom uczestnictwa w życiu publicznym pojawiło się jako jedno z wielu i nienajważniejsze.

Za przyczynę pierwszej demonstracji kobiecej uznaje się w piśmiennictwie austriackim protest robotnic pracujących w obrębie robót publicznych i wykonujących proste prace ziemne. Demonstracja miała miejsce 21 sierpnia 1848 r., a jej powodem było obcięcie płac kobiet w porównaniu z dniówką mężczyźn otrzymywaną za tę samą pracę. W literaturze przedmiotu ich reakcja nosi nazwę „powstania kobiet”, które na początku cieszyło się nawet poparciem kobiet ze środowisk mieszczańskich. Atmosfera wokół ich wystąpień zmieniła się gwałtownie, gdy na ulicach Wiednia uzbrojone już w pistolety robotnice zażądały chleba. Nazywano je wówczas „narzeczonymi barykad” lub „kobiecyimi flintami”. I choć do demonstracji o charakterze ekonomicznym dołączali się mężczyźni, wnosząc hasła zmiany porządku społecznego, to powszechny strach i narastającą niechęć budziły na ulicach uzbrojone kobiety. Jedną z takich demonstracji rozgromiła krwawo gwardia narodowa¹¹, stąd wydarzenie to na kartach historii otrzymało nazwę „rzezi na Praterze”.

Bezwzględne spacyfikowanie powstania kobiet wywołało reakcję jednej kobiety: 28 sierpnia 1848 r. został powołany do życia pierwszy Wiedeński Demokratyczny Związek Kobiet, który zorganizowała Karolina von Perin Gradenstein (1806–1888), pochodząca z bogatej, szlacheckiej rodziny. Wydarzenie to dało początek nowoczesnemu ruchowi kobiecemu, który swoje cele określał jako „polityczne, socjalne i humanistyczne”. Członkinie Związku postulowały emancypację kobiet, poszerzenie uczestnictwa kobiet w życiu publicznym, ale przede wszystkim dostęp do oświaty i wykształcenia dla wszystkich środowisk kobiecych.

Zgłoszone postulaty, łamiące odwieczne bariery obyczajowe, wywołały ostry sprzeciw, a nawet złość po stronie kręgów rządzących, chociaż utrzymywane wówczas stosunki społeczne w coraz mniejszym stopniu

¹¹ I. Neubauer, *Die Wiener Revolution 1948: Arbeiterinenaufstand, Barrikadenbräue und der erste politische Frauenvereine Osterreichs*, [w:] Austria-Forum: Frauen in Revolution, 2008.

przystawały do warunków ekonomicznych, narzucanych przez rozwijający się kapitalizm. Cesarstwem rządził wówczas żelazną ręką kanclerz Metternich (1773–1859). Polityk ten, opierając się na instytucjach państwa policyjnego, a w szczególności przy pomocy cenzury zdecydowanie pilnował tego, aby w granice cesarstwa nie przedostawał się powiew nowych idei, który naruszyłby obowiązujący w cesarstwie porządek społeczny.

W dniu 28 sierpnia 1848 r. w sali na terenie wiedeńskiego Parku Ludowego odbywało się spotkanie Demokratycznego Związku Kobiet. Niespodziewanie zostało zakłócone przez wtargnięcie na salę rozjuszonych mężczyzn, brutalnemu atakowi towarzyszyło prześmiewcze zachowanie i groźby pobicia. Spotkanie zostało siłą przerwane, a późniejsze próby kontynuowania działalności Związku były lekceważone lub przyjmowane ze zgorzaniem, bo kobiety ważyły się organizować i demonstrować. Prasa konserwatywna nazywała Karolinę von Perin Gradenstein „brudną amazonką” lub „przekupką polityczną”.

Na gruncie wprowadzonego na terenie Wiednia prawa wojennego, w listopadzie 1848 r. Demokratyczny Związek Kobiet został rozwiązany, a po upadku rewolucji jego przywódczyni Karolina von Perin została surowo ukarana: aresztowano ją i pobito tak, że utraciła słuch, a następnie wyekspediowano w 1849 r. do Monachium, pozbawiono majątku i opieki nad dziećmi. Jednym słowem, utraciła wszystko, co miała. Po dłuższej chorobie chciała jednak wrócić do Wiednia, by odzyskać opiekę nad dziećmi. Pozwolono jej na to pod warunkiem, że odwoła poglądy głoszone w czasie rewolucji. Cena była wysoka, ale Karolina von Perin Gradenstein zgodziła się na to i zdementowała swój udział w wydarzeniach z 1848 r. Pozbawiona majątku zarabiała ledwie na życie, prowadząc biuro pośrednictwa. Zmarła jako osoba samotna i uboga.

Wiosna Ludów nie dała kobietom nadziei na uczynienie z nich pełnoprawnych obywaterek cesarstwa. Musiało minąć 20 lat, aby kobiety zaczęły organizować się na nowo, ale tym razem na gruncie zawodowym. Tak w latach 60. powstaje Wiedeńskie Stowarzyszenie Kobiet Pracujących, którego głównym celem działania była poprawa sytuacji ekonomicznej kobiet.

3. Determinacja Angielek w walce o prawa wyborcze

W 1790 r. ukazał się w Wielkiej Brytanii pamflet autorstwa Mary Wollstonecraft pt. *A Vindication of the Rights of Women* (*Żądanie uznania praw kobiet*). Autorka po raz pierwszy w Wielkiej Brytanii tak jasno wypowiedziała się w sprawie przedmiotowego traktowania kobiet, ich dokuczliwej nierówności w stosunku do praw mężczyzn i tym samym poniżenia. Trzeba było czekać następne 50 lat, aby w 1839 r. ukazała się napisana w podobnym duchu książka Sary Ellis pt. *The Women in England* (*Kobiety w Anglii*). Obie książki nie zrobiły wówczas większego społecznego wrażenia, mimo że sama idea nadania kobietom praw politycznych, w tym przede wszystkim wyborczych, została poparta przez znanego filozofa i liberała Johna Stuarta Milla (1806–1873). Szczególny rozgłos przyniosło mu dzieło, napisane wspólnie z żoną Harriet pt. *Poddaństwo kobiet* (*The Subjection of Women*), wydane w 1869 r.

Druga połowa XIX stulecia przyniosła w Anglii ukształtowanie się masowego ruchu sufrażystowskiego, który dawał przykłady niezwyklej odwagi i determinacji, świadczące o coraz większej sile buntu obywatelskiego

kobiet. Rząd Jej Królewskiej Mości nie traktował tej walki obojętnie, uczestniczki demonstracji publicznych traktowane były przez aparat policyjny z niezwykłą brutalnością. Wpychane do aresztów i więzień, bite i torturowane, przez lata nie dawały za wygraną, ponosząc w tej walce również ofiarę z życia.

Ale walka nie słabła. Pod koniec XIX w. demonstracje sufrażystowskie stały się w Wielkiej Brytanii codziennością. Przeciwnikiem reformy prawa wyborczego był m.in. Winston Churchill, który twierdził: „Nic mnie nie przekona, bym głosował za powszechnym prawem wyborczym kobiet”.

Dlaczego mógł tak powiedzieć? – ponieważ w 1866 r. brytyjska Izba Gmin, odrzucając petycję o uchwalenie powszechnego prawa wyborczego, wyraziła pogląd, że kobiety nie są w stanie pojąć reguł rządzących polityką, więc przyznanie im wpływu na państwo byłoby bardzo ryzykowne¹².

Należy w tym miejscu podkreślić, że nie złamało to siły sufrażystek. Wręcz przeciwnie, ruch kobiet przyciągał coraz większą uwagę społeczną, zwłaszcza że uczestniczyły w nim nie tylko kobiety z warstw uprzywilejowanych, ale również z klasy robotniczej. I choć za najsłynniejszą brytyjską sufrażystkę uważana jest Emmeline Pankhurst (1858–1928), wywodząca się z bardzo zamożnej manchesterskiej rodziny, to walka kobiet o równouprawnienie w Wielkiej Brytanii zrodziła rzadką, międzyklasową kobiecą solidarność¹³. Godne miejsce w tej walce zajęły również kobiety wywodzące się ze środowisk robotniczych. Pracujące w fabrykach zyskiwały nie tylko samodzielną pozycję gospodarczą, ponieważ w ślad za tym postępowała ich niezależność i rosła świadomość polityczna.

Ostatecznie o prawach wyborczych Angielek rozstrzygnęła I wojna światowa: skoro potrafiły zastąpić w przemyśle i w innych dziedzinach życia odesłanych na wojnę mężczyzn, to w obliczu tych faktów wietrzały argumenty brytyjskich konserwatystów, odmawiających kobietom praw obywatelskich.

Reforma prawa wyborczego została przeprowadzona w Wielkiej Brytanii w styczniu 1918 r., kobiety w Anglii stały się obywatelkami.

4. Wśród Polek działo się inaczej

Na ziemiach polskich już w pierwszej połowie XIX w. kobiety zaczynały tworzyć własne organizacje, pozwalające artykułować ich ówczesne poglądy i cele. Nie mają one jednak charakteru politycznego. Do początków XX w. kobiety na wszystkich zabranych ziemiach polskich nie tylko nie miały dostępu do legalnego życia politycznego, ale i do pobierania nauki na poziomie średnim i wyższym (sytuacja ta zmienia się dopiero pod naciskiem masowych wystąpień rewolucyjnych w 1905 r.).

Pierwszą organizacją, jaką należy odnotować w historycznym łańcuchu faktów i wydarzeń, jest Towarzystwo Dobroczynności Patriotycznej Związek Kobiet, powstałe w 1830 roku. Bezpośrednim impulsem, który towa-

¹² Patrz: A. Krajewski, *Jak kobiety wywalczyły sobie prawa wyborcze*, [w:] *Newsweek* z 13.04.2018 r.

¹³ Dowodów na to dostarczyła Sian Norris w opracowaniu pt. *Sufrażystki z klasy robotniczej*, krytykapolityczna.pl/swiat/sufrazystki-z-klasy-robotniczej-historia/ [dostęp: 18.02.2026].

rzyszył wówczas potrzebie organizowania się, było dążenie do bezpośredniego zaangażowania się w walkę narodowowyzwoleńczą. Z tej przyczyny upolitycznianie się ruchu kobiecego na ziemiach polskich następowało w sposób odmienny, niż miało to miejsce w krajach europejskich. W procesie budzenia się świadomości politycznej z tzw. warstw oświeconych poczesne miejsce zajmowała *misja patriotyczna*, którą Polki realizowały zgodnie z posiadanymi możliwościami i umiejętnościami. Mam tu w szczególności na myśli aktywność na niwie edukacyjnej. W literaturze przedmiotu znajdziemy ciekawą uwagę, że „dla znacznej części samych kobiet zaangażowanie się w tworzenie i prowadzenie np. tajnych polskich szkółek ludowych na wsi czy w mieście stawało się substytutem równouprawnienia. Tak więc – w odróżnieniu np. od angielskich – w polskich warunkach walka nie tyle o prawa polityczne, co narodowe stanowiła ważny, często pierwszy impuls do organizowania się kobiet”¹⁴.

Nie można w tym miejscu pominąć zaangażowania Polek w działalność konspiracyjną – kurierską, sanitarną czy też organizowanie zbiórek pieniędzy na rzecz aktywności patriotycznej. Działaniom tym patronował etos Żołnierki, a jego symbolem była Emilia Plater.

Wśród dziewcząt polskich, z kultem Emilii Plater czuła się duchowo związana Anna Henryka Pustowójtówna (1843–1881), w okresie wczesnej młodości uczestniczka i organizatorka manifestacji niepodległościowych, za co w 1861 r. została skazana na karę pozbawienia wolności, którą miała odsiedzieć w klasztorze prawosławnym w głębi Rosji. W drodze na zesłanie udało się jej uciec, a już w 1863 r. zgłasza się do powstania styczniowego: w Staszowie gen. Marian Langiewicz mianował ją adiutantem pułkownika Dionizego Czachowskiego. W czasie walk powstańczych Pustowójtówna używała męskiego pseudonimu – Michał Smok, brała udział w bitwach pod Małogoszczą i pod Grochowiskami. Aresztowana wraz z Langiewiczem zostaje osadzona w więzieniu w Krakowie. Starania o jej uwolnienie czyni miejscowy Komitet Kobiet, który po jej wyjściu z aresztu zaopatruje ją w większą sumę pieniędzy tak, aby mogła uciec przed represjami za granicę. Za uzyskane pieniądze Pustowójtówna udaje się do Paryża, gdzie znów włącza się w działania wojenne. Jako sanitariuszka brała udział w wojnie francusko-pruskiej, a następnie w Komunie Paryskiej¹⁵.

W licznych opracowaniach znajdujemy podkreślenie, że charakter ruchu emancypacyjnego Polek wynikał z narodowych uwarunkowań historycznych i był w swych początkach w całości podporządkowany sprawie niepodległości państwa. Między powstaniem kościuszkowskim (1794), powstaniem listopadowym (1830) i powstaniem styczniowym (1863) nie znajdowała alternatywy inna motywacja organizowania się kobiet, niż wyzwolenie Polski spod obcej władzy.

Na koniec przypomnijmy, że w czasie powstania styczniowego postawę patriotyczną kobiety manifestowały przez ubiór: nosiły wówczas czarne stroje, skórzaną czarną biżuterię i czarne krzyżyki. Były to symbole żałoby narodowej, wyrażające poparcie walki o niepodległość. ■

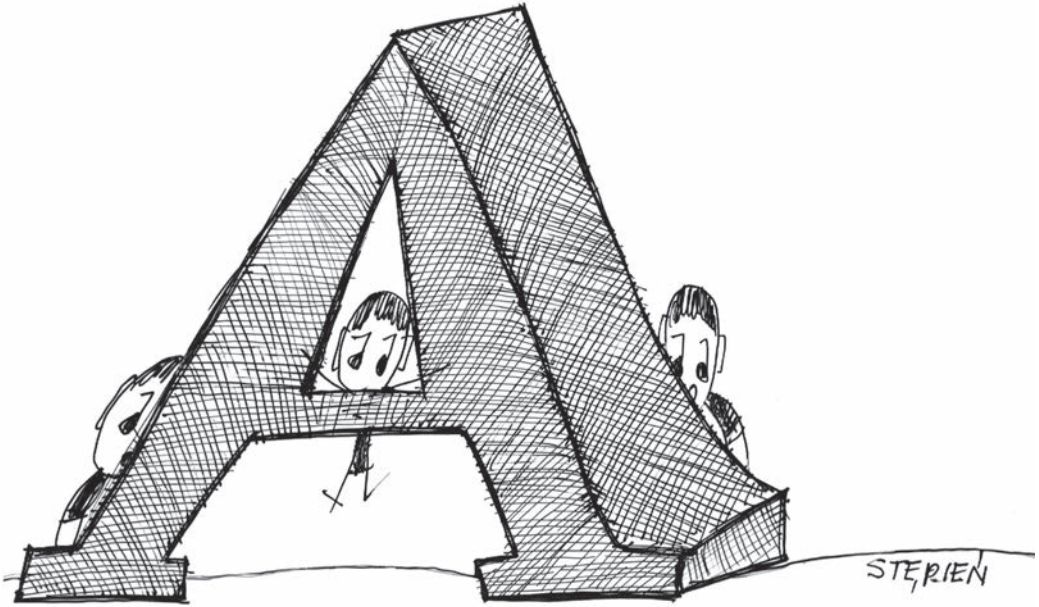
¹⁴ A. Żarnowska, A. Szwarz, Wprowadzenie do książki *Działaczki społeczne, obywatelki, feministki*. Neriton, Warszawa 2008, s. 20.

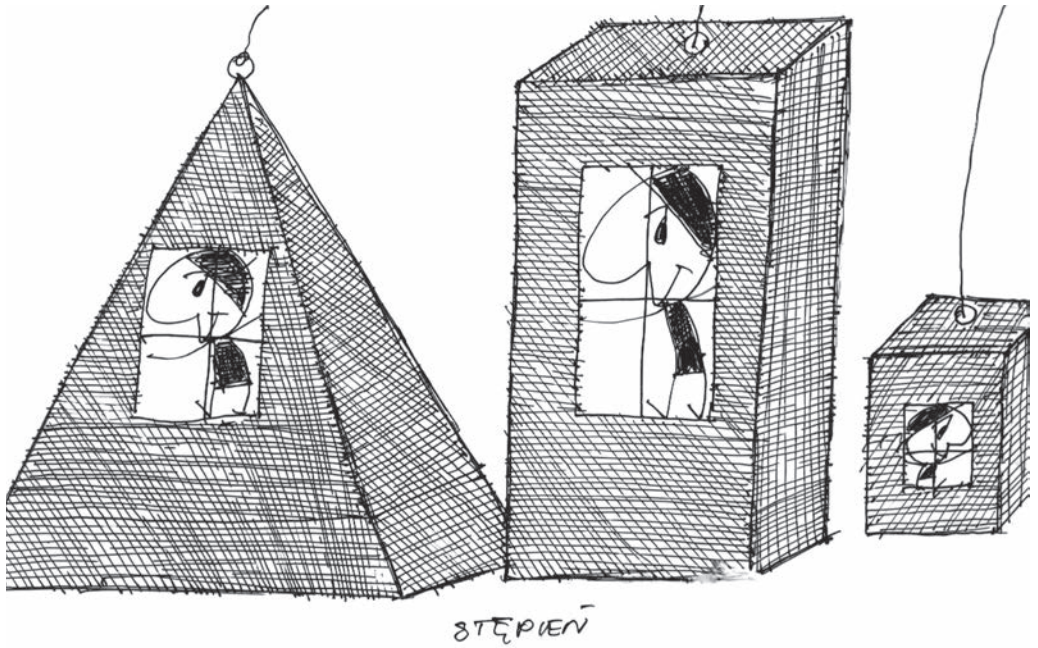
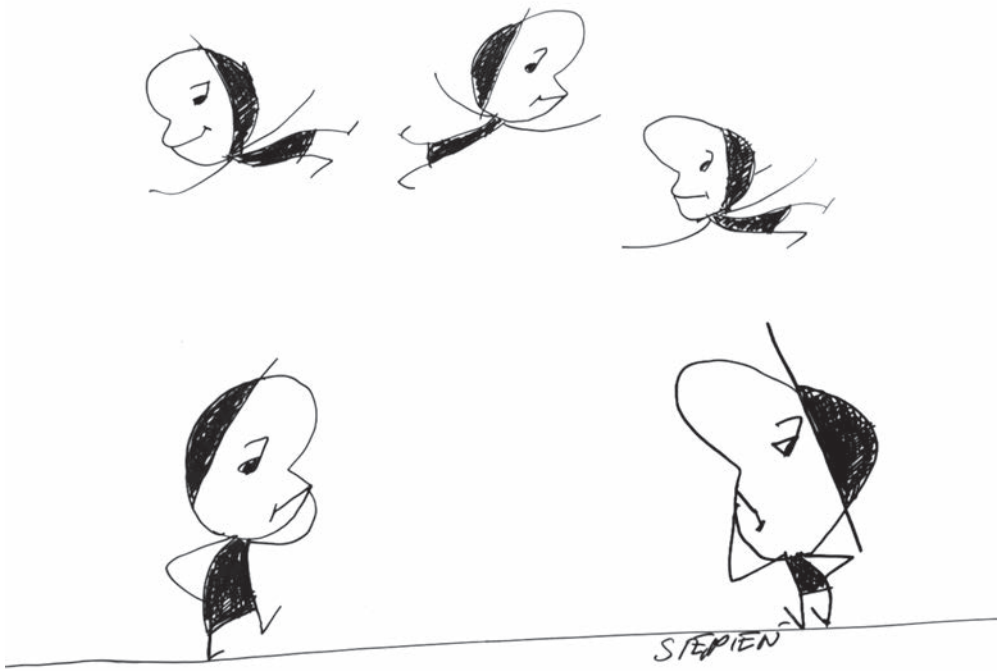
¹⁵ Po wojnie francuski Czerwony Krzyż za ofiarną służbę na polu walki uhonorował ją Krzyżem Zasługi. Anna Henryka Pustowójtówna zmarła nagle w Paryżu w maju 1881 r., pochowana jest na cmentarzu w Montparnasse.



Filuterne ludziki

Jan STEPIEŃ





POST SCRIPTA

Marxizm Adama Schaffa: ciągłość i zmiana



Jerzy J. WIATR

Profesorowi Stefanowi Konstańczakowi należą się słowa uznania za podjęcie ciekawej próby przedstawienia sylwetki Adama Schaffa i jego roli w polskiej (a także światowej) filozofii („Res Humana”, nr 1/2026). Jest to tym bardziej godne uznania, że przez dwadzieścia lat, które minęły od śmierci Schaffa, dorobek tego uczonego nie był przedmiotem poważniejszych analiz naukowych. Sądzę, że w dużej mierze było to spowodowane racjami politycznymi. Schaff nie mieści się bowiem w prostych schematach, które najchętniej stosuje się w rozważaniach o najnowszej historii. Był komunistą, który nigdy nie wyrzekł się swoich przekonań, a zarazem był bardzo surowym krytykiem tego, co nazwał „komunofaszyzmem” – swoistej mieszanki idei komunistycznych z przejętymi od prawicy resentymentami antysemickimi i kultem wszechpotężnej władzy. Był filozofem marksistowskim, który – jak niewielu polskich filozofów – doczekał się wielu przejawów uznania międzynarodowego, w tym honorowych doktoratów Sorbony, Uniwersytetu w Nancy i Uniwersytetu Michigan w Ann Arbor.

Byłem we wczesnej młodości studentem Schaffa, a jeszcze jako licealista przeczytałem jego *Wstęp do teorii marksizmu* (1947), który dla mnie (jak dla wielu moich rówieśników) był pierwszym wprowadzeniem do marksistowskich lektur. W latach sześćdziesiątych przez trzy lata byłem jednym z dwóch jego zastępców w dyrekcji Instytutu Filozofii i Socjologii PAN – instytucji, której był twórcą i pierwszym dyrektorem. Do końca jego życia pozostawaliśmy w bardzo bliskiej przyjaźni. Nie jestem więc w dyskusji o roli Schaffa całkowicie bezstronnym świadkiem. Myślę jednak, że mam coś istotnego do powiedzenia na temat tego bardzo kontrowersyjnego, a zarazem cieszącego się światową sławą uczonego.

Adam Schaff był z przekonania komunistą. Do KPP wstąpił w 1932 roku – w wieku dziewiętnastu lat. W 1937 roku trafił (na krótko) do więzienia za swoją komunistyczną działalność. Po wojnie odegrał kluczową rolę w budowaniu *frontu ideologicznego* PPR, a potem PZPR. Był członkiem Komitetu Centralnego PZPR (do 1968 roku). Został członkiem Polskiej Akademii Nauk i jej prezydium. To w jego gestii znajdowała się polityka partii w odniesieniu do filozofii i socjologii. W latach polskie-

go stalinizmu Schaff odegrał znaczącą rolę jako taki przedstawiciel partii na *froncie ideologicznym*, który chciał i potrafił chronić naukę polską przed najgorszym. Krytykowany na łamach redagowanej przez niego „Myśli Filozoficznej” filozofowie korzystali z możliwości nieskredowanej odpowiedzi, a jeden z nich – Tadeusz Kotarbiński – był przewodniczącym Rady Naukowej Instytutu Filozofii i Socjologii. W wielkiej mierze dzięki Schaffowi powstała w tych latach Biblioteka Klasyków Filozofii, w której redagowaniu uczestniczyli czołowi uczeni spoza kręgu marksistów. W 1956 roku Schaff bardzo aktywnie zaangażował się w przemiany październikowe.

Gdy w 1984 roku został usunięty z PZPR, powiedział mi, że „komunista można być także poza partią”. W tym sensie był niezmienny. Nigdy nie opuścił Polski. Myli się profesor Konstańczak, gdy pisze o „wyjeździe” Schaffa z Polski i jego późniejszym „powrocie”. Kierując stworzonym przez siebie międzynarodowym ośrodkiem nauk społecznych w Wiedniu, Schaff nadal mieszkał w Polsce, pozostawał profesorem w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN, a do Wiednia jeździł regularnie na mniej więcej dwutygodniowe pobyty. To nie była emigracja!

W poglądach filozoficznych Schaffa szczególne miejsce zajmuje wydana w 1965 roku książka *Marksizm a jednostka ludzka*. Tłumaczona na kilkanaście języków i szeroko komentowana w świecie stała się ona najbardziej znaczącą w literaturze światowej prezentacją takiej interpretacji marksizmu, w której wolność jednostki i zagrażające jej formy alienacji znalazły się w centrum uwagi. Książka ta uczyniła z Schaffa najbardziej znanego i szanowanego przedstawiciela współczesnej filozofii marksistowskiej w skali światowej. Znaczenie tej książki wynika z faktu, że Schaff, w odróżnieniu od tych jego uczniów, którzy – jak między innymi Leszek Kołakowski – odrzucili marksizm, pozostał zdeklarowanym marksistą, a zarazem stał się najbardziej, po Gyorgym Lukacsu, znanym i szanowanym filozofem marksistowskim o nieortodoksyjnej orientacji.

W okresie wcześniejszym Schaff nie wychodził poza ramy marksistowskiej ortodoksji, ale ramy te wypełniał książkami, których poziom intelektualny i erudycja w zasadniczy sposób odbiegały od marnego stanu oficjalnej filozofii marksistowskiej w ZSRR i innych państwach socjalistycznych. Najważniejsza książka tego okresu – *Z zagadnień marksistowskiej teorii prawdy* – stała się przebojem światowym z uwagi na szeroką erudycję autora i podjęcie przez niego zaniedbywanych wcześniej problemów gnoseologii. Podobnie istotne miejsce w światowej filozofii zdobyły prace Schaffa z zakresu semantyki, zwłaszcza *Język i poznanie* (1964). Był to już „otwarty marksizm” w rozumieniu nadanym temu terminowi przez Kazimierza Kelles-Krauzę i upowszechnionemu przez Juliana Hochfelda, ale – między innymi z uwagi na ezoteryczność tematyki – nie było to jeszcze otwarte zerwanie z ortodoksją marksistowską. Tym zerwaniem była dopiero książka o alienacji.

Po opublikowaniu *Marksizmu i jednostki ludzkiej* Schaff przez kilka lat skupiał się na problematyce semantyki, ale stopniowo – zwłaszcza do początku lat osiemdziesiątych – jego uwaga przesunęła się w stronę polityki politycznej. Był zaskoczony i coraz bardziej przerażony skalą recydywy idei prawicowych w ruchu Solidarności. Z tego względu bezwarunkowo poparł wprowadzenie stanu wojennego, w którym widział ocalenie Polski

przed katastrofalnym zaostreniem konfliktu i przed będącą jego skutkiem interwencją radziecką. Z uwagi na wysoką pozycję światową i osobiste kontakty z Papieżem odegrał istotną (ale w tym czasie dyskretnie traktowaną) rolę w rozmowach z Janem Pawłem II, co miało istotny wpływ na przebieg papieskiej wizyty w Polsce w 1983 roku.

Ostatnie lata aktywności autorskiej Schaffa wypełniała problematyka polityczna. Był początkowo bardzo pesymistyczny w stosunku do kierunku, w jakim szła Polska. W jednym z ówczesnych tekstów użył nawet alarmującego zwrotu „finis Poloniae”. Bardzo ostro potępiał recydywę antysemityzmu i przestrzegał – niekiedy w tonie alarmistycznym – przed konsekwencjami rosnących wpływów prawicy. Po 1993 roku popierał działania lewicowego rządu, m.in. bardzo pomógł mi w tym, co robiłem w ramach nowej polityki oświatowej. Był członkiem kilkunastoosobowego komitetu wyborczego Aleksandra Kwaśniewskiego w 1995 roku. W tym wszystkim wyrażała się ciekawa osobowość uczonego i działacza politycznego, którego miejsce w polskiej historii zasługuje na szacunek i pamięć. ■

Odpowiednie dać rzeczy słowo? Tylko, jeśli rzecz jest „męska”

Renata MIĘNKOWSKA-NORKIENE



Spór o feminytatywy nie jest sporem o słowa, lecz o widzialność i znaczenie kobiet w rzeczywistości społecznej.

Niniejszy tekst jest niedoszłą próbą polemiki z doktor Małgorzatą B. Jakubiak – autorką artykułu o feminytywach z pierwszego tegorocznego numeru „Res Humana”¹ (serdecznie do jego lektury zachęcam). Dlaczego niedoszłą? Otóż dlatego, że zanim zdążyłam się z Autorką tekstu nie zgodzić, byłam zmuszona przyznać jej rację w kwestii kluczowej, mianowicie że w języku polskim jest „po jednej stronie cały świat, po drugiej stronie sami mężczyźni”. Ponadto, perspektywa Autorki jest w przeważającej mierze językoznawcza, mocno osadzona w piśmiennictwie raczej konserwatywnego językoznawcy Witolda Doroszewskiego, tymczasem ja językoznawczynią nie jestem, a perspektywa, jaką chcę Państwu przedstawić, jest politologiczna, z elementami filozofii, socjologii i psychologii.

¹ Małgorzata B. Jakubiak, *Ministra, premiera i sekretara, czyli jeszcze parę refleksji o feminizacji języka polskiego*, „Res Humana” nr 1/2026, s.s. 88–94. W numerze 4/2024 zamieściliśmy dwugłos na ten temat pisarza Grzegorza Walczaka i członkini redakcji Anny Sikorskiej-Michalak [przyp. red.].

Skąd te emocje?

Jest luty 2026 r. Od niemal czterech lat za polską wschodnią granicą trwa wojna. UE generuje rekordowy budżet na europejskie zbrojenia. Donald Trump planuje atak na Iran. Polski prezydent zwołuje Radę Bezpieczeństwa Narodowego. A tymczasem najbardziej komentowanym w mediach społecznościowych tematem dnia są... feminatywy. Dla przykładu, na profilu Polskiego Radia 24 na Facebooku, posty związane z obronnością kraju zyskują kilkaset komentarzy, te związane ze sporem na linii prezydent–marszałek Sejmu około tysiąca, tymczasem post o tym, że resort nauki planuje wprowadzenie feminatywów do oficjalnego języka nauki, zgromadził prawie dwa i pół tysiąca komentarzy – w większości bardzo krytycznych wobec ministerialnego pomysłu.

Skąd tyle emocji wokół żeńskich form rzeczowników w Polsce? Chciałabym napisać, że to z racji na świadomość wagi tematu, ale niestety, znacznie bliższą prawdy odpowiedzią jest: z braku świadomości wagi tematu. A ponieważ jestem naukowczynią, spieszę niniejszym dostarczyć Państwu argumentów na rzecz naprawdę dużego znaczenia używania feminatywów w języku polskim. Postaram się też obalić wiele mitów z nimi związanych.

Jeśli nie są Państwo wielbicielami feminatywów, a nadal czytają Państwo to, co piszę (mimo, iż mogliby Państwo zasilić niezliczone grono „czytelników”, którzy pod tekstami ze słowem „naukowczyni” umieszczają komentarze w stylu: „Naukowczyni? Buhaha... Dalej z oczywistych powodów nie czytam”), gratuluje! Państwa mózgi nie działają wyłącznie na autopilocie, a ciekawość argumentów na potwierdzenie zdania innego niż własne pozwala Państwu na rzeczywisty rozwój i lepsze zrozumienie świata wokół nas. I kompletnie nie ma znaczenia, czy Państwa do feminatywów przekonam, czy nie. Nie mówię tego tylko, by Państwu schlebić – kwestie związane z funkcjonowaniem naszych mózgów mają duże znaczenie dla naszego nastawienia do tych form językowych. Ale o tym za chwilę. Oczywiście gratuluję także wielbicielom wszelakich końcówek żeńskich, ponieważ Państwo są w gronie tych, którzy rozumieją, że w naszym pięknym polskim języku powinno być wystarczająco miejsca dla nas wszystkich, a nie tylko dla niektórych. Zupełnie, jak w naszej pięknej polskiej rzeczywistości społecznej.

„Komuno wróć?”, czyli prawactwo kontra lewactwo

Wspomniałam o emocjach, jakie dyskusja o feminatywach wywołuje. To emocje nie tylko językoznawcze, jak się Państwo pewnie domyślają, ale także związane z polityką. Język nigdy nie jest przecież neutralny — zawsze opowiada historię świata takiego, jakim go widzimy albo chcemy go widzieć. W komentarzach internautów jednym z najczęstszych zarzutów wobec feminatywów jest to, że są „nowomową”, a także „wykwitem lewactwa” i „powrotem komuny”. Ciekawy chwyt z tą „nowomową”, sugerujący znajomość dzieła Orwella, niestety, co wytrawniejszym czytelnikom dający raczej pewność, że komentujący tego w rękach nie trzymali, bo gdyby trzymali, wiedzieliby, że Orwellowska „nowomowa” służyła czemuś dokładnie odwrotnemu niż feminatywy. Końcówki żeńskie mają rzeczywistość odzwierciedlać, albowiem w teź rzeczywistości pacjentów operują zarówno chirurdzy, jak i chirurżki, a na uczelniach wykładają profesorowie i profesorki.

Jeśli chodzi natomiast o „lewactwo” i „powrót komuny”, chwyt mógłby się wydać jeszcze bardziej wyrafinowany, gdyby nie obnażał ignorancji go używających. Język polski był bogaty w feminatywy właściwie od jego początków, a dopiero okres PRL wyrugował używanie wielu z nich – warto dodać, że głównie tych, które dziś budzą najwięcej emocji i kontrowersji, jak „profesorka”, „doktorka” czy „ministra”. W PRL dokładano starań (nie tyle za pomocą ustaw, co raczej „odgórnego” wyśmiewania w tekstach propagandowych, cenzury, oficjalnych dokumentów), by feminatywy, które odnosiły się do zawodów o niższym statusie (traktorka, nauczycielka, robotnica), funkcjonowały w obiegu społecznym, który przecież akceptował to, że kobiety i mężczyźni budują państwo socjalistyczne, a nawet do tego zachęcał; natomiast feminatywy odnoszące się do zawodów o wyższym prestiżu nie były używane. Kluczowe były tu czynniki polityczne, które inspirowały też zmiany społeczne: w PRL stosowano styl językowy raczej sztywny, hierarchiczny, wprowadzano rzekomą neutralność, zwłaszcza tam, gdzie po prostu nie chciano kobiet (np. na uczelniach, w zawodach wymagających „wysokiego profesjonalizmu”). Zatem – paradoksalnie – zniechęcano do używania feminatywów w odniesieniu do zawodów, w których kobiety nie miały znaczenia propagandowego dla budowy systemu socjalistycznego, natomiast zachęcano do nich, kiedy chodziło o obraz kobiety budującej ten system. Kobiety same przestały czuć się komfortowo z feminatywami, kiedy były na wyższych stanowiskach, co zapewne pokutuje do dziś (wiele kobiet niekoniecznie konserwatywnych twierdzi, że nie chcą być nazywane „doktorkami” czy „profesorkami”, ponieważ brzmi to niepoważnie lub ociera się o zdrobnienie).

Co ciekawe, pod tym względem dzisiejsza niechęć Polaków do wprowadzania rzadziej używanych form żeńskich zawodów o wyższym prestiżu przypomina sytuację w Rosji, gdzie tego typu feminatywów jest w języku powszechnie używanym mniej niż w innych państwach dawnego bloku wschodniego. Dla odmiany np. w Czechach czy Niemczech feminatywy są absolutnie normalne, choć zniechęcano do nich przecież i tam. Wydaje się, że za to niechlubne podobieństwo do języka rosyjskiego należy obwinić polski konserwatyzm, który z wzorców rosyjskich czerpie przecież nie tylko w tej kwestii, ale także w obszarze homofobii czy generalnej niechęci do pewnej kulturowej otwartości. Jeśli popatrzymy na poglądy polityków ewidentnie prawicowych, jak choćby przedstawicieli Konfederacji, Konfederacji Korony Polskiej, PiS czy nawet PSL, znajdziemy w nich fałszywe oskarżenia zwolenników feminatywów o lewactwo i tendencje komunistyczne, choć przecież przywrócenie dobrze znanych w historii polskiego języka, choć dziś określanych mianem „potworków językowych” feminatywów dotyczących zawodów o wysokim prestiżu można by śmiało określić mianem językowej „dekomunikacji”. Demokracja językowa w demokratycznym systemie politycznym polega na tym, że język należy do wszystkich, a nie tylko do tradycji interpretowanej przez nielicznych, do tego albo niezorientowanych w polskiej tradycji językowej, albo (co bardziej prawdopodobne) nią manipulujących.

Polityka to też decyzje o tym, czyja obecność w przestrzeni publicznej i w którym jej miejscu jest normą, a czyja wyjątkiem. I tu przechodzimy do arcyważnego argumentu na rzecz feminatywów w języku, mianowicie konieczności zdemokratyzowania tego, co zostało zawłaszczone, i przywrócenia obecności kobiet w każdym aspekcie języka. Brak feminatywów nie jest neutralnością, lecz efektem historycznej dominacji jednej perspektywy – męskiej, która wynikała z przewagi mężczyzn u władzy, także w okresie PRL. Spór o feminatywy jest w gruncie rzeczy sporem o to, czy równość ma być tylko deklaracją, czy także codziennym doświadczeniem, a zatem czy demokracja ma być realna i być stylem życia, czy ma być raczej dominacją zwycięzców nad przegranymi (dodajmy, że w spolaryzowanym społeczeństwie przegranymi o włos) i możliwością sprawowania władzy symbolicznej, nie tylko realnej. Taka władza symboliczna w przypadku prawicowych konserwatystów (którzy są w największej części przeciwni feminatywom) ma też dodatkowy odcień katolickiego przywiązania do służebności kobiet wobec mężczyzn, a także wsparcie algorytmów w mediach społecznościowych np. konserwatywnych Muska i Trumpa. Gdy język otwiera się na różnorodność, społeczeństwo uczy się ją traktować jako normę, a nie wyjątek, emocje polityczne zaś przenoszą się z kwestii feminatywów, różnorodności orientacji seksualnych, płci i migracji na kwestie redystrybucji dochodów budżetowych, rozwiązywania problemów społecznych, wzmacniania bezpieczeństwa (realnego, a nie tego związanego z obroną przed atakiem żeńskich końcówek). A to już dla wielu polityków wyzwanie, które może ich przerosnąć.

Widzialność językowa przekłada się na widzialność społeczną

„Granice mojego języka są granicami mojego świata” – napisał znany austriacki filozof Ludwig Wittgenstein w dziele *Tractatus logico-philosophicus*, inspirując kolejne pokolenia badaczy nie tylko języka, ale także relacji społecznych. Liczne odniesienia do poglądów Wittgensteina często bazują na uproszczeniach związanych z jego teorią. Nieco uproszczę i ja, starając się jednak zachować istotę poglądu nadającego językowi moc kształtowania wyobraźni indywidualnej i zbiorowej. W istocie, jeśli przeanalizujemy przebieg największych ludobójstw we współczesnej historii świata, jednym z ich etapów zawsze było wytworzenie specyficznego, zwykle mocno dehumanizującego języka opisującego grupy, które zamierzano unicestwić. Rurowano z dotychczas używanego języka słowa oznaczające szacunek, wprowadzano natomiast nowe określenia, zazwyczaj pejoratywne, w oczywisty sposób związane z tymi grupami. Przykładem (jedynym, jaki tu przywołam, by nie zatracić istoty tego, co chcę przekazać na temat końcówek żeńskich w języku) jest choćby powszechne używanie określenia „karaluchy” na Tutsi w Rwandzie. Wystarczyło zaledwie kilka lat, by z pomocą języka uczynić konkretną grupę „małą”, „nieznaczącą”, właściwie niepotrzebną. Świat wytworzony z pomocą takiego języka wydał się Rwandyjczykom, zwłaszcza Hutu, po prostu prawdziwy. Powyższy przykład, choć mocny, został przede mną użyty celowo, by pokazać, jaką język ma moc. Moc ta może być wykorzystywana, by niszczyć, ale może przecież także służyć tworzeniu i budowaniu. I teraz chciałabym się skoncentrować właśnie na tym aspek-

cie znaczenia używania feminatywów. Istnieje mianowicie wiele wyników badań naukowych, które pokazują, że używanie feminatywów daje dziewczynom i kobietom podmiotowość, motywację oraz moc.

Bardzo ciekawe wyniki przyniosło badanie banku BNP Paribas, przeprowadzone wśród 248 uczniów klas 1–8 w polskich podstawówkach (48 procent chłopców/52 proc. dziewczynek, ok. połowa ze średniej wielkości miast, reszta w podobnych proporcjach ze wsi i dużych miast), w ramach którego kazano dzieciom narysować: w jednej grupie naukowca, a w drugiej osobę zajmującą się prowadzeniem eksperymentów naukowych. Okazało się, że kiedy zastosowano formę neutralną, dwukrotnie więcej dzieci narysowało kobietę, a efekt użycia neutralnego języka podziałał szczególnie na dziewczynki. Dzieci okazały się także bardzo tolerancyjne, jeśli chodzi o użycie feminatywów, które dorośli tolerują już w znacznie mniejszym stopniu, co oznacza, że żeńskie końcówki nie są naturalnie *dziwne*, a *dziwne* po prostu dla tych, których ktoś przekonał, że takie są. W zestawieniu z innymi badaniami dotyczącymi modeli (tzw. role models) zawodowych dla dziewczynek, które myślą o wyborze profesji, pojawia się wniosek, iż używanie feminatywów ośmiela dziewczynki do pracy w zawodach, których żeńskie nazwy funkcjonują w powszechnym obiegu. Wziąwszy pod uwagę fakt, że na największe trudności w upowszechnianiu się napotykały feminatywy dotyczące najbardziej prestiżowych zawodów (chirurgka, profesorka, ministra), mamy jeden z elementów odpowiedzi, dlaczego więcej dziewczyn niż chłopców kończy studia magisterskie, ale więcej mężczyzn niż kobiet jest profesorami, ministrami i chirurgami. Co więcej, gorąca dyskusja ostatnich dni dotyczy właśnie zmian dotyczących feminatywów w sektorze nauki, a tu wiem z własnego doświadczenia, jak bardzo widzialność kobiet jest ograniczona. Według moich własnych dyplomów jestem: „magistrem nauk politycznych”, „magistrem socjologii”, „doktorem nauk społecznych” i „doktorem habilitowanym”. W żadnym z tych określeń nie figuruję jako kobieta.

Istnieją ponadto badania pokazujące, iż używanie tylko męskich form zawodów w ogłoszeniach o pracę powoduje, że kobiety rzadziej aplikują na te stanowiska, mniej lub bardziej świadomie utożsamiając je po prostu z męskimi. Tymczasem czy specjalista ds. cyberbezpieczeństwa musi być mężczyzną? Moi koledzy naukowcy i koleżanki naukowczynie wykształcili już wiele roczników specjalistek ds. cyberbezpieczeństwa. Myślę z głębokim poczuciem niesprawiedliwości o tym, że przez formę wyłącznie męską w ogłoszeniach o pracę (umieszczoną bezrefleksyjnie albo celowo) część z tych świetnych specjalistek nie podejmie zatrudnienia i nie zrobi kariery. I może to być nawet córka internauty – autora wspomnianego już: „Naukowczynie? Buhaha... Dalej z oczywistych powodów nie czytam”. A może to ten internauta właśnie chciał zatrudnić specjalistę ds. cyberbezpieczeństwa i go docelowo zatrudnił, choć ominęła go w ten sposób szansa na zatrudnienie znacznie lepszej specjalistki? Kto wie?..

Widzialność językowa przekłada się na widzialność społeczną, a ta na realne poczucie sprawczości.

Czego pragną kobiety?

Jedno z największych w Polsce badań dotyczących feminatywów, przeprowadzonych przez Pracuj.pl w 2021 r. na grupie 17804 kobiet, 1516 mężczyzn oraz 167 osób definiujących swoją płć jako „inna” pokazało, że 83 procent respondentek popiera powszechne używanie żeńskich nazw stanowisk na równi z męskimi, a 78 proc. kobiet chciałoby obecności feminatywów w ogłoszeniach o pracę na równi z określeniami męskimi. Co ciekawe, to samo badanie pokazuje, że 64 proc. badanych mężczyzn popiera powszechne używanie żeńskich nazw stanowisk na równi z męskimi, natomiast już tylko prawie połowa z nich chce żeńskich i męskich końcówek w nazwach zawodów w ogłoszeniach o pracę. Nieoczywistym wynikiem badania jest fakt, że aż 93 proc. respondentów z grupy osób niebinarnych uczestniczących w badaniu uważa, że żeńskie nazwy stanowisk są niezwykle ważne i powinny być używane na równi z męskimi odpowiednikami. Jak widać, męskocentryczny opis świata zawodowego jest atrakcyjny dla zdecydowanej mniejszości badanych. To przeczy wrażeniu ze świata mediów społecznościowych (stanowiących wypaczony i zwykle mocno wykrzywiony w prawo obraz rzeczywistości politycznej i społecznej), że zdecydowana większość feminatywami gardzi.

Ważnym argumentem na rzecz stosowania feminatywów jest także kwestia fałszywego przekonania, że nie są one poprawne językowo, więc nie powinno się ich używać (wielokrotnie spotkałam się z określaniem ich mianem „potworków językowych”). W istocie feminatywy (w tym te kontrowersyjne, jak „ministra”, „magistra”, a nawet „magisterka”) są formami poprawnymi, natomiast można mieć zastrzeżenia natury językowej wobec takich form, jak: „pani profesor” albo „doktor habilitowana” (bo dla czegożby nie użyć „panie profesoro” albo „doktora habilitowany”, skoro poprawności we wszystkich czterech frazach jest dokładnie tyle samo?). Polacy często po prostu nie mają świadomości całkowitej poprawności tych słów. Co więcej, sami językoznawcy nie są w pełni zgodni co do tego, jak feminatywy powinny wkraczać do językowego mainstreamu, mimo iż są w większości zgodni, że są poprawne. O ile Witoldowi Doroszewskiemu i Małgorzacie B. Jakubiak mógłby wtórować Jerzy Bralczyk, o tyle Jan Miodek, Zofia Kubiszyn-Mędrala czy Maciej Makselon wskazałoby już na konieczność przyspieszenia zmian językowych, by nadały za rzeczywistością społeczną i oczekiwaniami kobiet.

Aldona Skudrzyk z kolei oddała istotę problemu feminatywów w Polsce, stwierdzając: „Kontrowersje i spory wokół stosowania feminatywów nie mają podłoża językowego, ale dotyczą bardziej spraw światopoglądowych, ideowych i politycznych. W języku polskim nie ma reguł dotyczących stosowania feminatywów – tak samo, jak nie ma reguł stosowania nowo powstałych wyrazów, które są nam potrzebne w danym momencie, z uwagi na zmieniającą się rzeczywistość. Język jest tworem społecznym, który działa tak, że jeśli jest taka potrzeba, konieczność i chęć – daje nam możliwości słowotwórcze”. Naukowczyni ta wskazuje jednocześnie, że to kobiety powinny decydować o tym, jak chcą być określane, choć zapewne będą przy tym musiały zaakceptować sytuację, w której inni się do ich próśby nie przychylią. Takie podejście może być bardzo orzeźwiająca dla naszej debaty publicznej na temat feminatywów, a ja sama uważam je za Salomonowe rozwiązanie sporu wokół żeńskich końcówek.

A właściwie dlaczego kobiety w Polsce tak łatwo godzą się na brak wielu feminatywów w języku (bo jednak na razie o oddolnym ruchu społecznym na ich rzecz mówić nie można)? Być może jednym z powodów jest fakt, iż mamy od pokoleń wyćwiczoną językową elastyczność. Po prostu przyzwyczailiśmy się do tego, że określa się nas w rodzaju męskim i przeszliśmy nad tym do porządku dziennego. Co więcej, często dla własnego opacznie rozumianego poczucia sprawczości upieramy się przy formach męskich (np. moje koleżanki profesorki chcą być paniami profesor, ponieważ uważają, że określenie „profesorka” im umniejsza jako niebezpiecznie zbliżające się do zdrobnienia i często wyśmiewane w przestrzeni publicznej). Tylko że to mechanizm trochę przypominający strategię *nieobnoszenia się* z byciem członkiem grupy LGBTQ+ dla własnego bezpieczeństwa, bo przecież ludzie są okrutni i jeszcze gotowi zrobić jakąś krzywdę... Nie wolno mylić przyczyn ze skutkami, a winnych z ofiarami. To nie kobiety prosiły się o zniknięcie z wysokich stanowisk i z języka polskiego, więc powrót feminatywów do języka, a nas na wysokie i prestiżowe stanowiska (bo na nie zasługujemy i nikt nam tu łaski robić nie powinien) powinny być procesami zupełnie naturalnymi. Joanna Czczcott, współzałożycielka pisma „Kosmos dla dziewczynek”, wspomniała w jednym ze swoich tekstów o oczarowaniu, jakiego doświadczyła pierwszy raz, czytając tekst filozoficzny napisany poza paradygmatem męskocentrycznym. Autorka wspomina: „Otwierałam szeroko oczy, poznając postać liberalnej ironistki stworzonej przez Richarda Rorty’ego. Jak prosty zabieg językowy może być wyzwalający! Jak bardzo może poszerzyć obraz świata! Oczywiście czytający o ironistce mężczyzna musi wykonać w głowie prosty zabieg przeniesienia identyfikacji płciowej – ten sam, do którego kobiety są tak przyzwyczajone, że nawet go nie zauważają. Z tego zabiegu płyną oczywiście korzyści. Zwiększenie wzajemnego rozumienia, otwarcie się na nową perspektywę. Jednak o ile prościej byłoby nie musieć cały czas tego robić!”

Caroline Criado Perez w swojej świetnej książce *Niewidzialne kobiety* opisuje, jak bardzo nasz świat został skrojony pod potrzeby mężczyzn, podając mnóstwo dowodów mocno ugruntowanych naukowo, potwierdzających tę tezę. Jednocześnie autorka pokazuje, jak łatwo obalić argumenty o tym, że nie ma potrzeby wspierania kobiet, uświadamiania nierówności, realnego wyrównywania szans. Przykładowo do orkiestr zatrudnia się muzyków wedle kryterium jakości gry na instrumencie. Przynajmniej tak być powinno i tak długo deklarowali ci, którzy muzyków zatrudniali. W rezultacie w orkiestrach dominowali (i to z ogromną przewagą) mężczyźni. Ale wystarczyło, że podczas przesłuchań komisyj oceniającą od muzyka oddzieliła kotara uniemożliwiająca poznanie płci osoby grającej, by nagle liczba kobiet i mężczyzn w orkiestrach się wyrównała. A zatem argumenty, że feminatywów nie potrzeba, bo niczemu nie służą, a nawet same kobiety ich nie chcą, są bezzasadne. Kobiety mogą nie mieć świadomości, jak bardzo rzekoma neutralność w podejściu do kwestii równościowych jest w istocie tylko deklaracją, a chodzi tylko o komfort mężczyzn, którzy dobrze się czują w świecie stworzonym pod ich potrzeby, wspierając się legitymizacją niczego nieświadomych (w dużej części) kobiet.

Mózg a feminy

Historia pokazuje, że zmiany językowe niemal zawsze budziły opór, z nim stały się oczywistością. Sprzeciw wobec żeńskich form może wynikać nie z troski o język, lecz z (często nieuświadomionego) lęku przed zmianą społeczną. Lęk jest oczywiście odczuciem niekomfortowym, zatem trudno się dziwić, że żerują na nim politycy ideologizujący kwestię feminy i wykorzystujący ją do politycznej walki i polaryzacji (u podłoża politycznej polaryzacji często leży lęk właśnie). Zbliżając się jednak ku końcowi niniejszego artykułu, chciałabym poświęcić jeszcze odrobinę miejsca kwestii dyskomfortu, jaki nowe formy językowe, w szczególności feminy, wywołują w mózgach wielu z nas. Otóż dla naszego mózgu ideałem jest lenistwo, a to osiąga on stanem, w którym otaczające go środowisko jest symetryczne, znane, przewidywalne, stabilne. Psycholingwiści wskazują, iż te językowe wzory, które już znamy, które są regularne fonetycznie, które mają wiele podobnych przykładów, które nie powodują wieloznaczności, powodują najmniejszy opór naszych mózgów. Dlatego też „nauczycielka” czy „aktorka” (z jasną i przewidywalną końcówką, już dobrze znane słowa), ale też początkowo problematyczne, a już funkcjonujące w obiegu „biolożka” czy „psycholożka” są dla mózgu akceptowalne, bo wpisują się w schematy. Nieco gorzej idzie mózgowi z końcówkami słowiańskimi -yni i -ini („władczyni”, „naukowczyni”), a dramatycznie opornie z „magistra” czy „ministra” (podobieństwo do form męskich i rzadkość stosowania), ale też „premiera” (jak w teatrze), „pilotka” (jak czapka), czyli słowami wieloznacznymi. Podobnie na opór napotyka rzadko używana „prezeska” czy „generałka”. Nie chodzi zatem o poprawność językową feminy ani nawet ich realną dziwność, ale raczej o to, że z racji na rzadkie używanie po prostu do nich nie przywykliśmy i nasze mózgi czują w ich towarzystwie dyskomfort. Jeśli używając feminy powszechnie utworzymy wzorce ich stosowania, dyskomfort ten zapewne zmniejszy się albo zniknie w ogóle.

Niezbyt przekonującym argumentem na rzecz niestosowania feminy jest także w tym kontekście zbytnia (i rzekoma, dodajmy) atypowość zbitek dźwięków w niektórych z nich (jak choćby chirurżka, architektka, adiunktka). Dlaczego uważam, że atypowość jest rzekoma? Z pomocą przychodzi mi tu Maciej Makselon – jeden z tych językoznawców, którzy uznają feminy za rzecz naturalną i potrzebną w polskim języku. Otóż przytomnie pyta on w jednym ze swoich wystąpień na TEDxKoszalin, czy podnosi się powszechnie w publicznej debacie „atypowość” słów: chrząszcz, wrzeszcz, pszczoła, bezwzględny, wzdrygnąć się, Przasnysz, Pszczyna, Wschowa czy Żdździ? Czy krytycy feminy z racji na kwestię trudności w wymowie zamierzają kwestionować powyższe słowa i określać ich używanie mianem „głupoty”, „bezsensu” i „fanaberii”?

Feminy nie są zatem końcem tradycji językowej i straszną narodową tragedią, nie są też armagedonem resztek estetyki językowej, lecz są dowodem na to, że język polski nadal żyje i odpowiada na potrzeby swoich użytkowników, a nawet wraca do korzeni. Odrzucanie feminy jako „sztucznych” pomija także fakt, że każdy język jest nieustannie tworzony przez użytkowników, a jedyne, czego potrzeba, by stały się naturalne, to ich zaakceptowanie i używanie. Tylko tyle i aż tyle. ■

Edukacja, humanistyka i ich problemy ze współczesnością – dwugłos



Paweł BYTNIEWSKI
Mariola KUSZYK-BYTNIEWSKA

Anthony Giddens, socjolog śledzący zmiany, jakie zachodzą w ponowoczesnym społeczeństwie Europy Zachodniej, wyraża opinię na temat związku między przewidywaniem przyszłości a stanem jego obecnym. Traktuje ten związek jako nieprzypadkowy i odzwierciedlający podstawowy rys tego społeczeństwa. Píše: „Zainteresowanie futurologią nie jest w warunkach wysoko rozwiniętej nowoczesności zajęciem ekscentrycznym, współczesnym odpowiednikiem dawnej wiary w przepowiednie wróżki. Przeciwnie, oznacza, że rozważanie kontrfaktycznych możliwości jest wpisane w refleksyjność w kontekście szacunku ryzyka i ewaluacji”. Ale dodajmy: to zadanie jest obciążone coraz większym ryzykiem pomyłek, nieuprawnionych retrospektyw.

Możemy więc przyjąć, że określenie innego badacza, Ulricha Becka – „społeczeństwo ryzyka” – odnosi się także w najwyższym stopniu do wszelkich prób projekcji minionego doświadczenia na przyszłe działania. Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko ostrożnie korzystając z dorobku intelektualnego współczesności poddawać zmieniającej się diagnozie zmieniające się stany kondycji społeczeństwa, w którym uczestniczymy. Jakże zatem czynniki nadają temu społeczeństwu tak wielką i ryzykowną dla przyszłości dynamikę?

Odpowiedź Giddensa sprowadza się do rozpoznania trzech podstawowych, ponowoczesnych zjawisk społecznych determinujących nową postać podmiotowości. To, po pierwsze, *wykorzenienie* z relacji charakteryzujących społeczeństwo tradycyjne, po drugie, rozdzielenie czasu i przestrzeni jako nowy układ koordynacji działania (w tym samym czasie, ale bez uwzględnienia parametru przestrzeni i w tej samej przestrzeni, ale bez uwzględniania różnic czasowych), po trzecie wreszcie, to refleksyjność instytucjonalna jako warunek możliwości działania. W tym trzecim przypadku intelektualne czynniki rozpoznania aktualności jako stanu wymagającego korekty są najszybciej dostrzegalne. W obliczu nieprzewidywalnych do końca zmian, przymus bieżącego diagnozowania

stanów społeczeństwa – w skali mikro i makro – to praktyczna realizacja powiedzenia „spodziewaj się niespodziewanego”.

W tym kontekście należy podkreślić stałą i niezbywalną obecność w ponowoczesnym społeczeństwie diagnostycznych form uczestnictwa nauk humanistycznych i społecznych w kształtowaniu współczesności. Nauki te, z obszaru czysto poznawczego zainteresowania swymi przedmiotami wchodzi w dziedzinę praktyk mających konsekwencje dla niestabilnej przyszłości podmiototwórczych form życia społecznego.

Pogląd Anthony'ego Giddensa dowartościowujący znaczenie diagnostycznej roli tych nauk ma swe potwierdzenie w badaniach Reinhardta Kosellecka, twórcy semantyki historycznej jako dziedziny badań. Z przemian form samowiedzy społeczeństwa nowoczesnego można wyprowadzać diagnozy jego współczesności. Tak można rozumieć diagnostyczną rolę semantyki historycznej. W jej ramach dwa pojęcia są niezwykle przydatne. To „przestrzeń doświadczenia” i „horyzont oczekiwań”, pojmowane jako ramy współczesnego środowiska kulturowego. W przestrzeni doświadczenia możemy pomieścić wzorce społeczne akulturacji nabyte z przeszłości. Horyzont oczekiwań zaś to wszystkie formy perspektywizmu działań, jakie wytwarza społeczeństwo poddawane przymusom zmiany ich form.

Teza Kosellecka jest następująca: „... w nowożytności stopniowo zwiększało się różnicowanie między doświadczeniem a oczekiwaniem, a dokładniej mówiąc, że nowożytność dopiero wówczas zaczęto pojmować jako nowy czas, od kiedy oczekiwania coraz bardziej oddaliły się od dotychczas poczynionych doświadczeń. [...] nowożytność dawała się pojmować jako nowy czas, od kiedy spotęgowane oczekiwanie coraz to bardziej zaczęło się oddalać od wszystkich poczynionych uprzednio doświadczeń”.

Wnioski dotyczące rozumienia powiązania między procesami społecznymi, jakie zachodzą w ponowoczesnym społeczeństwie, a naukami humanistycznym i społecznymi:

Przeszłość i przyszłość coraz trudniej mieszczą się w oknie aktualności, przez które spogląda na współczesność badacz. Poczynione doświadczenia tracą swą funkcję diagnostyczną w podobny sposób, w jaki proces korozji doświadczenia dotyka rozumienie codzienności przez uczestników społeczeństwa. Przeszłość w coraz większym stopniu traci bowiem zrozumiałość, oczywistość. Światy codzienności budowane posttradycyjnie przenika nieprzejrzystość poczynionych doświadczeń właśnie dlatego, że w coraz mniejszym stopniu nadają się one do kreowania diagnoz przyszłości. Przyszłość zaś umyka ze sfery dziedziny przedmiotów działania w miarę tego, jak rośnie stawka ryzyka diagnoz pomnażanego obniżaniem się poziomowi zaufania do poczynionych doświadczeń. W ten sposób świadomość niewiedzy dotyczącej przyszłości i przeszłości rzutuje na ciągłe obniżanie się zaufania do wiedzy. Trudność, z jaką się tu spotykamy, polega zatem na tym, że im bardziej niezbędne są diagnozy, w tym większym stopniu ich przedmioty opierają się próbom intelektualnego uchwycenia ich zmienności w czasie. Problem ten dotyczy na równi instytucji wiedzytwórczych, jak i samej wiedzy przez nie wytwarzanej. Kryzys zaufania do tych instytucji i wiedzy jako takiej wobec ciągłego obniżania się pensum zaufania do nich – oto sytuacja wyjściowa humanistyki akademickiej w jej szerszym środowisku kulturowym późnej

nowoczesności. Ze skutkami tego rodzaju ich położenia będziemy się mierzyć pewnie nie tylko w najbliższej przyszłości, ale także poza granicami horyzontu oczekiwań, jaki jest nam dziś dostępny.

Śpośród skutków, które, jak sądzę, są dziś już dobrze rozpoznawalne i znaczące dla formuł diagnostycznych współczesności, wymienię trzy:

- po pierwsze, to kryzysy instytucjonalne uniwersytetu jako instytucji *par excellence* nowoczesnej. Najczęściej kryzysy te rozpoznawane są jako narzucenie akademii form instytucjonalnych korporacji;

- po drugie, to inflacja wartości poznania humanistycznego wobec kryzysu transmisji w czasie kapitału kulturowego. Kryzys ten będzie się pogłębiać w miarę narastania problematyczności wiązania ze sobą przeszerzeni doświadczenia z horyzontem oczekiwań;

- po trzecie, to kulturowa kariera fikcji jako czynnika kształtującego nie tylko sferę czysto intelektualną współczesności, ale mającego znaczenie praktyczne. Nowoczesny sposób działania ma bowiem zasadniczo charakter kontrfaktyczny. Przed jednostkami i zbiorowościami w posttradycyjnym świecie społecznym w każdym momencie stoi otworem nieomal nieprzebrana liczba potencjalnych sposobów postępowania (wraz z towarzyszącym każdemu ryzykiem). Wybieranie spośród takich możliwości zawsze sprowadza się do pytania „co by było, gdyby”. W ten sposób *poczucie ewentualności* zaczyna dominować w sferze doświadczenia i stale pomniejsza wartość *poczucia rzeczywistości*. W sferze działania natomiast fikcja urzeczywistnia swą rolę (sic!) poprzez łądy kulturowe zdeterminowane zjawiskiem „precesji symulaków”, trafnie opisanych przez Jeana Baudrillarda.

W ten sposób wkroczyliśmy w nowy czas dla humanistyki, czas jej nowych ról i nowych dla niej form ryzyka, jakie bierze ona na siebie z racji uczestnictwa w procesach społecznych, jakie nie były jej dotychczas znane.

Paweł BYTNEWSKI

Edukacja – problemy w III RP

Co jest czynnikiem sprawczym, który może prowadzić do lepszej przyszłości Polski? Jak w kontekście myślenia o przyszłości Polski postrzegać naukę, szczególnie nauki humanistyczne i społeczne? Jaką rolę odgrywa w tym edukacja? Jak przekonać obywatela, że to nauka powinna mieć autorytet w stosunku do innych źródeł wiedzy, a nie odwrotnie? Jak przekonać obywatela, że dobra edukacja, dobrze wykształcony nauczyciel to dobra inwestycja, to lepsza przyszłość kraju?

Odpowiedź na te pytania jest krótka i prosta, co nie znaczy łatwa do zastosowania czy kompletna, tym niemniej istotna, jak sądzę: czynnikiem sprawczym do lepszej przyszłości jest edukacja.

Rola nauczania i nauki jest tu szczególna. Nie jest to stwierdzenie odkrywcze, ale być może już zapomniane, praktycznie pomijane, a może lekceważone. Florian Znaniecki w Przedmowie do *Ludzi terażniejszych i cywilizacji przyszłości* (wydanej w 1934 r.) pisał: „Pobudkę do jego [dzieła – MKB] napisania dała komisja, utworzona przed czterema laty przy Columbia University w New Yorku za inicjatywą i pod przewodnictwem

dr. W. F. Russella, dziekana Teachers College, a mająca na celu zbadanie, czy i o ile istniejące w Ameryce systemy wychowawcze przygotowują należycie młodzież do coraz szybszej zmienności, jaka cechuje cywilizację współczesną. [...] czy chodzi nam jedynie o to, aby jednostka umiała się przystosować do zmian zachodzących niezależnie od niej, czy też o to, aby była zdolna do współdziałania z innymi w opanowywaniu zmian. [...] jakim powinien być proces kształtowania ludzi, aby stali się oni zdolni do pokierowania cywilizacją” (s. 3, 5, 6).

Rozwój kultury materialnej i zaniedbanie kultury duchowej to według Znanieckiego główny problem. My, współcześni, jak się wydaje, mamy nie tylko taki problem, ale też taki, że edukacja, szkolnictwo każdego stopnia, od podstawowego po wyższe, są dzisiaj w Polsce upolitycznione. Każda opcja polityczna, która dochodzi do władzy, wprowadza swoje wizje edukacji, a ta nie lubi szybkich zmian. Skutki reform w szkolnictwie widoczne są nie od razu. Można i należy je oceniać, ale to wymaga czasu, dobrych narzędzi ewaluacji i celów. W krótkim czasie cyklów przejęć władzy powstaje chaos intencji, programów i wartości ocen.

Przykładem może być proces zapoczątkowany reformą rządu Jerzego Buzka (1999) wprowadzającą gimnazja (reformą przygotowaną przez ministra edukacji Mirosława Handke) i reformą oświaty (2017/2019) przeprowadzoną przez rządy PiS, likwidującą gimnazja. Argumentem głównym za wprowadzeniem gimnazjów było wyrównywanie szans uczniów z obszarów wiejskich i małych miasteczek oraz wydłużenie okresu kształcenia, co miało wpłynąć na jego jakość. Argumentem, który formułowali przeciwnicy tej reformy, był wiek młodzieży gimnazjalnej – okres dojrzewania, a zatem trudności wychowawcze. Inne argumenty wskazywane przez przeciwników reformy to pośpiech jej wprowadzenia wywołujący chaos, np. tzw. problem podwójnego rocznika 2019. Kiedy pozytywne skutki wprowadzenia gimnazjów stały się obserwowalne, gimnazja zlikwidowano.

Przykładem z obszaru szkolnictwa wyższego może być decyzja umożliwiająca po 1989 r. masowe kształcenie wyższe, czemu towarzyszyło powstawanie w pośpiechu wyższych szkół prywatnych, skutkujące liberalizacją wymagań i zasad kształcenia. Wprowadzenie po 1999 r. tzw. procesu bolońskiego w szkolnictwie wyższym – trzystopniowy proces kształcenia: studia licencjackie, magisterskie i doktorskie – proces ten pogłębiło. Kolejna reforma – Konstytucja dla Nauki (2018), czyli tzw. reforma Jarosława Gowina, skutkowałą z kolei marginalizacją dydaktyki oraz naciskiem na publikowanie i umiędzynarodowienie. W konsekwencji pogłębiło to chaos ocen wartości wiedzy tworzonej w naukach humanistycznych, przegrywających w rankingach punktacyjnych z naukami ścisłymi. Ciągłe zmiany zasad ewaluacji jednostek, przyznawania środków na badania oraz naciski na publikację w czasopiśmiech wysoko punktowanych przyczyniły się do różnych patologii: „spółdzielni publikacyjnych”, akceptacji publikacji w „drapieżnych czasopiśmiech”, arbitralności w ocenie jednostek i pracowników naukowych. Wszystkie te zjawiska obniżyły jakość nauki, gdy liczba cytowań i liczba arbitralnie rozdzielanych punktów stały się ważniejsze niż jakość publikacji. Czynniki te przyczyniły się niewątpliwie do odpływu zdolnych młodych ludzi także ze względu na warunki płacowe i upadający prestiż zawodu naukowca czy nauczyciela akademickiego.

Upolitycznienie, pogoń za wskaźnikami zaślepiły reformatorów, którzy przeoczyli oczywiste czynniki wpływające na jakość nauki i szkolnictwa: dobre finansowanie i myślenie strategiczne z jasno określonymi celami. Szkolnictwo, od podstawowego po wyższe, powinno być procesem ciągłym poddawany bieżącej ewaluacji przy zachowaniu jego celów i wartości dających się wpisywać w życie społeczne jako wartość dodana kapitału kulturowego.

Kolejnym aspektem trudnej sytuacji szkolnictwa jest to, że jego reformy na poziomie szkolnictwa podstawowego, średniego i wyższego powinny być, a wcale nie są, skorelowane ze sobą. Tworzenie spójnego programu dla procesu edukacyjnego wydaje się oczywistym celem aktywności podmiotów kompetentnych w tym zakresie. Nie ma bowiem dobrego kształcenia podstawowego bez dobrze wykształconych i godziwie opłaconych nauczycieli, a więc tych, którzy są gwarancją podtrzymywania wartości samego celu kształcenia. Proces boloński niewątpliwie zaszkodził kształceniu wykwalifikowanych nauczycieli, a deprecjacja płac w tym zawodzie spowodowała, że zaczął się tu i wciąż trwa proces selekcji negatywnej.

Niestety wraz ze zmianą rządu w 2023 r. nie nastąpiło oczekiwane polepszenie sytuacji w szkolnictwie i w nauce. Niedofinansowanie nauki, złe opłacanie naukowców i nauczycieli, zmiany lub zaledwie zapowiedzi zmian, które wydają się tylko kosmetyczne, w obliczu powtarzających się skandali w środowiskach akademickich obejmujących styk akademii i kręgów władzy – wszystko to nie budzi zaufania uczestników procesu edukacyjnego. Dzieje się tak tym bardziej, że propozycje zmian w dalszym ciągu mają charakter doraźnie polityczny. Przykładem może być nieudolne forsowanie, skądinąd bardzo potrzebnych, edukacji zdrowotnej czy edukacji obywatelskiej jako odrębnych przedmiotów. A przecież można byłoby wprowadzać edukację zdrowotną w ramach już istniejących przedmiotów, np. biologii, wychowania fizycznego, wychowania do życia w rodzinie, a edukację obywatelską – w ramach wiedzy o społeczeństwie i etyki. Etyka zresztą jest tu dobrym przykładem myślenia kategoriami podziałów politycznych, a nie wartości edukacyjnych. Zarówno rządy PiS, jak i KO traktują szkolną etykę i religię tak, że utwierdzają społeczeństwo w przekonaniu, że etyka jest dla niewierzących, a religia dla wierzących. Wszystkie ruchy dotyczące liczby godzin, łączenia grup międzyklasowych, miejsca w planie, obligatoryjności czy wybieralności, liczenia się bądź nie ocen z tych przedmiotów do średniej, dotyczą zarazem etyki, jak i religii. Gdyby myślano systemowo, to na studiach filozoficznych wróciłaby specjalność nauczycielska i byłiby kompetentni nauczyciele do prowadzenia edukacji obywatelskiej i etyki zarazem.

Podsumowując ten krótki wywód, należy wskazać główne problemy nurtujące naukę i szkolnictwo w III RP:

- po pierwsze, systematycznie pogłębia się spadek społecznie podzielanego prestiżu wiedzy profesjonalnej. Paradoks tej sytuacji polega na tym, że im więcej potrzeba fachowej społecznej wiedzy o świecie intersubiektywnym, by się w nim orientować, tym łatwiej zastąpić wiedzę wartościową (naukę) tą wiedzą, która jest szybciej dostępna i satysfakcjonująca ogół. Przekonania o świecie nie mające żadnego związku

z nauką szerzą się szybciej, bo dostępne są natychmiast i są łatwo przyswajalne. Teorie spiskowe, alternatywna medycyna i alternatywna astronomia odzwierciedlają ów proces społeczny inflacji wartości wiedzy. Ci, którzy tworzą wytyczne dla programów kształcenia, zdają się nie dostrzegać tego procesu;

- po drugie, status instytucji wiedzytwórczych, tj. uniwersytetów, i edukacyjno-wychowawczych, tj. szkół niższych szczebli, a także prestiż uczonych i nauczycieli jest coraz niższy. Jest to związane m.in. z przekształcaniem tych instytucji w korporacje oraz z rozwojem nie tyle sztucznej inteligencji, co nadziei, że potrafi ona zastępować proces edukacyjny w jego głównych aspektach. W ten sposób ekspertami stają się wszyscy, którzy mają dostęp do internetu i chcą dysponować jego środkami perswazyjnymi. Istotnym w tym kontekście wydaje się przywoływane już wcześniej pytanie Floriana Znanieckiego: „[...] jakim powinien być proces kształtowania ludzi, aby stali się oni zdolni do pokierowania cywilizacją?”. Tempo i zakres zmian przekształca rzeczywistość w dynamiczny proces coraz trudniej przewidywalny, a przez to coraz trudniej uchwytny przez nauki społeczne. Warto zatem zastanowić się nad korelacją między rozwojem wiedzy, znaczeniem edukacji a jakością demokracji. ■

Mariola KUSZYK-BYTNIEWSKA

Dr hab. Paweł Bytniewski jest profesorem UMCS w Lublinie, pracuje w Instytucie Filozofii.

Dr hab. nauk humanistycznych Mariola Kuszyk-Bytniewska jest socjolożką i filozofką, adiunktą Instytutu Filozofii Wydziału Filozofii i Socjologii UMCS.



Rys. Marek Chaczyk

ŚWIADECTWA

Akademicki Klub Turystyczny Uwarunkowania i efekty fenomenu (część 2)



Tomasz DZIEDZIC

Dokończenie z numeru 1/2026

Zasady członkostwa każdy klub ustalał sobie sam, przy czym sytuację w tym zakresie można nazwać pewnym twórczym chaosem. Podstawowe regulacje, także dotyczące członkostwa, zawarte były w statucie. Niekiedy przy jego układaniu wspomagano się wzorem AKT Lwów, w innych przypadkach standardami PTTK, w jeszcze innych podpatrywano, co zrobili klubowicze z sąsiedniego wydziału lub uczelni i opracowywano własną (lub prawie własną) wersję. Czy były przypadki, że dziekani lub rektorzy wykazywali specjalną troskę o zapisy statutowe albo robiły to rady ZSP/SZSP? Z pewnością tak, gdyż wynika to ze statystycznego rozkładu i występowania nadgorliwców. Generalnie można jednak przyjąć, że statuty i zasady były układane (stosowane) przez samych członków klubów. Były też weryfikowane w trakcie działalności.

Tu wchodzimy jednak na pewien grząski grunt pokusy generalizacji. Akademickich klubów turystycznych w latach 70. było kilka setek. Każdy miał odrębną historię, różnych niekiedy wyrazistych liderów i ciała stanowiące, własną hierarchię celów programowych i działań, także różne oceny swoich członków i ewidencji działań. Każdy klub był swoistym niepowtarzalnym bytem, co wiązało się z autentycznością, spontanicznością i możliwością wdrażania własnych pomysłów, oczywiście po zdobyciu umiejętności i doświadczenia zapewniającego bezpieczeństwo.

Pytanie, ile było akademickich klubów turystycznych np. w połowie lat 70., nie może przynieść rzetelnej odpowiedzi, gdyż nikt tego nie wie. Co ważniejsze, odpowiedź taka byłaby pozbawiona poznawczego sensu, czyli nie prowadziła do użytecznych wniosków. Kluby jako organizmy żywe, choć w pewnym stopniu sformalizowane, łączyły się, dzieliły, zawieszały działalność, reaktywowały, także upadały (zgodnie z „prawem Orłowicza”). W tym też wyrażała się ich spontaniczność, autentyczność i słaba podatność na sterowalność, której niekiedy oczekiwały władze polityczne. Kiedy w 1970 r. przypadała okrągła rocznica urodzin W.I. Lenina, zwycięskim hasłem podczas zakończenia imprezy ogólnopolskiej (pod auspicjami ZSP i PTTK) dla kilkuset osób było: „Lenin z nami nad

Wigrami”. Sytuacja ta świadczy o raczej „elastycznym” podejściu do oficjalnego zadęcia i nadęcia.

Wracając do źle postawionego pytania, zawiera ono jeszcze tę pułapkę, że konkretna wielkość na każdy dzień mogła być inna. Bliższe rzetelności mogą być szacunki ówczesnych obserwatorów życia akademickiego, którzy podają, że akademickich klubów turystycznych w połowie lat 70. było kilkaset¹, a liczbę ich członków można szacować na kilkanaście tysięcy. Jeśli dodamy do tego jakość w postaci kwalifikacji (przewodniczej, przodowniczej, instruktorskiej), potencjału intelektualnego i efektywności organizacyjnej – trudno uznawać tę grupę za marginalną czy mało znaczącą.

Niezwykle istotną cechą akademickich klubów turystycznych w latach 60. i 70. XX w. była funkcjonalna, organizacyjna i personalna symbioza pomiędzy nimi a Biurem Podróży i Turystyki Almatu. Biuro powstało w 1956 r. (jeszcze z dodatkowym desygnatem „Wczasów” jako kontynuacja tradycji „Bratniaka”) jako wyspecjalizowana i licencjonowana (przepisami państwowymi do organizacji wyjazdów np. zagranicznych) komórka przy Radzie Naczelnej ZSP. Mniej istotne jest, że zgodnie z prawami wzrostu i rozrostu organizacji biurokratycznych, BPiT Almatu z biegiem lat miało coraz więcej komórek, wyznaczonych funkcji, celów i pracowników.

To, co należy oceniać jako swoisty fenomen, to współdziałanie i ścisła kooperacja pomiędzy tymi dwoma tworamipozornie różnej rzeczywistości: z jednej strony tworem biurokratycznym, z drugiej – kadrą turystyczną skupioną w AKT-ach, czyli działaczami społecznymi, gdzie każdy był kreatorem własnego bytu, podług własnej fantazji i zawsze mogło powstać ryzyko, że „mu/im się nie zachce”.

Przedstawiając tę relację w koniecznym skrócie, można powiedzieć, że przy całości oferty, jaką w ciągu roku firmował Almatu (także sezon zimowy był bardzo ważny), w zakresie wszystkich aktywnych (w tym wędrownych) form turystyki korzystał z kadry skupionej w Akademickich Klubach Turystycznych. Dotyczyło to rejsów i szkoleń żeglarskich, szkoleń alpinistycznych, spływów kajakowych, wędrowek pieszych po górach i nizinach, obozów narciarskich itd. Żadne inne biuro ani organizacja nie dysponowała taką ilością i jakością kadry prowadzącej, jak Almatu. Z drugiej strony rzesze przewodników, przodowników, instruktorów, organizatorów dzięki obsłudze imprez Almatu mogły mieć satysfakcję z samorealizacji i wzrostu własnych kwalifikacji (dzięki większemu stażowi, czyli doświadczeniu, podwyższenia swojej klasy uprawnień). Przedstawiając tę niezwykłą kooperację, należy wspomnieć, że Almatu sam z siebie jako skromny, mały twór biurokratyczny nie mógł w zasadzie ani programowo, ani organizacyjnie niczego sam programować bądź organizować. W praktyce za wszystkimi inicjatywami, pomysłami, zmianami itp. stała kadra skupiona w AKT-ach. Powyższa zależność dotyczyła także baz w namiotach, bazy całorocznej np. w Beskidach, ośrodków żeglarskich bądź jeździeckich. To sprzężenie zwrotne pomiędzy pozornie tak odległymi rodzajami bytów, jak klub turystyczny i biuro przez szereg lat przynosiło niezwykle efektywne rezultaty.

¹ Według tychże źródeł, druga połowa lat 70. XX w. to apogeum liczby AKT-ów, ich członków i organizowanych imprez.

Należy wspomnieć o jeszcze jednym, finansowym aspekcie tej konfiguracyj. Wprawdzie pieniądze w tzw. realnym socjalizmie nie odgrywały pierwszoplanowej roli, niemniej na poziomie jednostek, grup i państwa nie można ich było pominąć. Po konsolidacji struktur organizacji młodzieżowych (1973 r.) SZSP stało się w praktyce monopolistycznym adresem środków zapisanych w budżecie państwa dla zapewnienia wypoczynku młodzieży akademickiej. Z jednej strony przebarwiała to krajobraz w kierunku samorządności: „niech się studenci sami rządzą”, pod warunkiem, że odpowiedzialnie, cokolwiek to oznaczało. Z drugiej strony beneficjentami środków budżetowych tak zapisanych musieli być *a priori* wszyscy studenci, nie tylko członkowie SZSP (tych liczba ani w wartościach bezwzględnych, ani względnych nie miała tendencji rosnącej). *Terctio*, organ naczelny ZSP/SZSP i podległe mu struktury były odpowiedzialne za przetworzenie pieniędzy na wypoczynek studentów. Nominalnie odpowiadały za to komisje turystyki i sportu przy radach i zarządach. Te jednak, kierując się zdrowym rozsądkiem i pragmatyzmem, jako końcowych organizatorów wskazywały akademickie kluby turystyczne, gdyż tam byli skupieni kompetentni i chętni, mogący zorganizować spływ, obóz, wędrowkę, a przy okazji spełnić własne pomysły, pogłębić kwalifikacje, nabyć nowe doświadczenia. W ten sposób ciastka były ze smakiem jedzone i – wbrew porzekadłu – było ich coraz więcej. Sytuacja godna pozazdroszczenia i rzeczywiście ludzie działający w innych organizacjach młodzieżowych niekiedy dawali temu wyraz.

3. Socjopsychologiczne, polityczne, ekonomiczne i organizacyjne wyróżniki pozwalające AKT-om na stworzenie i zachowanie własnej podmiotowości w latach 60., 70. i 80. XX w.

Zarysowane w poprzedniej części pewne charakterystyczne cechy podmiotowe i przedmiotowe akademickich klubów turystycznych, cele, którym służyły, powiązania zewnętrzne i warunki działania nie dają jeszcze informacji o pewnych relacjach kształtujących się niejako pozastatutowo, a mających istotny wpływ na to, czym były AKT-y dla ich członków, a także bliższego i dalszego otoczenia. Poniżej kilka płaszczyzn, na których były one widoczne, jednocześnie odróżniając te grupy od innych bytów społeczno-organizacyjnych w owym czasie.

Społeczności AKT działały aktywnie m.in. na rzecz ochrony przyrody, krajobrazu i zabytków². Sprzyjały temu niektóre cechy socjodemograficzne bycia studentem: młody wiek, brak obowiązków zawodowych, na ogół brak obowiązków rodzinnych, otwartość na pewne prądy kulturowe i mody pojawiające się w Europie i USA.

Dzięki kapitałowi intelektualnemu oraz pewnym wzorcom rozwijanym przez życie i tradycje klubowe, że coś wypada, a coś nie, że członek klubu powinien coś zrobić, bo tego wymaga klubowa konwencja, można było tworzyć mikroświaty bez nadmiernej presji światów makro. Jedno-

² *Vide* słynny „spór o Bieszczady”, w który zaangażowała się mocno społeczność Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich z Warszawy (czyli jednego z warszawskich AKT).

częście nie były to światy odseparowane od siebie, gdyż miały okazję na spotkania i wymianę doświadczeń, opinii, wniosków.

Ponadprzeciętne kompetencje, spora autonomia, poczucie własnej roli i odpowiedzialności (niekiedy misji) sprawiały, że można w AKT-ach doszukiwać się załączków społeczeństwa obywatelskiego, w czasach, kiedy to słowo nie było w Polsce używane. Niekiedy jednak przez klub i instancję SZSP bądź PTTK, przy której był afiliowany, kwestia tzw. obywatelskiej postawy była podnoszona z aprobatą i pozytywnymi konotacjami, choć nie zawsze obie strony (klub i macierzysta organizacja) rozumiały przez to to samo.

Innym, ważnym wyróżnikiem jakości działań w AKT-ach było poczucie odpowiedzialności, jakie wiązało się z prowadzeniem jakiegokolwiek imprezy, a na tym w pewnym stopniu zasadzało się życie klubowe i sens bycia w klubie (co sygnalizowano w pktcie 2). Prowadzący/klubowicz z chwilą objęcia funkcji brał na siebie obowiązek dbania, by wszyscy wrócili cało i zdrowo, by nie narażać uczestników na zbytne ryzyko. Niektóre kluby i ludzie kadry w tych oczekiwaniach szli jeszcze dalej: by uczestnikom impreza się tak podobała i chcieli dać się wciągnąć w ten czy inny rodzaj turystyki, niekiedy wręcz skaptować do klubu jako „narybek”. Im dyscyplina turystyki była bardziej specjalistyczna, a rodzaj działania bardziej wymagający, tym odpowiedzialność kadry była większa (*vide*: przewodnik górski na tatrzańskim szlaku, niedzielna wycieczka po Puszczy Kampinoskiej). Zawsze była to odpowiedzialność interakcyjna, a nie skupiona na sobie.

Drugim wymiarem odpowiedzialności kadry prowadzącej była sfera finansowa. W praktyce każda impreza poprzedzona była jakiś kosztorysem, kosztorys zawierał pozycje wydatków (w tym wydatki gotówkowe) i na to z reguły potrzebna była zaliczka, a później rozliczenie. Przepisy nie były specjalnie skomplikowane, ale przy większych grupach i dłuższych wyjazdach (np. zagranicznych) były to często spore kwoty. W trakcie imprezy trzeba je było w miarę sensownie wydawać, tak by wystarczyło na wszystko, co zaplanowane i dla każdego uczestnika. Kluby w ramach szkoleń na swoje ogólne lub specjalistyczne uprawnienia miały tematykę przepisów finansowych i rozliczeń jako zajęcia obowiązkowe. Biegłość w finansach podnosiło poziom kadry AKT-ów na kolejny szczebel, z drugiej strony powiększając jej poczucie autonomii (przy korzystaniu z mechanizmu psychologicznego: im więcej umiem, tym mogę być bardziej niezależny).

Kolejną cechą wyróżniającą zachowania AKT-ów były kontakty, powiązania celowe i/lub funkcjonalne, okazjonalne, a niekiedy wieloletnie, pomiędzy poszczególnymi klubami i społecznością lokalną. Wycieczki organizowane przez szereg lat w ten sam region, czasami w te same miejsca wytwarzały naturalną potrzebę nawiązywania nierutynowych kontaktów, wykraczających poza powierzchowne relacje przyjeżdżający-przyjmujący. Po stronie społeczności odwiedzanych można tu wskazać nie tylko władze województwa i powiatu, ale w pierwszej kolejności gminy, wsi, a w wymiarze spersonalizowanym: sołtysa, parafialnego księdza, kierownika i nauczycieli miejscowej szkoły, zarządzającego skansenem, muzeum albo zabytkiem, przystanią bądź kolejką leśną, lasami państwowymi i twórców miejscowych (zespoły wokalnie-taneczne, piszących o „swoim” prozą lub wierszem, rzeźbiarze – od świątków, ale nie tylko – fotograficy przyrody i krajobrazu, gawędziarze, kolekcjonerzy „wszystkiego”), drużyny harcerskie.

Często te relacje początkowo ze strony społeczności lokalnych były nacechowane niepewnością i dystansem, z czasem przeobrażały się w zażyłość i sympatie. Przedstawiciele AKT uzupełniali zasoby szkolnych bibliotek i organizowali prelekcje dla uczniów, oferowali pomoc w sporządzaniu dokumentacji dla skansenu, pomagali w remontach kościołków i innych obiektów wymagających wsparcia, nagłaśniali w swoich „wielkich miastach” lokalne problemy, np. uruchomienie (lub przywrócenie) połączenia komunikacyjnego, ratowanie zabytku albo objęcie terenu lub obiektu jakąś formą ochrony przyrody. Miało to miejsce m.in. w Bieszczadach, Gorcach, Sudetach, na Wolinie, nad Biebrzą i w wielu innych regionach Polski. W tym miejscu warto pamiętać, że reforma administracyjna z 1976 r., tworząca 49 województw, skutkowałą krótszą drogą i możliwością bliższych relacji pomiędzy wojewódzkimi decydentami a „wielkomijskimi mądralami” z AKT-ów. Przez szereg lat przynosiło to wymierne efekty obu stronom. Tę sferę aktywności powinno się traktować jako nowe wyzwania, nowe działania, poszukiwania nowych powiązań i celów, jeszcze jednej misji spójnej z innymi przejawami aktywności. Raczej nie powinno się w tym dostrzegać resentymentów „powrotów do przeszłości”, choć dbałość o wartości historyczne (wyrażająca się choćby w pamięci historycznej o zabytkach i rocznicach) pozostawała ważnym elementem postrzegania świata.

Członkowie akademickich klubów turystycznych na wszystkich etapach powstawania, działania i zmian, prócz powiązań formalnych wynikających z członkostwa, statutów i afiliacji, wchodzili w interakcje nieformalne, w kooperacje wynikające z sympatii, z zaufania do innych osób płynącego z bezpośrednich doświadczeń („kto jest co wart w praktyce, a nie deklaratywnie”), dzielenia wspólnych zainteresowań nie tylko do poznawania świata, ale w czytanych książkach, oglądanych filmach, w tematach dyskusji o *wszystkim* i formach tych dyskusji. Część osób przychodzących do klubu, prócz chęci poszerzenia swoich kompetencji, jeżdżenia, zwiedzania, organizacji dla innych, szukała też towarzystwa – i znajdowała. Trudno powiedzieć, czy ktoś kiedyś robił bardziej kompleksowe (nie: wycinkowe) badania na ten temat, ale jeśli za wskaźnik efektywności poszukiwań przyjąlibyśmy tylko liczbę małżeństw zawartych pomiędzy członkami akademickich klubów turystycznych tylko w środowisku warszawskim i krakowskim, to można szacować tę wielkość na kilkaset osób. Śluby i dzieci były na porządku dziennym. Część tak zawiązanych i budowanych relacji miała swoją kontynuację w postaci tzw. tras dziecięcych na rajdach i/lub spływach, a potem zaszczepiania tych wzorców wnucom. Wielopokoleniowe ognisko na zakończenie dnia wędrówki bądź spływu nie jest powszechne, ale też nie należy do abstrakcyjnej niezwykłości w rodzinach aktywnych członków AKT z lat 60.–80., dla których wzorce te okazały się trwałe i emocjonalnie wartościowe. Niektóre kluby przekształciły się w stowarzyszenia (wybrana formuła prawna), inne funkcjonują jako luźne związki towarzyskie, mając kontakty na FB i spotykając się incydentalnie, o jeszcze innych zachowały się wzmianki w pisanej historii turystyki studenckiej, a o wielu innych tylko w pamięci ich członków. Przy czym, z przyczyn naturalnych, ta część pamięci ma wygasającą datę ważności.

4. Fenomen AKT w kontekście wybranych odniesień teorii T. Parsonsa

Przedstawiono wyżej krótką informację o początkach akademickich klubów turystycznych i zarys ich wybranych cech, a także specyfikę odróżniającą je od innych bytów kształtujących życie społeczne (i polityczne) w okresie po październiku 1956 r., a przed stanem wojennym 1981 r. Na podkreślenie zasługuje przede wszystkim kreatywność w działaniach i kształtowaniu własnego wizerunku, znaczna autonomia w podejmowaniu decyzji o tym, co się chce robić, dla kogo i dlaczego, dostrzeganie własnej podmiotowości, przywiązywanie dużej wagi do zachowywania i przechowywania tradycji oraz widzenia jej funkcji w kształtowaniu przyszłości, kultywowanie związków i powiązań nieformalnych (sieci) w ramach struktur formalnych i przenikanie się płaszczyzn, budowanie autorytetów na bazie efektywności i racjonalności działania („para nie w gwizdek, ale w tłoki”); czerpanie indywidualnej i zbiorowej satysfakcji z dobrze zrealizowanej imprezy, a jeszcze większej, jeśli uczestnicy byli zadowoleni. Wszystkie te czynniki (elementy) miały jeszcze tę właściwość, że wspomagały się wzajemnie, nie musiały zachodzić wszystkie i jednocześnie, ale współgrały z sobą oraz wykazywały cechy gry o sumie wybitnie niezerowej, jeśli posłużymy się tymi pojęciami z teorii gier, a wydają się one dość adekwatne do opisywanej sytuacji.

Jeśli przedstawione sytuacje (fakty, związki, zależności, efekty) miały miejsce, to rodzi się pytanie, na jakiej zasadzie lub na prawie jakiego wyjątku było to możliwe po 30 latach funkcjonowania PRL, po grudniowej tragedii w stoczniach, po „świeżych walkach z warchołami”, po „udoskonalaniu” Konstytucji w 1976 r. i kilku podobnych posunięciach? W żadnym zakresie/wymiarze nie czuję się kompetentnym, by próbować odpowiedzieć w kategoriach politologicznych, poza tym *mędrkowanie* pół wieku *ex post* także nie wydaje się zbyt uczciwe. Natomiast można wskazać kilka czynników, które mogą (mogły) mieć znaczenie sprawcze; ale nie jeden decydujący. Powodowało to raczej skutki rozproszone, dzięki czemu efekty mniej destabilizujące relacje pomiędzy klubami a tzw. politycznymi parasolami; choć nie jest to najrzęczniejsze określenie bez względu na to, kogo dotyczy.

Czy i na jakiej płaszczyźnie teoretycznej można rozpatrywać opisywane wyżej zjawiska i zależności? Czy próba taka nie poskutkuje poszukiwaniem ponadwymiarowej konstrukcji, gdzie ujawni się przerost formy nad treścią?

Warto przywołać pewną prawidłowość w lokowaniu spraw ważnych i ważniejszych. Tak w latach PRL, jak i obecnie, przez urzędników państwowych, jak i działaczy polityczno-społecznych organizacji (np. posłów, radnych, etc.), przy ustaleniu hierarchii zadań w gremiach decyzyjnych, przy tworzeniu narracji PR-owej i medialnej, kolejność i waga spraw była i jest bardzo zbliżona (drobne wariacje dopuszczalne): przeważa socjal (obejmujący wszystkie aspekty bytowe), nauka, zdrowie, kultura, kontakty zewnętrzne i organizacja wewnętrzna, a na końcu zawsze magiczna formułka: „no i oczywiście nie możemy zapominać o turystyce i wypoczynku...”

Solidne trwanie tego stanu marginalizacji nie przystaje ani do przedstawionego wyżej fenomenu akademickich klubów turystycznych, ani do współczesnego realnego oddziaływania na wytwarzanie PKB i rynek pracy gospodarki turystycznej w Polsce. Przyczyny i przebieg tej permanentnej

marginalizacji mogłyby być interesującym polem badawczym dla kilku dziedzin nauki³. Ponieważ marginalizacja ma charakter ponadczasowy i ponadsystemowy, można sądzić, że wynika z utrwalonych stereotypów przekazu „co ludzie chcą usłyszeć”. Należy bowiem mieć na uwadze rozkład sił, narzędzi i sposobów oddziaływania rządzących i kształtujących opinię.

Czy przedstawiona – z konieczności krótka – charakterystyka akademickiego klubu turystycznego upoważnia nas do rozumienia go jako konstrukcji w rodzaju „typu idealnego”, który proponował Weber? Przemawiają za tym pewne przesłanki, jak statystyczny rozkład cech charakterystycznych i ich natężenie. Z drugiej jednak strony spontaniczność, kreatywność, podatność na impulsy z zewnątrz i podkreślanie przez każdy klub swojej własnej tożsamości (tworzenie z tego samoistnej wartości) powoduje, że rzetelna odpowiedź na to pytanie powinna być poprzedzona solidnymi badaniami. Tym bardziej, iż cechy te kształtowały się z reguły w formie kontinuum, a nie w postaci zerojedynkowej, a tym samym wymagałyby opracowania wskaźników oraz metod i wartości pomiaru.

Kolejne, być może kluczowe pytanie, które powinno być postawione, brzmi: czy i w jakim zakresie multiplikowany był w postaci akademickiego klubu turystycznego wpisywał się w koncepcje, cechy i warunki społeczeństwa nowoczesnego, tak jak je konceptualizowano w drugiej połowie XX wieku?

Talcott Parsons w swoich analizach cech strukturalnych i kulturowych stawia diagnozę pozwalającą mu wyłuskać różnice (jego zdaniem) najbardziej istotne społeczeństwa tradycyjnego i nowoczesnego. Obu tym typom społeczeństwa (społeczeństw) ustawionym biegunowo przypisywane są też biegunowo przeciwstawne zmienne. Parsons zalicza do nich: wysoką specjalizację grup, ról i stosunków społecznych (w tle: wysokie kompetencje), własny wysiłek i zasługi (bez determinującego wpływu walorów odziedziczonych), dostęp dla ról, grup i relacji jest otwarty nominalnie dla wszystkich, a decydują o tym kompetencje (a nie partykularyzmy i mętne powiązania), jest powiązany z indywidualnymi działaniami, bez bagażu i obciążeń wynikających z przynależności do tradycyjnej społeczności lokalnej/plemienia i wreszcie wzorzec powściągliwości w zachowaniach indywidualnych i zbiorowych⁴. Bez problemu trzy pierwsze cechy wymienione przez Parsonsa jako atrybuty społeczeństwa nowoczesnego można i należy przypisać AKT-om, w jednym przypadku mamy odmienną wynikającą z filozofii wsparcia tych, którzy potrzebują⁵, a w ostatnim typologia Parsonsa jest chyba zbyt schematyczna, by uosa-

³ Marginalizacja ta miała miejsce także wewnątrz ZSP, a później SZSP i ujawniała się na każdym poziomie organizacyjnym, od Rady Naczelnej do Rady Wydziałowej.

⁴ Przytaczam za P. Sztompka, *Socjologia*. Wyd. Znak, 2003, Kraków, s. 561–562.

⁵ Jak wspomniano wyżej, działania na rzecz relacji AKT-społeczność lokalna powinny być oceniane jako aktywność wpisująca się w paradygmat Parsonsa, tj. AGIL: A – *adaptation*, G – *goal attainment*, I – *integration*, L – *latency*. A nie jako przejaw i trzymanie się dysfunkcyjnych (zdaniem Parsonsa) stereotypów z przeszłości.

biała nowoczesność⁶. Tym bardziej, że w społeczeństwach, które Parsons lokował najwyżej w swojej hierarchii nowoczesności uznano, że nadmierne tłumienie, wypieranie emocji, prowadzi do negatywnych konsekwencji. Rozwój psychologii w II połowie poprzedniego stulecia pomógł w zrozumieniu tych dysfunkcji i upowszechnieniu wiedzy terapeutycznej.

Pod koniec XX wieku schematy zaproponowane przez T. Parsonsa zostały zniuansowane. I tak K. Kumar, czerpiąc z koncepcji A. Comte'a, M. Webera i właśnie Parsonsa, zaproponował pięć zasad, przyjmując je za sedno nowoczesności: indywidualizm, mnogość szans i możliwości do wyboru, racjonalność (apoteoza rozumu), ekonomizm (produkcja i kupno, ale także liczenie kosztów i pożytków) oraz ekspansywność – co oznacza poszerzanie wszystkiego, czyli wartości materialnych i niematerialnych, tak długi i tak daleko, jak to możliwe⁷. Tak ujęte cechy modernistycznego społeczeństwa nie są odległe od wartości i pragmatyki AKT-ów.

Parsons jeszcze w okresie zawodowej aktywności był krytykowany za to, że jego teorie są zbyt wielkie, zbyt teoretyczne i zbyt eurocentryczne (Europa+WASP) i w swoich rozważaniach nie posługuje się konkretnymi, empirycznymi przykładami, raczej budową modeli, analizą logiczną i funkcjonalną oraz wnioskowaniem. J. Szacki oceniał, że teorie funkcjonalne i strukturalne Parsonsa są tak pojemne, że każdy w nich znajdzie coś dla siebie; także sprzeczności⁸, a jednocześnie brak desygnatów empirycznych będzie powodował trudności weryfikacji. Niemniej, jego (Parsonsa) nowatorskie podejście do teorii społeczeństwa w postaci wprowadzenia pojęcia „system społeczny” i „paradygmat AGIL” pozwala widzieć (daje na to szansę) akademicki klub turystyczny także w tym szerszym teoretycznym kontekście, a nie tylko jako studium przypadku.

Z tego punktu widzenia bardzo interesujące wydaje się podejście E. Klimowicz, która wskazuje na pojęcie wartości i jej rolę jako kluczowej zmiennej w siatce pojęciowej stworzonej przez Parsonsa i pisze m.in., że Parsonsa „system teoretyczny zawiera wiele ważnych dla aksjologii i etyki twierdzeń i propozycji [...] do analizy różnych zjawisk z zakresu socjologii, antropologii kulturowej i psychologii podchodzi on z punktu widzenia działania; działanie zaś rozpatruje jako zorganizowany na wielu proces sterowany wzorami normatywnymi i wartościami”⁹. W kolejnym fragmencie Klimowicz przywołuje definiowane przez Parsonsa związki pomiędzy zrozumieniem zachowania jednostki a poznaniem kontekstu systemowego (i subsystemowego), w jakim jednostka działa, a „ten ostatni zaś trzeba analizować w jego związku z systemem kultury, a zwłaszcza w odniesieniu do funkcjonujących w kulturze symboli i wzorów wartości...”¹⁰. W konkluzji tego fragmentu rozważa autorka stwierdza, że „...analiza działania w kategoriach orientacji co do celów i norm jest uzasadniona...”¹¹, przy pewnych

⁶ Wystarczy porównać spontaniczne zachowania nowoczesnego społeczeństwa włoskiego z zachowaniem „nowoczesnych” kibiców piłkarskich w Angli, bądź „kamienne twarze” i emocjonalne tabu w niektórych społecznościach indiańskich.

⁷ Przytaczam za P. Sztompka, *op. cit.*, s. 563–564.

⁸ Por. J. Szacki, *Historia Myśli Socjologicznej*, PWN, Warszawa, 1981 r., s. 790–800.

⁹ E. Klimowicz, *Talcott Parsons o miejscu i funkcjach wartości w systemie działania jednostki ludzkiej*, [w:] „Edukacja Filozoficzna”, vol. 9, 1989 r., s. 169.

¹⁰ *Ibidem*, s. 170.

¹¹ *Ibid.*, s. 172.

założeniach, „[...] a jednym z nich jest pozostawanie w związku funkcjonalnym z faktami innego systemu działania niż system idei aktora. [...] Oznacza to model działania przyjęty przez Parsonsa [...] jako procesu celowego i sterowanego normami i wartościami...”¹². W pewnym – teoretycznym – zakresie wyjaśnia to możliwość funkcjonowania AKT-ów w ramach ZSP/SZSP, mimo że na poziomie wyjściowym były to organizacje różnych idei i różnych aktorów. Na wyższym poziomie systemowym znalazły warunki do działania na rzecz celów i wartości, przynajmniej częściowo, wspólnych.

Próba konkluzji

Z przedstawionych w trzech pierwszych punktach zagadnień wynika, że AKT-y od swego zarania w 1906 r. nastawione były na działanie. Na działanie racjonalne, efektywne, ciągłe i dające satysfakcję z realizacji celów. Były tworem indywidualistycznym, a przy tym technologicznie dość zbliżonym (system kształcenia, system rozliczeń i odpowiedzialności finansowej, etyki na szlaku i zachowań prośrodowiskowych, dbałość o klubowe tradycje). Dla wielu studentów były pierwszą okazją zetknięcia się z aktywną turystyką. Były jako byt multiplikowany jedynym takim przypadkiem na świecie. Sierra Club, organizacja o wielkiej sławie i zasługach (rozpoczęła działalność 5 lat wcześniej niż Mieczysław Orłowicz), jest nieporównywalna, gdyż jest innym typem organizacji¹³. Z wyjątkowej specyfiki na tak różnych płaszczyznach można wyciągnąć wniosek o fenomenie zjawiska AKT-ów i ich niepowtarzalności. W pewnym zakresie, zdaniem autora, zasługę za to w dużej mierze można przypisać Orłowiczowi, jego działalności i życzliwości wobec inicjatywy wrocławskich studentów w 1957 r.

Kolejnym aspektem unikatowości akademickich klubów turystycznych był fakt – formułując nieco hasłowo – iż kluby miały własne biuro podróży, a biuro Almatu – własne kluby. W tym kontekście można przywołać nietrafność pretensji, jakie formułowano pod adresem AKT-ów, „oni jeżdżą, bo mają pieniądze”; sytuacja była odwrotna: „oni jeździli i działali, dlatego mieli pieniądze”.

Skrótowy, z konieczności wymogów artykułu, przegląd cech przypisywanych społeczeństwom nowoczesnym i konfrontacja ich z morfologią działań, metod, sposób widzenia świata, środowiska i ludzi oraz realizowanych celów, prowadzi do wniosku, że AKT-y miały te cechy, utrwały je i rozwijały w stopniu na tyle wyraźnym, że można było uznać je za ich znak firmowy.

Z kolei, naturalna dla takich jak AKT-i organizmów: wielość ról, elastyczna funkcjonalność i poszukiwanie wspólnych wartości na wyższych (najwyższych) piętach organizacji życia społecznego, pozwalała im efektywnie działać w ramach systemów o innych cechach morfo-

¹² *Ibidem*, s. 173.

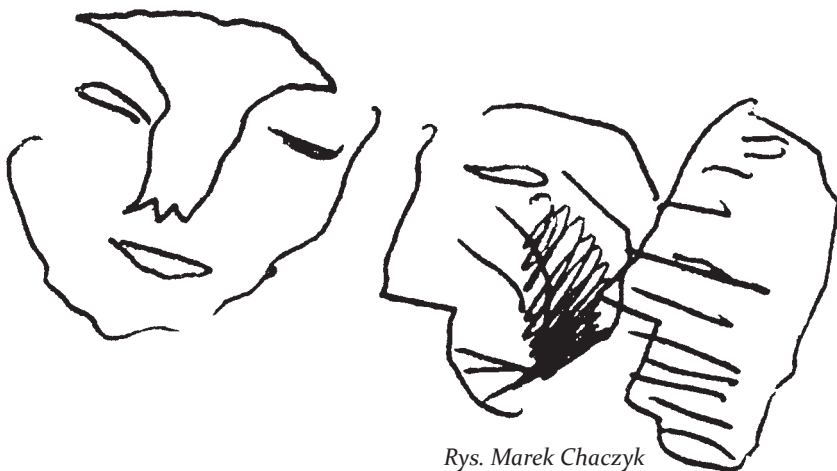
¹³ W oparciu o inicjatywy jednostkowe w niektórych przypadkach powołano na bazie idei wcześniejszych AKT kluby o statusie stowarzyszeń. W niektórych przypadkach nie zmieniono nawet nazwy; np. Stowarzyszenie SKG. Klub organizuje imprezy dla dziesiątek, niekiedy setek osób, prowadzi szkolenia, a także działalność popularyzatorską i wydawniczą.

gicznych i innych celach operacyjnych, potwierdzając opinię T. Parsonsa, że w pewnych warunkach jest to możliwe.

Wszystko to potwierdza fenomen AKT w ujęciu mikro- i makrosocjologicznym, a także w układzie międzypokoleniowej kontynuacji 120-letniej tradycji. ■

Literatura została przytoczona na końcu pierwszej części artykułu, w numerze 1/2026 „Res Humana”

Autor jest absolwentem socjologii UW, doktorem nauk ekonomicznych SGH. Pracował zawodowo w Almaturze, PTTK i innych biurach podróży. Wykładowca akademicki przedmiotów turystycznych i ekonomicznych. W XXI w. pracował jako adiunkt w Instytucie Turystyki (Warszawa). Zamieścił szereg artykułów naukowych i popularno-naukowych w wydawnictwach cyklicznych i jednostkowych.



Rys. Marek Chaczyk

Profesor Dionizy Tanalski – filozof dialogu

Zmarły 28 listopada 2025 roku profesor Dionizy Tanalski był wychowankiem Uniwersytetu Warszawskiego (magisterium w 1955 roku) i wieloletnim wykładowcą Wyższej Szkoły Nauk Społecznych PZPR, gdzie doktoryzował się w 1966 roku i habilitował w roku 1976. Od 1987 roku był profesorem tytularnym. Główną część swej ciekawej twórczości naukowej poświęcił krytycznej analizie katolickiej filozofii społecznej, w tym zwłaszcza myśli Jana Pawła II. Była to refleksja krytyczna, ale pozbawiona agresywności i szukająca tego, co może stanowić punkty styeczne tej doktryny i marksistowskiej filozofii człowieka. Ten typ postawy intelektualnej czynił go jednym z najciekawszych rzeczników dialogu intelektualnego. Był zaangażowanym działaczem polskiego ruchu laickiego, wieloletnim członkiem Rady Programowej „Res Humana”.

Pozostaje w naszej pamięci jako człowiek wielkiej wiedzy i gorącego serca.

Rada Programowa i Redakcja „Res Humana”



Twarze inne

Marek CHACZYK

Inne niż te, do których przyzwyczaiał nas ten rysownik



FORUM MYŚLI NIEOBOJĘTNYCH

Tak myślę

Kondycja i przyszłość służby zdrowia. Refleksje pacjenta po przejściach



Andrzej ŻOR

Publiczne debaty na temat stanu i przyszłości służby zdrowia od dłuższego już czasu zajmują pokaźne miejsce w krajowych dyskusjach i swarach. Jak można się domyślić, w dyskusji tej dominują wątki krytyczne, a obrzucanie konkurentów politycznych zarzutami indolencji, a nawet inwektywami nadaje jej emocjonalnych rumieńców. Jak to w polityce bywa, chodzi nie o poprawę sytuacji, lecz o uzyskanie przewagi w partyjnej rywalizacji. Ponieważ wybory parlamentarne odbędą się za półtora roku, temperatura tego sporu już rośnie i stopniowo będzie się podnosić. Można z dużym prawdopodobieństwem przewidywać, że temat ten stanie się jednym z kluczowych w nadchodzącej kampanii.

Nigdy nie zajmowałem się funkcjonowaniem służby zdrowia. Mając umysł niezamącony znajomością rzeczy, zdecydowałem się na napisanie tych uwag na podstawie krótkich, lecz pełnych emocji doświadczeń z kilkumiesięcznego procesu leczenia choroby nowotworowej, w tym dziesięciodniowego pobytu w szpitalu MSWiA przy ul. Wołoskiej w Warszawie. Pierwszy, płynący z tych doświadczeń wniosek brzmi: stan i perspektywy ochrony zdrowia zależą przede wszystkim od czynników zewnętrznych, niewchodzących bezpośrednio do zakresu jej działalności. Zwiększanie środków NFZ lub dotacji budżetowych na ten cel, poprawa struktury i rozmieszczenia jednostek czy organizacji pracy są ważnymi elementami poprawy jej jakości, ale to czynniki spoza tej sfery wpłyną zasadniczo na jej funkcjonowanie. Kluczową wydaje się demografia, a konkretnie grzech zaniechania sprzed 10 lat. Jedną z mądrzejszych decyzji ówczesnych rządzących była ta z 2012 roku o stopniowym wydłużaniu i ujednoliceniu czasu pracy i o późniejszym przechodzeniu na emeryturę; niestety – wycofana kilka lat później pod wpływem nacisków społecznych. *Vox populi* nie musi być głosem Boga; schlebienie gustom większości przynosi na ogół fatalne skutki. Powinno-

ścią rządzących nie jest szukanie poklasku, lecz podejmowanie mądrych i dalekosiężnych decyzji. Ani dążące do przejęcia władzy PiS, które wykorzystano opór społeczny do własnych politycznych celów, ani PO, która podkuliła ogon ze strachu przez jej utratą (co i tak tej utracie nie zapobiegło), nie stanęły w tej sprawie na wysokości zadania.

Demografowie już wcześniej ostrzegali, ale nikt demografów nie słuchał. Ich pesymistyczne przepowiednie sprawdzają się co do joty. Właśnie w mediach pojawiła się wiadomość o spadku liczby ludności w 2025 roku o kolejne ca 157 tysięcy – do 37,3 mln osób. A to płatnicy świadczeń na służbę zdrowia. Według informacji będących w obiegu publicznym, wskutek wydłużenia się życia (paradoksalnie – m.in. za sprawą lepszej opieki medycznej) i niższego współczynnika dzietności – tzw. zastępowalność pokoleniowa, która powinna wynosić 2,1, by utrzymać populację na obecnym poziomie, spadła w Polsce do 1,03, odsetek osób 60+ przekroczył już 25 procent (każdego roku zwiększa się o 0,7 proc.), a najwybciej rośnie liczba osób w wieku 80+. Osoby mające 80 lat i więcej stanowią już dziś 16,3 proc. ogółu. Ich liczba podwoiła się w ciągu ostatnich 20 lat. W samym tylko 2023 roku liczba osób w wieku 65+ wzrosła o 197 tys. osób. A ci, którzy mają przynajmniej 90 lat, to już dziś ponad 300 tysięcy osób, w roku 2037 będzie ich ponad 400 tysięcy, dwa lata później – 500 tysięcy, a 800 tysięcy pojawi się w roku 2048. „Według prognozy GUS liczba ludności w wieku 60 lat i więcej w roku 2030 ma wzrosnąć do poziomu 10,8 mln osób, a w roku 2050 wynieść ma 13,7 mln. Osoby starsze będą stanowiły około 40 proc. ogółu ludności Polski”. A ci częściej i ciężiej chorują. Większość z nich (prawie wszyscy) wymaga lub wymagać będzie stałej opieki lekarskiej, w tym spora część – opieki szpitalnej. Żeby opis ukonkretnić o szczegóły finansowe – w rosnącej grupie wiekowej 75–79 lat roczny koszt jednego pacjenta to 13,6 tys. zł (mężczyźni) i 10,6 tys. zł (kobiety). Średnia refundacja na leczenie tej grupy wynosi 5,3 (mężczyźni) oraz 5,1 (kobiety) tys. zł. Już dziś nie pokrywa ona nawet połowy poniesionych kosztów. Tu jest pies pogrzebany! Zmian demograficznych nie jesteśmy w stanie odwrócić; one zostały zresztą zaprogramowane kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt lat temu. By kryzysowi sprostać, trzeba szukać środków zaradczych, próbując – ze słabymi nadziejami – spowolnić (choć trochę) niekorzystne trendy demograficzne, zwiększyć nabór na studia medyczne (efekty z 6–8-letnim opóźnieniem), zwiększyć zainteresowanie młodzieży kierunkami medycznymi i rehabilitacyjnymi, zwiększać (stopniowo, inaczej się nie da) liczbę specjalistów w zakresie geriatry i gerontologii oraz usług opiekuńczych i rehabilitacyjnych, uzupełniać luki kadrowe dopływem imigrantów (tu trudności z nostryfikacją dyplomów, szczególnie istotne w medycynie). Już dziś na Oddziale Urologii Szpitala przy Wołoskiej w Warszawie spotkałem pielęgniarki z Tybetu i Nepalu, które radzą sobie znakomicie. W atmosferze anty-imigranckiej psychozy trudno mówić jednak o zwiększaniu przyjazdów obcokrajowców. Nie da się też uniknąć zmian w rozmieszczeniu i liczebności poszczególnych oddziałów szpitalnych w różnych okręgach. Budzi to znaczny opór społecz-

¹ *Sytuacja ludzi starszych w Polsce w 2021 roku*. Raport przygotowany przez zespół pod kierunkiem Ewy Kamińskiej-Gawryluk. GUS. Urząd Statystyczny w Białymstoku.

ny, co widać na przykładzie porodówek. Skoro coraz mniej dzieci się rodzi, a rośnie liczba starców, logiczne wydają się zmiany strukturalne, ale te napotykać z reguły na opór zainteresowanych. Przydałoby się również rozważyć ponownie szkodliwą decyzję o utrzymaniu anachronicznego wieku przejścia na emeryturę, ale w rzeczywistość tej propozycji nie wierzę. Zdrowy rozsądek na ogół przegrywa z populizmem.

Do Kliniki Otorynolaryngologii w szpitalu przy Wołoskiej trafiłem 10 grudnia 2025 roku. Pobyt w szpitalu poprzedzony został blisko dwumiesięcznymi badaniami, w wyniku których rozpoznano złośliwego czerniaka skóry głowy, a następnie przeprowadzono wstępną operację (w trybie ambulatoryjnym w ramach tzw. pobytu jednodniowego), polegającą na wycięciu najbardziej dotkniętego chorobą fragmentu skóry. Zrezygnowano tym samym z przeprowadzenia biopsji, skracając czas pozostający do drugiej – przeprowadzonej już pod pełną narkozą – operacji. Najdłużej czekałem na wynik badania histopatologicznego (około 5 tygodni). Jedyńą możliwością skrócenia czasu opisywanego etapu leczenia byłoby przyspieszenie tego badania. Po kilku dniach od uzyskania jego wyniku znalazłem się w szpitalu, operację przeprowadzono dzień później. Wskutek komplikacji spowodowanych skutkami przeprowadzonej 12 lat temu radioterapii, dalsze leczenie wymagało przeniesienia na Oddział Urologii, gdzie następnego dnia przeprowadzono tzw. elektrokoagulację, w wyniku której zlikwidowano przyczynę choroby i po kolejnych dwóch dniach zostałem wypisany do domu; w międzyczasie korzystałem także z koniecznych zabiegów na Oddziale Otorynolaryngologii. Od chwili rozpoznania choroby do wyjścia ze szpitala upłynęły dwa miesiące, w czasie których przeszedłem niezbędne badania, trzy zabiegi operacyjne, w tym dwa pod pełną narkozą, trzy razy przetaczano mi krew, zaprogramowano też (wstępnie) dalsze leczenie. Założono mi tzw. kartę DILO (diagnostyka i leczenie onkologiczne – szybka ścieżka). Leczenie chorób onkologicznych i kardiologicznych uznano – w skali ogólnopolskiej – za priorytetowe, co odczułem na własnym przykładzie. Według najnowszych danych w Polsce diagnozuje się rocznie blisko 193 tysięcy nowotworów złośliwych. Choroby onkologiczne są drugą przyczyną zgonów w Polsce, ustępując tylko kardiologicznym. Priorytety wytypowano więc właściwie.

Opisuję całą procedurę, by pokazać, że w organizacji pracy w obu klinikach, w tym w dostępności personelu medycznego, nie tkwią większe rezerwy. Nie mam żadnych, najmniejszych nawet uwag krytycznych do pracy lekarzy, pielęgniarek i personelu pomocniczego w obu oddziałach szpitala; ich kwalifikacje, sposób podejmowania decyzji, relacje z pacjentami z jednej, a organizacja pracy – z drugiej strony, wymagają uznania i docenienia. Biorąc pod uwagę charakter choroby i wymagania związane z procesem leczenia, nie da się skrócić czasu pobytu w szpitalu. I tak większość pacjentów uważa, że jest on zbyt krótki (często to trzy dni). Po wyjściu ze szpitala przeszedłem cykl badań mających na celu stwierdzenie charakteru i skali zagrożeń związanych z rozprzestrzenianiem się choroby (przerzuty częste i szybkie w przypadku czerniaka). Przez miesiąc dzielący operację od zakończenia procesu gojenia rozległych ran głowy i przeszczepianych fragmentów skóry korzystałem ze stałej kontroli procesu leczenia (gojenia) oraz opieki pielęgniarskiej w szpitalu.

Po badaniach histopatologicznych zoperowanych fragmentów oraz po tomografii różnych części ciała konsylium lekarskie zdecydowało o wzmocnieniu procesu leczenia (chirurgia nie miała już nic do roboty, wycięto wszystko, co się dało) radioterapią.

Zmiana charakteru zadań placówek medycznych (coraz więcej pacjentów starszych i coraz bardziej chorych oraz zmiany w strukturze zachorowań), a także poprawy jakości ich pracy wymaga stałego zwiększania środków NFZ, a to oznacza albo podnoszenie składki (dziś w większości to 9 proc. od dochodów osobistych brutto) lub dotowanie z dziurawego budżetu. W 1998 roku rząd Jerzego Buzka (Akcja Wyborcza Solidarność) przeprowadził cztery kluczowe dla gospodarki kraju, choć różnie oceniane reformy, w tym reformę systemu ubezpieczeń zdrowotnych. Wysokość składki określono wówczas na 7,5 proc. Utworzono regionalne (odpowiadające strukturze województw) Kasy Chorych, realizując inny z postulatów usprawniających – decentralizację państwa. Nim Kasy okrzyęły – rząd SLD-PSL (Leszka Millera) scentralizował cały system, wprowadzając w miejsce Kas Chorych tzw. Narodowy Fundusz Zdrowia. Złym duchem tego pomysłu był ówczesny minister zdrowia Mariusz Łapiński, który uzasadniał zmianę sprawniejszym – z pozoru – zarządzaniem (jednym zarządza się łatwiej niż szesnastoma, tak twierdził). Fundusz zwiększał możliwości wpływu centralnej administracji na funkcjonowanie systemu poprzez sterowanie środkami i o to chyba Łapińskiemu chodziło. Wyszło, jak zwykle inaczej, lecz mimo krytyki płynącej z różnych przesłanek (lepsze dostosowanie Kas do specyfiki danego regionu, konkurencyjność Kas itd.) i różnych środowisk, NFZ utrzymano do dziś. Nie zrezygnowano z niego, gdyż nie ma pewności, czy przywrócenie Kas Chorych (decentralizacja) usprawniłoby pracę placówek, raczej spowodowałoby bałagan w wyniku podejmowania decyzji *od ściany do ściany*, a innego systemu nie udało się wymyślić kilku kolejnym rządów różnej politycznej proweniencji.

Od początku istnienia NFZ jest deficytowy. Zarządzający systemem ochrony zdrowia stają w każdym roku przed dylematem: czy przyjąć do wiadomości, że wykonane zabiegi wynikają z potrzeby ratowania zdrowia, czasem życia (a więc dać placówkom tyle kasy, ile postulują), czy też odmówić ich wykonania z braku środków. Nikt z decydentów nie odważył się i nie zdecydował na odmowę, akceptowano stan faktyczny, płacąc za zabiegi już wykonane, choć pojawiają się wątpliwości, czy wszystkie przypadki były należycie uzasadnione. W tle – jak zwykle – kryje się częste u finansistów podejrzenie, że nie chodzi o dobro pacjenta, lecz o własną kasę. W każdym roku (a minęło tych lat już ponad dwadzieścia) dosypuje się pieniędzy albo podnosząc składkę, albo finansując niedobór z budżetu. Od tamtej pory sporo miejsca w debacie publicznej zajmuje kwestia: zwiększyć czy zmniejszyć składkę zdrowotną. Okazuje się bowiem, że za sprawą nie tylko systemu finansowania ochrony zdrowia, lecz także z innych powodów, tzw. pozapłacowe koszty pracy są dla wielu pracodawców trudne do udźwignięcia.

Szczególnie szkodliwą wydaje się zasada podnoszenia tzw. płacy minimalnej (o co zawzięcie walczą związki zawodowe), bo jej stałe i częste zwiększanie oznacza wzrost pozapłacowych kosztów pracy. Już dziś wynosi ona 4806 zł brutto miesięcznie, a najniższa stawka godzinowa to 31,40 zł (dniówka to zatem ponad 250 zł). Obrazowo – zwiększenie wynagrodzenia pracownika o 100 zł oznacza, że pracodawca zapłaci blisko 200 zł, bo do płacy dochodzą rozliczne pochodne, a pracownik otrzyma niewiele ponad 50 zł, bo jego pensję obciążają dodatkowe koszty. Dziw-

nym trafem na ogół dyskutuje się kwestię składki zdrowotnej, jak gdyby inne składniki tej układanki nie budziły wątpliwości. Najgorzej wychodzą na tym mali przedsiębiorcy, dla których koszty pozapłaćcowe przekraczają ich możliwości, a przerzucac tych kosztów na odbiorcę/klienta w nieskończoność się nie da (wymogi konkurencyjności).

Zaledwie kilka miesięcy temu sejmowe mikrofony rozgrzewała dyskusja na temat obniżenia składki zdrowotnej dla prowadzących własną działalność gospodarczą, zakończona niczym z powodu weta prezydenta. Minister finansów doraźnie wygrzebał coś z budżetu, ale sytuacja niedoboru pieniędzy powtarza się z roku na rok i zapewne powtórzy w 2026 roku i w latach następnych. Łatanina pomaga na krótką metę, trzeba więc szukać skutecznego rozwiązania długofalowego. Szacuje się, że w 2026 r. zabraknie z NFZ około dwudziestu-trzydziestu miliardów złotych. Sęk w tym, że problemu nie da się rozwiązać, poruszając się tylko po obszarze organizacji i finansowania służby zdrowia, bo koszty jej funkcjonowania zależą bardziej od czynników leżących poza tą sferą. Można to zrobić tylko poprzez całościowe spojrzenie na ogół usług społecznych. Koszty ochrony zdrowia obywateli rosną i będą rosnać, choćby z powodu powiększania liczby ludzi starych, a więc z gruntu narażonych na choroby i zwiększających obciążenie systemu, ale także z powodu nowych (droższych) rozwiązań diagnostycznych i leczniczych (w moim przypadku poza zabiegami operacyjnymi i badaniami histopatologicznymi były to m.in. tomografia komputerowa i tzw. PET CT – badanie źródeł raka w całym organizmie). Choć to brzmi jak mega truizm, finanse państwa, a w tym koszty ochrony zdrowia i opieki społecznej, wymagają kompleksowego spojrzenia. Drugiego Grabskiego (autora skutecznej reformy finansów państwa z 1924 roku) nie widać jednak na horyzoncie, a spoglądanie na sprawę segmentowo nie zapewni względnie trwałego rozwiązania problemu.

Szpital MSWiA przy ul. Wołoskiej w Warszawie jest jednym z 888 szpitali stacjonarnych w Polsce, należąc do największych kompleksów leczniczych w kraju. Ma – obok szpitala wojskowego przy Szaserów - opinię najlepiej wyposażonego ośrodka w kraju; nie dysponuję jednak żadnymi danymi potwierdzającymi lub negującymi tę opinię. Składa się z 26 klinik i oddziałów + SOR oraz 36 poradni. Posiada 1000 łóżek szpitalnych na ogólną liczbę 160 tysięcy łóżek we wszystkich szpitalach w kraju (jest większy 5,5 raza od szpitala przeciętnej wielkości). Zajmuje ogromny teren między ulicami Wołoską i Miłobędzką, na którym mieszczą się budynki oznaczone literami alfabetu od A do U. Trzykrotnie przebyłem blisko kilometrowy dystans między budynkami K (klinika otolaryngologii) i PG (klinika urologii) wieziony korytarzami podziemnymi przez pracownice Otorynolaryngologii. Od kilku lat kompleks kilkunastu budynków znajduje się w fazie remontów i modernizacji ze wszystkimi tego konsekwencjami dla pracowników Szpitala i pacjentów; po ich zakończeniu będzie z pewnością jednym z najbardziej nowoczesnych placówek leczenia stacjonarnego w kraju, choć dziś remonty dają się poważnie we znaki i personelowi, i pacjentom. W 2024 roku pracownicy medyczni Szpitala udzielili ponad 483 tysiące porad specjalistycznych i wykonali 32 109 zabiegów operacyjnych, w tym 12 694 w znieczuleniu ogólnym. Liczba ta zapewne zwiększyła się w roku ubiegłym. Dwie z tych operacji to ja.

Czas pobytu w szpitalu (niezależnie od oddziału) skracany jest do minimum. Coraz częściej są to pobyty jednodniowe.

Oba oddziały różnią się od siebie, mam zbyt małą wiedzę, by je w miarę precyzyjnie opisać. Otorynolaryngologia to stosunkowo niewielki oddział, dysponujący 17 miejscami szpitalnymi. Łatwiej tu o zachowanie bardziej bezpośrednich relacji między personelem i pacjentami. Obie strony tych relacji znają swoje personalia, charakter schorzeń, stosowane metody leczenia. Nie ma większych ograniczeń w odwiedzaniu pacjentów. Po kilku dniach szpitalnego pobytu zapamiętałem nazwiska, rozpoznaję wygląd zewnętrzny personelu, czas i miejsce możliwych kontaktów. Korzystam więc z okazji, by podziękować za skuteczne leczenie, opiekę i sympatyczne relacje doktorom: Adamowi Gałgźce, Władysławowi Rozwadowskiemu, Katarzynie Biardzie, Laurze Ziuzi-Januszewskiej, przemiłej pielęgniarce p. Marzenie, pani salowej, która z poświęceniem przewoziła mnie kilkakrotnie na urologię, by ulżyć mi w cierpieniach i Wszystkim Pozostałym, których wymienić nie sposób.

Urologia ma prawie dwa razy tyle łóżek (32), ale liczba ubiegających się o poradę jest znacznie większa. Oddział jest wyraźnie oddzielony od części, w której pacjenci oczekują na przyjęcie. Odzywają się więc głosy narzekających na zbyt długi czas oczekiwania. Nie da się go skrócić: popyt znacznie przekracza podaż. Wydaje się wręcz, że czas pracy wykorzystywany jest tam do maksimum: nie ma żadnych pogawędek personelu czy dłuższych rozmów z pacjentami, choć ci ostatni mają naturalną skłonność, by pogadać o swoich dolegliwościach. Czasem odnosiłem wrażenie, że pracownicy eliminują wszystkie czynności „pozamerytoryczne”. Godzin wizyt przestrzega się dość rygorystycznie. Personel jest znacznie liczniejszy, nie udało mi się zapamiętać nazwisk lekarzy i pielęgniarek, którzy się mną zajmowali; wymienię tylko dra Michała Sulewskiego oraz pielęgniarki p. Kingę i p. Olę, na których ręce składałam serdecznie podziękowania dla Wszystkich Pracowników tego oddziału.

Co warto odnotować: znacznie poprawił się bezpośredni stosunek personelu do pacjentów. Ci przestali być intruzami, co zwłaszcza przed laty dawało się dotkliwie odczuć (starsi, jak ja, to pamiętają).

Warunki pobytu w obu oddziałach szpitala są dobre. Pokoje dwu- i trzyosobowe, każdy ma własny węzeł sanitarny. Zapewne tak dobrych warunków nie zapewniają wszystkie szpitale w kraju, ale poprawa jakości usług jest wyraźnie widoczna. Znacznie lepsze jest też jedzenie w porównaniu z tym, które serwowano przed kilkoma czy kilkunastoma laty. Wyżywienie jest bezpłatne; można ewentualnie szukać obniżki kosztów przez wprowadzenie ryczałtowej odpłatności za posiłki, choć wiem, że w przeszłości i to budziło obawy decydentów. Dziwne, bo przecież jedzenie w domu też kosztuje.

Wydaje się, że poprawa jakości usług ze strony szpitala przy Wołoskiej stopniowo następuje i że osiągnięto tu pewien postęp. Wydaje się także, że dla poprawy wzajemnych relacji potrzebna jest również zmiana oczekiwań i wymagań pacjentów. W warunkach stale rosnących potrzeb i rosnącego umasowienia usług medycznych model oparty na bliskich relacjach wzajemnych pacjenta i personelu medycznego należy do przeszłości. Być może sporo namieszało tu nazewnictwo – wprowadzenie pojęcia „lekarza rodzinnego”, które sugeruje bliskie (niemal „domowe”) relacje lekarza z pacjentem. Tymczasem świadczenie masowych usług medycznych (a ta-

kie one od dawna już są i będą masowe w jeszcze większej skali) bardziej przypomina „taśmę produkcyjną”, podczas której należy skoncentrować się na efekcie finalnym (skutecznym wyleczeniu) osiągniętym w możliwie najkrótszym czasie i przy użyciu optymalnych środków. Mówiąc trochę brutalnie, efektywna „obróbka” pacjenta ma być zakończona jak najszybciej i po kosztach niezbędnie koniecznych. Najlepiej widać to w przebiegu codziennych obchodów na Urologii: z karty pacjenta odczytywane są jego „parametry”, każdy z lekarzy podaje jednozdaniową informację o przebiegu leczenia i stanie zdrowia, a „szef” podejmuje finalną decyzję, co w sumie trwa kilka minut. Jeśli pacjenci oczekują, że w tym procesie ich indywidualne ego będzie przedmiotem szczególnego zainteresowania i troski personelu – są w błędzie. Już nie jest i nie będzie tym bardziej. Zrozumienie masowego charakteru leczenia wymaga więc zmiany podejścia także ze strony pacjentów. By nie przeżywać wzajemnych rozczarowań, pacjenci muszą zaufać lekarzom (pielęgniarkom), że znają swój fach i chcą wykonywać go jak najrzetelniej oraz że muszą optymalizować wykorzystanie czasu pracy. Muszą pogodzić się z tym, że należy respektować ich zalecenia i nie próbować wdawać się z nimi w zbędne dyskusje. I nie kombinować, co poprawić, kogo by jeszcze zapytać, co zmodyfikować (od kilku wieków za sprawą Stańczyka wiemy, że domorosłych lekarzy nie brakuje), a może poszukać protekcji. Te „ruchy Browna” odbijają się negatywnie na przebiegu leczenia.

NFZ utrzymuje się ze składki płaconej przez większość Polaków w ZUS – z tego tytułu wpływa 154,5 mld zł – to ponad 97,3 proc. ogółu środków na ten cel. Z drugiego – pozornie największego źródła, jakim mógłby być KRUS, do NFZ wpływa 4,2 mld zł. To nie pomyłka. Na wsi mieszka około 15–15,3 mln ludzi, co stanowi 40–41 proc. ogółu ludności w kraju. W rolnictwie łącznie z leśnictwem i rybołówstwem pracuje 1,22–1,33 mln osób około 8–9 proc. ogółu zatrudnionych (to znacznie więcej niż w innych krajach UE – tam to niespełna 3 proc. ogółu); składki płacone przez tę grupę wynoszą ok. 3 proc. budżetu NFZ. Najczęściej jest to 1 zł za każdy hektar użytków rolnych. Prowadzący działy specjalne produkcji rolnej płacą (lub powinni płacić) 9-procentowa od zadeklarowanej podstawy wymiaru, która podlega waloryzacji (w 2025 r. było to 420 zł). Jaka jest rzeczywista podstawa wymiaru – tego nikt nie wie. Domownicy i pomocnicy rolnika płacą stałą kwotę – to 257 zł miesięcznie. To sporo mniej niż 9 proc. składka naliczana nawet od najniższej płacy, ta wynosiłaby 382,78 zł. Przyczyn uprzywilejowania rolników nie znamy (inne uprzywilejowane grupy, które też płacą niższą składkę, w tym m.in. duchowni, doktoranci i żona prezydenta, to wielkości śladowe), ale objęcie blisko 10 proc. ludności składką dziewięcioprocentową tylko od mediany wynagrodzeń w gospodarce (w lipcu 2025 r. = 7246 zł) zwiększałoby składkę do 652 zł. Sytuacji dochodowej rolników i ich rodzin nie sposób rozwikłać; wymagałaby ona odrębnego i bardzo wnikliwego opisanie. Nikt tego drażliwego tematu nie podnosi. Nikt też nie wie, jakie są rzeczywiste dochody rolników i innych mieszkańców wsi. Jakie podatki i składki naprawdę płacą? Nie chodzi o samą wysokość składki zdrowotnej, ta powinna być skalkulowana nie tylko w zależności od dochodów rolnika, lecz także w proporcji do kosztów leczenia. Z materiałów firm ubezpieczeniowych wynika, że miesięczna wysokość składki na ubezpieczenie wypadkowe, chorobowe i macierzyńskie rolników wynosi 78 zł, co daje kwartalnie kwotę 234 zł,

a rocznie 936 zł. O ile składka na ubezpieczenie emerytalno-rentowe rośnie w zależności od wielkości posiadanego gospodarstwa i waha się od 507 zł kwartalnie dla *matorolnych* (gospodarstw do 50 ha!) do 2 334 zł dla wielkotowarowych (do 300 ha), to składka zdrowotna jest wielkością stałą (od głowy, a nie od wielkości gospodarstwa, pośrednio dochodów). Zakłóca to składkową logikę, bo w ZUS płaci się 9 proc. od dochodów z tytułu składki zdrowotnej. Czy i w jakim stopniu do dochodów rolników wlicza się dotacje z UE wypłacane z tytułu zaniechania produkcji rolnej? Czy i w jakim stopniu dotyczy to rodzin (domowników)? Nie chcę dociekać głębiej (nie mam takich danych ani kompetencji), ale nawet najmniejsze dziecko wie, że znaczna część dochodów mieszkańców wsi pochodzi z dochodów nieopodatkowanych. Gdyby ktoś na wsi zapytał o podatki płacone za prace budowlano-remontowe wykonywane przecież masowo, w tym także za usługi budowlane, malarskie, hydrauliczne, mechaniczne, inne sąsiedzkie przysługi itp., a nawet za budowanie domów przez podhalańskich górali, to pytany popukałby się palcem w czoło. Nikt od tych usług podatków nie płaci. Jeśli mieszkańcy wsi to około 40 proc., rolnicy to 8–9 proc., a wkład rolnictwa do PKB to ca 2,5 proc., to w tych wielkościach kryją się rezerwy podatkowe, których wielkość i sens wykraczają poza ramy tego artykułu. Jeśli jednak gdzieś szukać dodatkowych źródeł finansowania NFZ, bo bez takich poszukiwań zapewne się nie obejdzie, to właśnie tam. Czy strach paralizujący rządzących przed kolejnymi blokadami rolniczymi, przed tzw. gniewem ludu, ubezwłasnowolni kolejne ekipy rządzących?

Ale zasadnicze pytanie na nieodległą już przyszłość brzmi: czy uda się w dłuższej perspektywie i bez strat utrzymać system powszechnej i bezpłatnej opieki zdrowotnej w spodziewanych okolicznościach demograficznych i przy stałej modernizacji usług medycznych, o czym wyżej? Na rozsądek polityków specjalnie nie liczę, dla nich najważniejsze są najbliższe wybory i uzyskana w ich wyniku władza, pal diabli – jakim społecznym, długofalowym kosztem. Terapia szokowa jest w tej sytuacji niewskazana; skoro opór społeczny i strach polityków nie pozwolił na łagodne wydłużenie wieku emerytalnego, to trudno uwierzyć, by zyskało aprobatę wprowadzenie przynajmniej częściowych opłat za usługi medyczne. Chyba, że w rozmiarach czeskich, po 10 zł za każdą z nich. Należałoby więc raczej poszukiwać sposobów stopniowego poszerzania zakresu płatności obywateli za leczenie. Udany przykładem takiego rozwiązania (w dobrym sensie tego słowa) były usługi stomatologiczne. U progu bieżącego stulecia dyskutowano nad wprowadzeniem tzw. RUM – rejestru usług medycznych. Zabiegi objęte tym rejestrem byłyby bezpłatne – tak zakładano, pozostałe (spoza rejestru) odpłatne. Prace utknęły, jeśli dobrze pamiętam wskutek trudności z określeniem zakresu usług objętych RUM oraz trudności z kalkulacją. Skoro nie udało się wprowadzić zaprogramowanego rozwiązania, życie starało się wypełnić powstałą lukę.

Około 50 procent Polaków korzysta z dodatkowych ubezpieczeń zdrowotnych. Dotyczą głównie dostępu do lekarzy specjalistów czy badań specjalistycznych; szpitale w większości pozostają w sferze publicznej opieki zdrowotnej, choć powoli rośnie liczba placówek szpitalnych prowadzonych przez niepubliczne firmy, jak Luxmed, Medicover czy Da-

mian. Luxmed rozpoczął tę działalność najwcześniej (bodaj w 1992–93 roku) i rozbudował sieć placówek na skalę ogólnopolską. Korzystanie z nich jest zawsze usługą dodatkową, do ubezpieczeniem. Leczenie szpitalne, zabiegi operacyjne itp. z natury rzeczy bardziej kosztowne odbywają się w większości w placówkach publicznych i obciążają NFZ, co jest czasem przedmiotem krytyki. Istnienie „drugiego nurtu” odciąża jednak radykalnie system opieki publicznej. Część tzw. opłat abonamentowych (nie mam danych, jak duża to część) pokrywają pracodawcy, są to raczej firmy zlokalizowane w większych miastach. Ci, którzy nie korzystają ze szczodroblewości pracodawców, wykupują abonamenty z własnych środków. Lepszy pakiet kosztuje więcej (np. w Luxmed jest to tzw. pakiet premium). Druga połowa Polaków leczy się wyłącznie w zakładach publicznych w ramach obowiązkowej składki zdrowotnej, są to w większości osoby o niższych dochodach z różnych grup wiekowych, zawodowych i społecznych. W przeszłości rozlegały się głosy o włączeniu placówek niepublicznych do systemu. „Radykałowie” proponowali, by to pacjenci wybierali ubezpieczyciela, czy to państwowego (z sieci finansowanej przez NFZ), czy niepublicznego (do niego kierowana byłaby wtedy składka zdrowotna), ale to chyba nierealne. W sprawie przepływów pacjentów między obu formami panuje znaczny galimatias, którego mean-dry czasem trudno zrozumieć. Spróbuję to opisać na własnym przykładzie.

Z dodatkowego ubezpieczenia w Luxmed korzystam od 1994 r. BRE Bank, w którym wówczas pracowałem, był bodaj pierwszą większą firmą w Polsce, która wykupiła pakiet tych dodatkowych świadczeń. Choć od początku korzystam w Luxmed z opieki tego samego lekarza – internisty, nie może być on (nie znam przyczyn, dla których tak się dzieje) moim lekarzem rodzinnym, który odgrywa ważną rolę w procesie leczenia każdego pacjenta. Mój lekarz rodzinny pracuje więc w placówkach Medycyny Rodzinnej uruchomionej też w ramach Luxmed. Rzadko korzystam z jego usług. Jest to jednak konieczne, gdy muszę skorzystać z placówek publicznych i zostać tam skierowany, przede wszystkim do szpitali (takie większe, wymagające leczenia szpitalnego przypadki przydarzyły mi się w ciągu życia czterokrotnie). Nie potrafię rozgryźć, dlaczego jeden może, a drugi nie. Do niedawna (to ponoć zmieniło się, na szczęście) lekarz Luxmed nie mógł wystawić mi recept na bezpłatne leki, do których z racji wieku jestem uprawniony. Ale ten z Medycyny Rodzinnej mógł.

Nowotwór skóry wykryto u mnie w placówce Luxmedu. Musiałem jednak uzyskać skierowanie na dalsze leczenie (z góry przewidywano, że będzie wymagało ono rozległej operacji) od lekarza rodzinnego, który nie jest specjalistą z tej dziedziny. To od niego musiałem uzyskać skierowanie do szpitala MSWiA przy ul. Wołoskiej, gdzie leczenie odbyło się sprawnie i bez żadnych przeszkód, co opisałem. Po jego zakończeniu konsylium, które deliberowało nad moją przyszłością, zawyrokowało: chirurgia skończyła swoją pracę, dalsze leczenie wymaga wspomagania radioterapią. Podczas konsultacji specjalistka od radioterapii – dr Anna Słoniewska, która notabene przed 12 laty usunęła mi skutecznie (wciąż żyję) raka prostaty – uznała, że opracowanie planu tych zabiegów wymaga poprzedzenia ich badaniem scyntygraficznym, tzw. PET. Skierowano mnie zatem do wyspecjalizowanego niepublicznego zakładu Nucleomed w Międzyzlesiu, gdzie po trzech dniach (sic!) uzyskałem skierowanie na to badanie, które odbyłem po kolejnych pięciu dniach, a więc w tempie błyskawicznym. Oczekiwanie na wynik zapowiedziano na 10 dni.

Ale wynik przyszedł mailem już po 5 dniach. Cała procedura odbyła się błyskawicznie, a sprawności organizacyjnej i profesjonalizmu pracowników Nucleomedu nie sposób podważyć. Niemalże przecież koszty badania pokrył NFZ. Wyrzutów sumienia jednak nie mam, bo przez lata płaciłem obowiązkową składkę zdrowotną, a z usług służby publicznej korzystałem sporadycznie, mając pakiet Luxmed.

Intuicyjnie czuję, że w rozwinięciu i usprawnieniu procedur współpracy między placówkami NFZ a siecią placówek niepublicznych istnieją spore możliwości przyspieszenia i poprawy jakości leczenia, uczynienia go bardziej efektywnym i mniej kosztownym. Obawiam się jednak, by – usprawniając – nie ugrzęznąć w gąszczu przepisów, procedur i wymagań, mających swoje źródło czasem z dala od medycyny. Moją generalnie pozytywną ocenę przebiegu leczenia maci nadmiar zupełnie obojętnych dla pacjenta „papierkowych” procedur. Operacje usunięcia czerniaka oraz interwencja urologiczna wymagały trzykrotnego złożenia wielopunktowych oświadczeń o stanie mojego zdrowia, przebytych chorobach i zdolności do przyjęcia narkozy. Odniosłem wrażenie, że ich celem było zwolnienie z odpowiedzialności (uzyskanie „usprawiedliwienia”) na wypadek nieprzewidywalnych komplikacji w leczeniu. W sumie trzykrotnie wypełniałem podobną ankietę i złożyłem trzydzieści (tak!!) czytelnych podpisów. Druga otchłań biurokracji to przepisy związane z RODO. Można byłoby pewne nadzieje wiązać z wprowadzaniem danych do systemu, z których korzystają różne placówki, a przynajmniej te, które wchodzi w skład tej samej struktury, jak kliniki szpitala przy Wołoskiej. Nie wiem jednak, czy mając przed oczyma częste zawieszanie się systemu, kłopoty z transmisją danych etc. nadzieje takie są choć trochę uzasadnione. Czasem, obserwując pracę lekarzy, podejrzewam, że borykanie się z technikami cyfrowymi zajmuje im zbyt wiele czasu.

Pora na finał. Po otrzymaniu dobrego wyniku badania PET odstąpił (czasowo) od radioterapii, obejmując mnie procesem stałej, okresowej kontroli (badania tomograficzne, najbliższe za 3 miesiące) i uzależniając dalsze leczenie od ich wyniku. Otrzymałem koncesję na kolejny etap życia. Bardzo Wszystkim Moim Opiekunom za to dziękuję.

Nie podzielałm dość powszechnych utyskiwań na funkcjonowanie placówek medycznych. We wszystkich, z których usług korzystałem, personel medyczny pracował sprawnie i skutecznie. Zaordynowane leczenie i jego przebieg doprowadziły do pozytywnych rezultatów. Poprawił się dostęp do nowoczesnych metod diagnostycznych (m.in. stosowanych w UE) i technicznych. Poprawiła się bardzo kultura obsługi. Przyszłość usług medycznych zależy jednak od czynników zewnętrznych, m.in. od tego jak poradzimy sobie ze skutkami depresji demograficznej. To, co nas czeka i co bez wątplenia zaostrzy spór, to odwlekana odpowiedź na pytanie: jak długo uda się utrzymać obowiązujący model usług medycznych i jak bezboleśnie pogodzić się z odejściem od pielęgowanego przez lata ideologicznego złudzenia o bezpłatnej służbie zdrowia. W tej kwestii stopniowe obejmowanie coraz większych grup systemem do ubezpieczeń (w tym poszerzanie pozapłacowych składników wynagrodzeń przez zakłady pracy) wydaje się skuteczniejszą drogą niż kolejna terapia szokowa. ■

My, z prowincji?



Andrzej MAŁKIEWICZ

Piszę ten tekst we Wrocławiu, który wcale nie jest miastem prowincjonalnym. Był w 2016 r. Europejską Stolicą Kultury, a tytuł ten zawdzięczał licznym instytucjom działającym na miarę europejską – że wymienię tylko Operę, Narodowe Forum Muzyki, Akademię Sztuk Pięknych.

Piszę w Polsce – która nie jest prowincją Europy. Jest dziś jednym z najlepiej rozwijających się krajów, a w przeszłości dała światu takich ludzi jak Mikołaj Kopernik, Fryderyk Chopin, a ostatnio Olga Tokarczuk.

Piszę jako Europejczyk, mieszkaniec kontynentu, z którego byli Arystoteles, Beethoven, Einstein – i wielu, wielu innych, którzy zbudowali najlepszą w świecie naukę, kulturę, a przede wszystkim – wysiłkiem licznych przedsiębiorców, wynalazców, techników i robotników – zbudowali najlepszą w świecie gospodarkę.

Piszę to wszystko w czasie przeszłym. Bo przeszłość Wrocławia, Polski, Europy jest wspaniała, ale jej piękny obraz, jaki pielęgnujemy w sercu, jest mylący – to wszystko już historia. Najlepsza w świecie nauka, kultura, gospodarka – były, ale nigdy. Dziś świat jest inny.

Sukcesy Europejczyków miały źródła złożone, do najważniejszych należała umiejętność zapożyczania z innych kontynentów tego, co miały wartościowe. Uprawę zbóż – z Bliskiego Wschodu, być może z terenu dzisiejszej Turcji. Użycie koni – z Centralnej Azji. Nie wiadomo, czy prawdą jest – jak głosi grecka tradycja – że Platon i inni antyczni filozofowie zaczerpnęli wiedzę od kapłanów egipskich, ale nie ulega wątpliwości, że alfabet wymyślili Fenicjanie na obszarze dzisiejszego Libanu, od nich zapożyczyli go Grecy. Chrześcijaństwo zrodziło się w Palestynie. Cyfry, błędnie nazywane arabskimi, pochodzą z Indii. Od Chińczyków, za pośrednictwem arabskim, nauczono się produkowania i używania papieru. Z Afryki jest kawa, od amerykańskich Indian – ziemniaki, czekolada. To tylko kilka przykładów spośród niezliczonych wynalazków oraz idei, które nasi przodkowie skopiowali (nie płacąc za prawa autorskie!), udoskonalili i zintegrowali w jednolitą kulturę. Jej odgałęzieniem stała się kultura amerykańska – łącznie niekiedy określane jako cywilizacja zachodnia.

Europejczycy mieli też własne wynalazki. Przed maszyną parową najważniejszym samodzielnym dorobkiem była broń palna. Wprawdzie proch wymyślono już wcześniej w Chinach, ale używano go głównie do zabawy – do fajerwerków. Dopiero w Europie odkryto, jak efektywny może być w zabijaniu. Dzięki muszkietom i armatom Europejczycy podporządkowali sobie świat. Opowieści o rzekomej wyższości cywilizacyjnej państw naszego kontynentu to bajki, maskujące gołą przemoc, poprzez którą zbudowano imperia kolonialne, niszcząc przy okazji lokalne kultury, niektóre po części, inne – jak Majów i Azteków – niemal zupełnie. Co prawda, nie decydowa-

ła sama broń: używano też przekupstwa i forteli, a za konkwistadorami postępowali misjonarze, którzy chrzcili tych *tubylców*, co przypadkiem przeżyli najazd. Ale kluczowe znaczenie miała siła zbrojna, w której stosowaniu Europejczycy okazali się najskuteczniejsi.

Dzięki niej w XIX w. rządził światem koncert mocarstw – oczywiście europejskich. W Berlinie, Londynie, Moskwie i Paryżu, a raczej w rokowaniach pomiędzy tamtejszymi władcami, zapadały decyzje o losach całego globu. Generała Alfreda von Waldersee nazywano „feldmarszałkiem świata” – nieformalnie, ale realnie, gdy na przełomie XIX i XX w. dowodził połączonymi siłami europejskich interwentów w Azji.

W XX w. sytuacja nieco się zmieniła. Filozofowie, tacy jak Edmund Husserl, wielokrotnie zwracali uwagę na kryzys cywilizacji europejskiej, zahamowanie jej rozwoju. Pewnie długo jeszcze trwać będą spory o przyczyny tego regresu. Być może decydujące było, że zbrojną przemoc, tak skuteczną wobec *obcych*, z coraz większym zapalem zastosowano też wobec innych Europejczyków. Dwie wojny, zwane światowymi, w XX w. wyniszczyły Europę. Wojskowi i politycy naszego kontynentu używali coraz skuteczniejszych narzędzi zabijania – czołgów, samolotów, rakiet, gazów bojowych, które jeszcze bardziej efektywne okazały się użyte w komorach gazowych. Broń nuklearną zbudowano wprawdzie w Stanach Zjednoczonych, ale to przecież odgałęzienie Europy, a ważną rolę odegrali przy jej projektowaniu emigranci z naszego kontynentu. To w Europie wymyślono obozy koncentracyjne (jeden z samodzielnych wynalazków Europejczyków).

W minionych wiekach, walcząc pomiędzy sobą, doskonalono broń i umiejętności, co pozwoliło naszym przodkom podporządkować sobie świat. W XX w. europejska „wojna domowa” stała się tak zaciekle, że uczestnikom odebrała siły. Dziś wschodnią część dewastuje agresja Rosji przeciw Ukrainie – prowadzona z pomocą państw takich jak Chiny, Indie, Iran.

Świat ulega globalizacji. Beneficjentami nie są Amerykanie – jak uparcie powtarzają nieznający świata komentatorzy z naszego kontynentu, nieumiejący wyjść poza tradycje myślenia w schematach *zachodnich* – ale Chiny, Indie, kraje arabskie, zdobywające przewagę konkurencyjną nie dzięki przemocy, ale poprzez wykorzystanie słabości i nieracjonalności Zachodu. Oraz dzięki inwestowaniu w zakresy, które my zlekceważyliśmy. Podam tylko jeden przykład: koreańska uczelnia Gachon Cocone School kształci w zakresie innowacyjności, zakładania startupów, nie rozdrabnia wiedzy na „ekonomię”, „informatykę” etc. A uczelnie europejskie więcej uczą przeżutej papki wiedzy już istniejącej niż otwierania się na nowości.

Nastąpiła *provincializacja Europy*. Określenie to zaproponował już w 1977 r. Hans-Georg Gadamer, pisząc o „Europie sprowincjalizowanej od 1914 roku”. A Norman Davies ze smutkiem zachęcał, byśmy uświadomili sobie „jak niewielki i bezbronny jest nasz europejski dom”.

Nasz kontynent utracił dawną pozycję. Czas przestać powielać slogany o jego wspaniałości, coraz bardziej przypominające naiwne teksty o wielkości Rzeczypospolitej powtarzane przez polskich autorów na przestrzeni XVIII w. – gdy w istocie staczała się w otchłań. Jeśli to się nie zmieni,

Europa z własnej woli stanie się skansenem, mieszkańcy, dumni z minionej chwały, będą podtrzymywali tradycje coraz bardziej archaiczne, śmieszące nowoczesny świat, a turyści z Azji będą podziwiać naszych potomków tak, jak dziś Europejczycy przyglądają się wioskom Masajów – z ciekawością i współczuciem. Zamykamy się sami. W 2016 r. w Londynie nastąpiły protesty przeciw „dubaizacji” Zjednoczonego Królestwa, polegającej na wznoszeniu zbyt wspaniałych pałaców i wieżowców, niezgodnych z brytyjskimi tradycjami. Inni też coraz głośniejszy nawołują do separowania się od świata, wracania do własnych, archaicznych tradycji (czy też tego, co za takie tradycje uważają). Taki konserwatyzm oczywiście nie zdoła całkowicie zablokować modernizowania Europy, ale spowalnia ten proces. Masajscy szamani też zaczynają używać telefonów komórkowych – ale nadal uprawiają magię.

Na potoczne myślenie Europejczyków istotny wpływ wywiera sposób pisanie o historii kontynentu. Niepomni zapożyczeń, dzięki którym zbudowano europejską cywilizację, nasi historycy uprawiają europocentryzm, na ogół nieświadomy – aż do połowy XX w. tylko w niewielkim stopniu interesowały ich dzieje świata poza jedynie Europą, Ameryką i Bliskim Wschodem (ale tylko w starożytności i średniowieczu). W książkach widać ukrytą tezę, że Europa zbudowała siebie sama. Wszelkie zapożyczenia – to szczegóły, niezastługujące na uwagę, to w Europie stworzono naukę i kulturę. Nawet jeśli wspominają o pozaeuropejskich korzeniach zjawisk, które tylko przykładowo wymieniłem wcześniej, to prześlizgują się nad nimi tak, że nie dość uważny czytelnik może ich nie zauważyć.

Na dzieje reszty globu patrzą jako na ciekawostki, o których trzeba czasami wspomnieć, zwłaszcza gdy zakłócały harmonijny rozwój Europy, jak agresja Hunów na przełomie antyku i średniowiecza, bądź Mongołów w XIII w. – ale generalnie nie mają znaczenia. Owszem, były gdzieś Chiny, Indie, ludy Afryki, Arabowie, wspomniano o nich jako dostawcach porcelany, *korzeni*, jako źródle niewolniczej siły roboczej lub zagrażających nam najeźdźcach. Ale generalnie traktowano lekceważąco, jako kraje i społeczeństwa zacofane, które powinny wzorować się na Europie, prędzej czy później dogonić ją w rozwoju, wtedy dopiero zasłużą na uwagę. Uczyniła to jakoby Ameryka w czasach nowożytnych. Pomijano ten szczegół, że to nie jej rdzenni mieszkańcy zbudowali społeczeństwa „Nowego Świata”, ale europejscy przybysze; *tubylców* zabito czy zamknięto w rezerwatach. Ignorowano fakty świadczące, że to właśnie europejska przemoc zablokowała rozwój społeczeństw pozaeuropejskich, że zanim pojawili się tu „odkrywczy” z naszego kontynentu, kultura i gospodarka takich krajów jak Chiny czy Indie wcale nie ustępowała brytyjskiej czy francuskiej, ich rozwój zahamowały dopiero wojny kolonialne i kolonialna gospodarka.

Nie tylko niewiele pisano o reszcie świata, ale też mało interesowano się dorobkiem badaczy pochodzących spoza kultury europejskiej.

Zmienia się to, choć powoli. W drugiej połowie XX w. zaczęto dostrzegać kraje uwalniające się z niewoli kolonialnej, sięgać do europejskich źródeł mówiących o ich dziejach, potem odkrywano, że istnieją też źródła wygenerowane w tych krajach, jeszcze później – że mają one własnych badaczy, których dorobek być może warto znać. Dopiero w XXI w. doceniono ten dorobek, dziś spotykamy się z opiniami, że np. Dipesh Chakrabarty, pochodzący z Bengalu, należy do najwybitniejszych historyków w świecie. Ale ta opinia, niewątpliwie zasłużona, możliwa jest dzięki temu, że po różnych pe-

regrynacjach dziś pracuje w USA, od dawna publikuje po angielsku. Jaki jest dorobek badaczy publikujących po bengalsku, tego, poza Indiami, nikt nie wie.

Byli oczywiście historycy myślący szerzej. W Polsce np. Jan Kieniewicz, w USA Immanuel Wallerstein. Patrzono na takich jak oni po-błażliwie, nawet ceniono za to, że proponują alternatywne podejście do dziejów powszechnych, że motywują do dyskusji. Ale mało kto poważnie traktował ich poglądy. Potem zrodził się nurt badań określanych jako „postkolonialne” bądź „postzależnościowe” – tu już było zwolenników nieco więcej, zwłaszcza wywodzących się z innych kontynentów, jak Le-ela Gandhi. W Polsce propaguje takie myślenie zwłaszcza Ewa Domańska. Ale nadal dorobek takich badaczy nie trafia do programów szkolnych, a tym samym do powszechnej świadomości. I w Polsce, i w innych krajach kontynentu podręczniki wciąż pisane są europocentrycznie, a młodzież – przekonana, że zawierają wszystko co ważne – utrwała się w prowincjonalnej ignorancji.

Byli też artyści sięgający, na ogół dość powierzchownie, do tradycji muzyki czy sztuki plastycznych innych kontynentów. Ich dorobek doceniano, lecz niewiele zwracano uwagi na „egzotyczne” korzenie, traktując je – znowu – jako ciekawostki, warte wzmianki, ale niekoniecznie uwagi.

Przekonanie o wspaniałości Europy, której zasługi nieporównywalne są z doświadczeniami innych kontynentów, mogłem poznać na własnej skórze. W 2025 r. napisałem skromny tekst, w którym odważyłem się dokonać pewnych porównań dziejów Śląska z dziejami Indii i kilku innych krajów. Jeden z recenzentów oburzył się – nie mieściło mu się w głowie, że można tak porównywać. A jest to poważny profesor, z solidnego uniwersytetu, pominię nazwisko, bo nie chodzi o tego jednego człowieka, ale o postawę, wciąż obecną wśród wielu. Nie twierdzę, że mój tekst był znakomity – nie była to wnikliwa analiza, a tylko wskazanie problemu. Lecz okazało się, że sam pomysł, by z równą powagą traktować dzieje fragmentu Europy i fragmentu Azji, wykracza wciąż jeszcze poza zdolność pojmowania niektórych naszych intelektualistów.

Właśnie to odślania problem. „Prowincjonalizm” to w potocznym odczuciu przejaw zacofania, nieznamomości świata, partykularyzmu w myśleniu. To nieco łagodniejsza forma „zaściankowości”. I takie właśnie podejście widać w europejskim myśleniu. W mediach niewiele znajdziemy wiadomości o tym, że chiński próbnik dotarł na ciemną stronę Księżycy i prowadzi tam interesujące badania, a indyjski dotarł do Marsa. Nie znajdziemy informacji o budowaniu w Indiach potężnych centrów sztucznej inteligencji – powstają kosztem równowartości miliardów dolarów. A my korzystamy z wersji dla ubogich – z ChataGPT czy chińskiego DeepSeek. Po trochu dociera do nas wiedza o bogactwie Dubaju, ale wciąż z naiwnym komentarzem, że to rezultat wydobycia ropy naftowej – gdy w rzeczywistości kraj ten wprowadził zaczął swój znakomity rozwój od eksploatacji i sprzedaży ropy, ale dziś zawdzięcza go nowoczesnemu przemysłowi i usługom dla wielu krajów, zwłaszcza Azji, bo Europa jest za biedna, prawdziwe pieniądze zarabia się gdzie indziej.

Zaczynamy lubić sushi, kimchi i egzotyczne owoce. Do naszych decydentów dotarło już, że najlepsze są czołgi z Korei (oczywiście Południo-

wej), nawet negocjujemy ich wspólne produkowanie na koreańskiej licencji. Nowe zjawiska dostrzegają niektórzy artyści i dziennikarze o najszerszym spojrzeniu. Niektórzy uczeni, zwłaszcza z zakresu nauk ścisłych i technicznych, myślący najbardziej perspektywnie, zatrudniają się na uczelniach w Azji – np. Andrzej Dragan na uniwersytecie w Singapurze. A humaniści w większości jeszcze nie zauważyli nowego obrazu świata. I może nie wiedzą, że swe wyrafinowane teksty piszą na komputerach wyposażonych w chińskie podzespoły, a rozmawiają przez telefony produkcji koreańskiej. To właśnie nasza zaściankowość – niedostrzeganie własnego zacofania.

Towarzyszy temu przekonanie, że jesteśmy wspaniali. Przecież dowodzi tego nasza historia (pisana przez nas lub naszych poprzedników). Zdaniem Ernsta Cassirera „wiedza historyczna jest odpowiedzią na konkretne pytania, odpowiedzią, którą musi dać przeszłość, ale same pytania stawia i dyktuje terażniejszość – stawiają je i dyktują nasze aktualne zainteresowania intelektualne i nasze aktualne potrzeby moralne i społeczne”. W praktyce wybieramy z przeszłości te problemy i zdarzenia, które nas interesują i arogancko ogłaszamy, że to problemy i zdarzenia najważniejsze. Wybieramy to wszystko, co dobrze świadczy o dziejach Europy i jej wspaniałości, a omijamy, co jej przeczy. A przede wszystkim ignorujemy fakt, że to już przeszłość.

Taka zaściankowa pyszałkowatość nie jest oczywiście wyłącznie cechą Europejczyków. Wyznawcy hinduizmu ufają, że święte miasto Waranasi (Benares) stanowi centrum Wszechświata. Chińczycy długo byli przekonani, że ich kraj jest jedynym cywilizowanym – „Państwem Środka”, a cała reszta to barbarzyńcy. Dopiero klęski w XIX i XX w. wyrwały ich z samozadowolenia. O dziwo, swe zacofanie przewyciężyli nadzwyczaj skutecznie, a dziś wracają do przeświadczenia o swej wyjątkowości.

Starożytni Asyryjczycy nazywali dzisiejsze Morze Śródziemne „Morzem Zachodzącego Słońca” („Morzem Wschodzącego Słońca” była dla nich dzisiejsza Zatoka Perska). Czy dziś Słońce właśnie zachodzi nad Europą? ■

Profesor Andrzej Małkiewicz – emeryt, wcześniej pracował w Uniwersytecie Zielonogórskim. Prowadzi badania w zakresie historii, politologii, bezpieczeństwa.

Marginesy

Z alfabetu wspomnień



Janusz TERMER

Przypadek rządzi ponad połową naszych działań.

Niccolo Machiavelli

Tymi wspominkami rządzi przede wszystkim alfabet. Porządek alfabetu. Czy okaże się równie kapryśny jak tok każdej rzekomo czysto chronologicznej opowieści wspomnieniowej, w porządku której – i to w zupełnie naturalny i bezpośredni sposób – pojawiać się zaczyna coraz większy natłok zde-

rzanych ze sobą nieuchronnie, rozmaitych zdarzeń, postaci czy sytuacji, wzajem się siłą rzeczy nieustannie w ten czy inny sposób pobudzających, napędzających i dopełniających?

Abramow Jarosław (ur. 17 V 1933) – syn popularnego niegdys prozaika Igora Newerlego. Autora m.in. socrealistycznej jeszcze *Pamiętki z Celulozy*, jak i zarazem m.in. popularnych czytelniczko powieści (*Leśne morze*, *Wzgórze Błękitnego Snu* czy opowiadań *Za Opiwardą, a siódmą rzeką...*), jak i autentycznej w bolesnych realiach opowieści o dramatycznej ucieczce pisarza z porewolucyjnej Rosji lat 20. oraz o tak trudnej z wielu powodów adaptacji do rzeczywistości polskiej lat międzywojennych, co opisał w arcyciekawych wspomnieniach – *Zostało z uczyty bogów*, wydanych z wiadomych powodów politycznych dopiero w 1987 r.

Jarosław Abramow dał się szerzej poznać w latach 60. m.in. ze współpracą z teatrem STS oraz jako autor wielu popularnych sztuk scenicznych, piosenek, satyr i wspomnień (jak *Anioł na dworcu*, *Derby w pałacu*, *Maestro*). Osobiście poznaliśmy się w... Białowieży. Tak, w tej Białowieży, gdzie urodził się (w 1913 r.) i dorastał jego ojciec Igor. I gdzie w 80. rocznicę jego urodzin Zarząd Polskiego Oddziału Stowarzyszenia Kultury Europejskiej (SEC), którego byłem członkiem, zorganizował sesję wyjazdową poświęconą przypomnieniu jego tak meandrycznie przez „odmiany czasu” pogmatwanego, pełnego niezmiernie dramatycznych momentów życia i twórczości. Był na niej oczywiście jako gość specjalny – i Jarosław A. Wysłuchał, pośród kilku referatów, i mojego wystąpienia o swoim ojcu (pt. *Ważne ogniwo lewicowej tradycji literackiej*). A potem w trakcie dyskusji, jaka się wywiązała, stanął wyraźnie po mojej stronie w polemice z jednym z krakowskich przedstawicieli SPP, nowego wówczas stowarzyszenia literackiego, gdy obowiązywały były tam jeszcze wyraźnie aktualnie „modne”, mocno stereotypowe antylewicowe poglądy na twórczość powojenną i na całą tę złożoną powojenną rzeczywistość i jej reprezentantów, a niektórzy lubili się nimi wręcz demonstracyjnie popisywać publicznie, co obudziło odruchowy sprzeciw takich ludzi jak Jarosław A. Spotykaliśmy się jeszcze parokroć potem na rozmaitych imprezach literackich w Domu Literatury czy w Klubie Księgarza oraz na... Cmentarzu Powązkowskim w dniu 19 września, w dniu urodzin jego Ojca.

Afanasjew Jerzy (1932–1991) – poeta, satyryk, reżyser teatralny, filmy i TV. Mało kto go pewnie dziś jeszcze niestety pamięta, choć jego wiersze, satyry i utwory sceniczne publikowane były w słynnym tygodniku „Przekrój” w jego czasach najlepszych czy wystawiane w studenckim teatrze Bim Bom w Gdańsku (*Cyrk rodzinny Afanasjef*, *Tralabomba*) i cieszyły się sporym zainteresowaniem. Łączyły i zderzały bowiem, jak robił to jego mistrz – Konstanty Ildefons G. – nadrealistyczne widzenie rzeczywistości z czymś, co Anglicy nazywają życiowym common sensem. Poznaliśmy się z Jerzym A. w Gdańsku w słynnym klubie studenckim Czerwona Róża, nie pomnę daty dokładnej, jako jurorzy jakiegoś konkursu literackiego, poetyckiego zapewne (a było ich wtedy wiele w latach 70. XX w., bo nie wymagały większego nakładu sił i środków jak konkursy na prozę czy sztukę teatralną). Widać przypadliśmy sobie jakoś tam do gustu, bo nadal mam w swoich zbiorach kilka jego tomików wierszy, które mi podsyłał z miłymi dedykacjami...

Andrzejewski Jerzy (1909–1983) – też wiadomo kto zacz: laureat nagrody Młodych Polskiej Akademii Literatury (1939) za *Ład serca*, autor późnej z wielu powodów powieści i filmu (w reżyserii Andrzeja Wajdy) *Popiół i diament* oraz potem wielu innych „odwilżowych” już utworów, jak m.in. *Ciemności kryją ziemię*, 1957, *Bramy raj*, *Już prawie nic*, *Teraz na ciebie zagłada*, *Miazga* (Londyn 1981), wspomnień, felietonów, dzienników... Ważna to była i wpływowa postać polskiego powojennego życia literackiego. Poznałem go osobiście w latach 70. dzięki mężowi jego córki Agnieszki – Andrzejowi Słomianowskiemu, koledze z Koła Młodych ówczesnego ZLP i współpracownikowi „Nowego Wyrazu” (byłem wtedy jego red. nacz.), tłumaczowi współczesnej literatury anglo-amerykańskiej (wkrótce potem wyemigrował do Danii). Zaprosił mnie był i wpadłem z nim oto któregoś popołudnia – z ciekawości czystej, a i młodzieńczej snobistycznej zapewne też – do słynnego („kultowego”, jakby to dziś powiedzieć należało), popularnego wśród ówczesnej kulturalnej elity (i ich licznych poputczyków z tzw. szlaku: Stare Miasto, Krakowskie Przedmieście, kawiarenka PIWu i restauracja Kameralna na Foksal, kawiarenka „Czytelnika” na Wiejskiej) barku w hotelu „Bristol”, gdzie niepodzielnie królowała za barem władcza, biuściasta i postawna blondyna – pani Lodzia. Zastaliśmy tam już Jerzego A. siedzącego samotnie na wysokim barowym stołku. Był już wyraźnie w stanie wskazującym, że nie były to tego dnia jego pierwsze drinki (nazywał je „harcerzykami” – sok pomarańczowy z czystą-ojczystą), które i nam wkrótce zaserwował. Po małej prezentacji mojej skromnej osoby dokonanej przez Andrzeja oraz po wstępnej konwencjonalnej wymianie uwag na tematy aktualne, polityczne i inne ploteczki towarzysko-środowiskowe, zeszło na coraz to bardziej już dociekliwie i konkretnie formowane tematy i pytania – i to do mnie już przez niego wprost kierowane, a dotyczące... historii literatury polskiej. Ciekawiła go, pamiętam, m.in. moja znajomość literatury staropolskiej, zwłaszcza zaś opinia o Mikołaju Sępie-Szarzyńskim; wielkim jak wiadomo poecie dylematów i konieczności ludzkich wyborów moralno-egzystencjalnych, autorze prekursorskich sonetów o istocie ludzkiej jako „rozdwojonej w sobie”: „I nie miłować ciężko i miłować / Nędzna to pociecha”. Zacytowałem z pamięci, bo właśnie niedawno mieliśmy na studiach zajęcia na temat jego twórczości, ale wkrótce poczułem się jak na jakimś egzaminie polonistycznym... No bo to było rzeczywiście coś w rodzaju egzaminu, jak się potem dowiedziałem (i czego się po trochu domyślałem). A który zdałem u niego, jak to mi powiedział Andrzej S. następnego dnia w red. „N.W.”, gdy przyszedł podleczyć wczorajszego kaca redakcyjną herbatką... O kaca jego teścia pytać nie musiałem. I nie pytałem przezornie, bo miałem – i mam nadal – w pamięci ten obraz, gdy pisarz, perorując na temat twórczości własnej (rzecz jasna), swojej postawy twórczej oraz powinnościach pisarskich (pisarz jako *sumienie narodu*), osunął się w pewnym momencie, nagle i niespodziewanie, ze swego stromego barowego stołka na barową podłogę... Połały się co nieco też i niedopite „harcerzyki”... Ale pani Lodzia była na posterunku...

Dowiedziałem się jeszcze na koniec od nieocenionego Andrzeja S., że jego teść, jako były przedwojenny student polonista bez końcowego formalnego dyplomu ukończenia studiów, ma taki z tego powodu „mały kompleks”...

Auderska Halina (1904–2000) – wiedziałem o niej niewiele, ot, przedwojenna polonistka, językoznawczyni (współredaktora Słownika Języka Polskiego PWN), autorka sztuk teatralnych i telewizyjnych, a także kilku popularnych prozatorskich utworów, z których najciekawszą wydawała mi się, jako ówczesnemu prasowemu recenzentowi bieżącej produkcji literackiej, powieść *Ptasi gościniec* (1973). Samą autorkę poznałem nieco bliżej dopiero już jako prezesa Związku Literatów Polskich – właśnie po owym 1983 r., czyli po niespodziewanej śmierci Wojciecha Żukrowskiego pełniącego przed nią tę funkcję.

Tak się złożyło, że na zamówienie jednego z kolegów z warszawskiej polonistyki, już asystenta tamże, który dorabiał sobie do skromnej pensyjki uniwersyteckiej jako kierownik działu recenzji literackich w teoretycznym organie rządzącej partii „Nowe Drogi”, napisałem byłem recenzję z tej powieści dla tegoż czasopisma, chwając autorkę za istotnie daleką od politycznej agitki rzeczowość i konkretność historyczną realiów oraz psychologiczną wierność i docieklivość w opisach życia i losów swego prostego chłopskiego bohatera. Pochodzącego z dawnych wschodnich kresów byłej Rzeczypospolitej („tutejszego”, jak mówił o sobie), który w końcowych latach II wojny światowej trafił do I Armii Wojska Polskiego, z którą przebył długi szlak bojowy od Lenino w stronę Berlina, a potem osiadł na Ziemiach Zachodnich. Recenzja ta została przyjęta do publikacji i nawet wydrukowana – otrzymałem egzemplarz autorski (mam go w swoich zbiorach do dzisiaj) i nawet niewielkie należne honorarium!

Aliści (jak by powiedział niezapomniany Jerzy Waldorf), pech chciał, że ówczesny redaktor naczelny pisma tego był – przedtem czy potem, już teraz nie pomnę (bo było to ponad pół wieku temu!) – nawet ministrem kultury i sztuki (*nomina sunt odiosa*), acz kto chce, może łatwo sprawdzić, kto zacz – wrócił był właśnie z urlopu. I ponoć go aż zatrzęsło z wielkiego oburzenia! Halina Auderska u mnie! Nigdy w życiu!!! Nawiwnie wierzyłem w monolit polityczno-światopoglądowy ówczesnych elit władzy. Toteż zdziwiło mnie mocno, że nakazał on natychmiastowe skierowanie całego gotowego już numeru na przemiał i wydrukowanie nowego nakładu (nie licząc się z kosztami!), acz już bez owej „trefnej” dla niego z jakichś osobistych powodów mojej, jak mi się to wydawało, zwyczajnej i skromnej recenzyjki!

Aliści! Tu znowu zakrzyknąłby tenże Jerzy Waldorf. Na tym się nie skończyło. Ani z recenzijką, ani z redaktorem-ministrem. Oto recenzyjka ta została przedrukowana w kilku innych pismach (m.in. w „Polonistyce” i „Trybunie Ludu”), gdzie widać jego ręce już nie sięgały, a i on sam wkrótce przestał być redaktorem i ministrem (po owej słynnej scysji na dziedzińcu ministerialnym z własną żoną, która zaatakowała go publicznie damską parasolką ku niewątpliwej uciesze świadków, innych urzędników i gości zacnego Urzędu – widać miała swoje ku temu powody!).

Baranowski Krzysztof (ur. 1937) – słynny żeglarz, który jako jeden z pierwszych rodaków opłynął dwukrotnie samotnie dookoła nasz glob na jachcie Opty w latach 70. I co opisał był w książce wydawanej parokroć przez Iskry. Poznaliśmy się w redakcji jednej z codziennych gazet ówczesnych, na odbywanym raz w miesiącu tzw. nocnym dyżurze korektorskim

(kiedy znudzeni lekturą jakichś „śluszných” wstępniaków mogliśmy pogadać o innych sprawach, własnych zainteresowaniach itp., w tym i lekturowych, a czytał sporo). Imponował mi bardzo jako żeglarz – jako komuś, kto tylko z łaski zabierany czasami na pokład żaglówki typu Omega na Zalewie Zegrzyńskim jako pasażer. On w pewnym momencie pierwszego już bodaj dyżuru sięgnął na półkę z książkami nad swoim biurkiem. Wyciągnął jedną, dość niepozorną. Ale gdy ją otworzył, ukazała się – ku memu niepomiernemu zaskoczeniu – w niej ukryta niewielka piersióweczka z dwoma lilipucimi kieliszkami. Tak, w środku był alkohol (zapewne jakiś koniczek, nie pomnę), którym i mnie poczęstował... wypiliśmy po kilka łyków „za tych, co na morzu...”. Oczywiście nie był żadnym nałogowcem. Wiem, bo spotykaliśmy się potem jeszcze i w innych „okolicznościach przyrody”, m.in. na ogólnych zebraniach w ZLP, np. na posiedzeniach kilku komisji związkowych, których obaj byliśmy członkami (był wówczas taki nieformalny wymóg dla nowo przyjmowanych, bo „starzy” to sobie mogli „olewać”...). A potem bywało, że widywaliśmy się okazjonalnie, np. u jakichś wspólnych znajomych, gdy Krzysztof był już mężem popularnej i ogromnie sympatycznej tv speakerki – Bogumiły Wander... Teraz, po jej chorobie i śmierci (jesień 2025) dowiaduję się, że Krzysztof wypłynął właśnie w swój kolejny samotny rejs...

Bardach Juliusz (1914–2010) – historyk, profesor UW; współautor (wraz z prof. Bogusławem Leśnodorskim) obszernego dwutomowego dzieła *Historia państwa i prawa polskiego do XV wieku*, wydanego w 1957 r. i przeznaczonego głównie dla studentów – przyszłych prawników. Mam je jednak do dzisiaj w swojej domowej bibliotece i czasami nawet zaglądam, mimo iż czas jego powstawania odcisnął na nim swoje dość wyraźne, metodologicznie i językowo, znamię... Dziś zapewne studenci prawa mają do dyspozycji inne na ten temat dzieła. Trafiło ono do mnie już w roku 1957, po owym pierwszym wykładzie uniwersyteckim, na jakim się znalazłem jako student Wydziału Prawa UW jesienią tamtego roku. Oto gdy znalazłem się w liczonym gronie oczekujących na wykład prof. Bardacha w Audytorium Maximum pojawił się na katedrze onże niepozornie wyglądający młody człowiek, jak się okazało profesor-wykładowca i zaczął od przeproszania nas, słuchaczy pierwszego roku, za – niewielkie zresztą – spóźnienie, którego powodem była mała, jak powiedział z przeproszającym uśmiechem, scysja z woźnym, który nie chciał wpuścić go na salę wykładową, mimo iż przedstawił mu się z imienia, nazwiska i funkcji: „ja pana nie znam, a jestem tu woźnym od przedwojnia i wiem jak wygląda profesor...”. Kupił nas tym od razu. A frekwencja na jego wykładach była potem chyba niemal zawsze bliska stu procentowej!

Dla mnie jego wykłady i książka były swoistą rewelacją w widzeniu historii, zwłaszcza historii Polski, z taką jaką wyłaniała się z czytanej tak chętnie w młodości naszej beletrystyki – prozy historycznej, począwszy od Józefa Ignacego Kraszewskiego, Henryka Sienkiewicza czy Teodora Tomasa Jeża, a nawet i samego współczesnego mistrza gatunku Teodora Parnickiego, u których sprawy istnienia i funkcjonowania instytucji prawnych w ich życiu codziennym praktycznie nie istniały dla ich bohaterów albo były zawsze na dalszym planie...

Dość jeszcze do tego muszę, że wśród słuchaczy, którzy potwierdzić by mogli autentyczność tej – jak by powiedział bohater odeskiej prozy Babla Benia Krzyk (ciekawe, że w tym mieście urodził się był też prof. Juliusz Bar-

dach) – „smacznej” historyjki byli tacy ówcześni moi nowi znajomi i koledzy z tej naszej pierwszorocznej grupy, jak Janusz Łętowski i jego późniejsza żona Ewa (wtedy jeszcze nie Łętowska), Witold Woyda (wkrótce znany jako kilkukrotny złoty medalista olimpijski we florecie) czy Sławomir Tabkowski (ostatni prezes RSW Prasa Książka Ruch) i wielu innych znanych potem postaci życia publicznego, nie tylko prawników... A z profesorem Juliuszem Bardachem zetknąłem się jeszcze po kilku... dziesięcioleciach, gdy stałem się już w latach 70. ubiegłego wieku członkiem Polskiego Oddziału Stowarzyszenia Kultury Europejskiej (SEC), do którego on od dawna już należał...

Bereza Henryk (ur. 1926) – krytyk literacki o zdecydowanie niekonwencjonalnym guście i smaku, redaktor działu krytyki miesięcznika „Twórczość”, który propagował na jego łamach młodych debiutujących prozaików – „zbereźników”, jak pisał Piotr Kuncewicz w swej *Agonii i nadziei. Literatura polska od 1918*. Znałem Henryka gdzieś od połowy lat 60. ubiegłego stulecia!, bo chętnie uczestniczył w rozmaitych imprezach młodoliterackich, tak licznych wówczas, organizowanych w naszym kraju przez większe i całkiem małe miasta i miasteczka z poparciem lokalnych władz i z nadzieją na wypromowanie „własnych”, regionalnych pisarzy. Pamiętam np. wspólny powrót z jakiejś literackiej imprezy nocnym pociągami z Katowic, gdy staliśmy na zatłoczonym korytarzu i opowiadał mi o swojej znajomości i kontaktach z Markiem Hłaską rozpoczynającym dopiero swoją literacką karierę od zbierania doświadczeń „knajpianych”, m.in. w modnej wtedy nocnej warszawskiej Kameralnej na Foksal, skąd musiał go często ratować z rozmaitych „zakrapianych” tarapatów i odwozić taksówką do domu... ■

Wiejska 4/6/8



W obronie tatar

Jerzy PAPUGA

Spośród licznych burz i turbulencji politycznych, jakich widownią jest obecnie *Wiejska 4/6/8*, bodaj najbardziej wstrząsający jest zamach na wolność powoływania zespołów poselskich, choć z pozoru zupełnie niewinny. Zgodnie z obecnymi przepisami posłowie mogą powoływać zespoły poselskie, jakie chcą, ażeby w chwilach wolnych zająć się sprawami istotnymi, ale raczej niemającymi charakteru ogólnopaństwowego. Działalność zupełnie niewinna, kojarzona do tej pory z zespołem strażaków oraz zespołem wspierania gry w badminton. Ale, jak się teraz okazuje, przerosła niestety trochę oczekiwania tak, że stała się nawet kolejną udętką jakże umęczonej pracą Izby.

Na razie licznik zespołów zatrzymał się na liczbie +/- 293, choć za prawdziwość tych odręcznie zebranych danych trudno wziąć całkowitą odpowiedzialność, zliczenie ich sprawia niestety za dużą trudność.

Przyjmijmy więc, za prezydium Izby, że zespołów poselskich jest „na oko 300 z tendencją wzrostową”. Pracowników Sejmu je obsługujących jest zaś sześcioro. I tu, jak się okazuje, tkwi problem, bo takiej liczbie aktywności poselskich realizowanych po godzinach trudno organizacyjnie sprostać i Sejm musi jakoś temu zaradzić. Jak to bywa w takich przypadkach, rodzą się wątpliwości natury niemal konstytucyjnej, bo czy zgodne z ustawą zasadniczą będzie zakazywanie lub choćby ograniczanie posłom i senatorom aktywności, skoro godzą się oni dawać jej wyraz na terenie Sejmu i Senatu?

Zasadniczym kontrargumentem jest to, iż skoro zespół został już powołany, to powinien się raczej spotykać i pracować, co nie ma niestety w wielu przypadkach miejsca, i dany zespół staje się zespołem-widmo, bez żadnej aktywności. Budzi to uzasadniony przecież sprzeciw, bo dodatkowo prezydium zaobserwowało nadużywanie przez niektórych posłów tytułów z tym związanych – przewodniczenie zespołowi na wizytówce wygląda naprawdę okazale, szczególnie w angielskiej wersji językowej. Cóż, pozostaje nam jedynie skwitować tę surową ocenę jako uzasadnioną, bo jako wyznawcy zasady dobrej roboty, uznajemy za godną pochwały przejawioną chęć do jej podjęcia (jakakolwiek by zresztą była), a nie tytułowanie się. Izba w tej sprawie odbyła debatę plenarną, a my przyjrzelśmy się zakresowi tematycznemu zespołów, co dla osób postronnych może być trochę trudne, bo lista i nazewnictwo są tu imponujące.

Mamy więc zespoły ziemskie (bydgoski, Ziemi Kaliskiej,...), skupiające posłów danego powiatu lub regionu, ale również medyczne – według listy chorób, zawodów medycznych, specjalizacji, uzależnień, a nawet poszczególnych problemów służby zdrowia, jak np. niewiary w sens szczepień. Imponująca doprawdy skala, niemal równa problemom służby zdrowia i medycyny razem wziętych! Następnie absolwenckie (każdy z posłów, okazuje się, skończył jakąś szkołę), katolickie (m.in. oddające słuszny hołd naszym świętym), motocyklowe, ds. muzyki rozrywkowej, harcerskie, ds. czegoś szczególnego (np. Huty Stalowa Wola lub drogi międzywojewódzkiej), sprawiedliwości społecznej i równouprawnienia, budowy wszystkiego i wszędzie, wędkarstwa i łowiectwa, ale także marihuany czy obrony polskiego tataru i prawa spożywania mięsa. Nie jest przy tym w prawie powiedziane, jak dany zespół ma się nazywać i czym zajmować, co jest pięknym świadectwem wiary w posłów i senatorów, iż zajmują się czymś naprawdę poważnym. I tu dochodzimy do sprawy spożywania tataru, który dla pewnej części naszego narodu jest oczywistą oczywistością, a dla części nie. Niepokojące było otóż to, iż zespół ten był podawany w debacie sejmowej jako przykład czegoś zupełnie wypaczonego i niepoważnego, co należałoby wskazywać palcem jako błąd i wypaczenie, a nawet piętnować.

Redaktor *Wiejskiej 4/6/8*, by dać ostatecznie świadectwo prawdzie, przeprowadził w tej sprawie badania oraz konsultacje, łącznie z miłą rozmową z jednym z jego członków, zresztą zaangażowanym w prace ok. 20 innych zespołów poselskich. Jak się okazuje, jest to zespół złożony z praktyków spożywania tej wykwintnej potrawy (siekanie mięso wołowe lub końskie, z surowym żółtkiem, ogórkiem kiszonym i cebulką, koniecznie z sardynką...), prawdziwie oddany swojemu zadaniu obrony prawa do jedzenia mięsa, odbył 5 posiedzeń i naprawdę nie powinien stanowić złego przykładu. Powiem więc, swoje zadania może śmiało realizować poza *Wiejską 4/6/8*, objętą pod rządami marszałka Czarzastego określonym restrykcjom. Co prawda

skład zespołu jest raczej jednopartyjny i może nawet budzić u niektórych polityczną niechęć, ale skoro uznajemy słuszne prawo wegetarian do jedzenia kotletów sojowych, to musimy również uznać racje zwolenników konsumpcji tatarsa wołowego. Skoro mamy zespół poselski ds. hodowli psów rasowych, to wyrażanie racji wszystkich pozostałych psów jest sprawą pierwszorzędą, a w szczególności przeciwdziałanie ich bezdomności. Skoro są zespoły debatujące o uzależnieniach, to być może problematyka legalizacji marihuany jest też na rzeczy? Innymi słowy, mamy wielkie bogactwo, któremu z przyczyn raczej organizacyjnych chcemy jakoś zapobiec, ale czy słusznie? ■

Na odchodne

Gdy niebo już nie jest gwiazdziste



Adam KOMOROWSKI

„Niebo gwiazdziste nade mną, prawo moralne we mnie” – powtarzamy do dziś za Immanuelem Kantem. Czynimy to w świecie zupełnie różnym od *Lebensweltu* filozofa z Królewca. Została zachwiana autonomia i suwerenność podmiotu. Charakter (zdaniem Artura Schopenhauera oporny na zmiany) zastąpiła, poddająca się psychoterapii i polityce historycznej, płynna tożsamość.

„Podmiot jest fikcją, jakoby wiele równych sobie stanów w nas było skutkiem jednego substratu; lecz to my najpierw stworzyliśmy równość tych stanów; ich zrównywanie i przysposabianie jest stanem faktycznym, a nie równość (– należy jej raczej zaprzeczyć)” – napisał Fryderyk Nietzsche. Nieco mniej radykalny Zygmunta Freud stwierdził: „Ja nie jest gospodarzem we własnym domu”. Jacques Lacan zaczyna od konstatacji, że podmiot nie mówi, ale jest mówiony.

Dzieje myśli po Kancie to powolne, ale nieubłagane odchodzenie od substancjalności podmiotu, porzucanie źródłowej suwerenności kartezjańskiego *cogito*. Zakładana przez Kanta interioryzacja prawa moralnego, jego przekształcenie w imperatyw, w sytuacji nieokreślonego statusu podmiotowości, przestała być możliwa. Nie tylko znikły dusza i charakter, ale podmiot.

Temu procesowi towarzyszy zarzucenie fundamentalnej dla Zachodu idei *paidei*, wychowania, pedagogiki. Nie potrafimy skorzystać czy prze-myśleć *Chowanny* Bronisława Trentowskiego, idee pedagogiczne Janusza Korczaka dopisaliśmy do zabytków zatopionego Archipelagu Polin.

Zamiast *paidei* i pedagogiki mamy psychoterapię. Rozmyty podmiot nie może być przedmiotem kształtowania, a jedynie nieustających korekt. Mamy dziś co najmniej kilkadziesiąt szkół psychoterapeutycznych. Populacja psychoterapeutów rośnie szybciej aniżeli nauczycieli. Zawód nauczyciela, w porównaniu z zawodem psychoterapeuty, jawi się jako

nieatrakcyjny, zwłaszcza finansowo. Jest nieco antykwaryczny, jak zawód szewca.

Zastanawiającym jest, że hegemonia dyskursów, które tak przekonująco (Lacan! Foucault!) kwestionują substancjalność podmiotu, poza stworzeniem znaczącego ekonomicznie sektora usług psychoterapeutycznych, w niewielkim stopniu zmieniła nasze codzienne relacje z innymi. Po ponad stu latach psychoterapii nie żyjemy w lepszym świecie. Pociuszającym jest, że wielu nadal nie ma kłopotów ze zrozumieniem przesłania wierszy Zbigniewa Herberta o Panu Cogito, generalnie akceptujemy „kwestię smaku”.

Tym, co nas najbardziej dotknęło i zachwiało interioryzując prawa moralnego, nie było podważenie statusu podmiotu przez filozofów po Kancie. Przełomem okazało się zniknięcie tła, w którym ta interioryzacja się dokonywała. Tym czymś było zniknięcie narzucającej się ostentacyjną obecnością miliardów gwiazd na nocnym niebie, tej ostoi trwałości.

Polucja świetlna sprawiła, że zostaliśmy pozbawieni tego niezwykle towarzyszącego gwiazd. W miastach widzimy jedynie najjaśniejsze świecące planety, pulsujące światła samolotów i satelitów. Jak ubogie i nędzne stało się nasze niebo, w porównaniu z czasami dzieciństwa (kiedy często zdarzyły się awarie prądu i ciemności, nawet w mieście), uświadomiłem sobie przebywając w Amazonii, w osadzie w miejscu, gdzie Rio Napo łączy się z Amazonką. Tam źródłem światła były lampy naftowe. Doświadczenie intensywności spektaklu rozgwieżdżonego nieba jest niemożliwe w emitujących tyle światła powierzchniach miejsc ucywilizowanych. Pod nieobecność tła gwiazd rozmazuje się nasza podmiotowość. Kant w Królewcu, na przełomie XVIII i XIX wieku, nie mógł tej nieobecności przewidzieć. ■



Rys. Marek Chaczyk

POEZJA

Gdziekolwiek jest, jeśli jest



Grzegorz WALCZAK

* * *

Po ziemi błądasz się dla ciekawości bogów.
Niektórzy mówią, że to mus przyrody.
Jej ewolucja jak perwersja ślepa,
jak fatalizmu wybryk – dar to jest czy wyrok?
Czy więc stworzeniem jesteś hodowlanym,
gdzie wola twoja jest sprawdzianem stworu,
a wybór w chwili pozorem wyboru?
Wpływ na zbawienie miałbyś mieć – od czego?
Czy też z praikry po nic się zrodziłeś?
A może tylko po to, by w łańcuchu przemian
wciąż doskonalszym być i wciąż bez celu?
Widzisz więc, jakże Bóg ci jest potrzebny.
Jeżeli nie On ciebie, ty Go musisz stworzyć.
Gdyś już świadomość posiadał,
Bóg jest twą nadzieją,
a bez nadziei puste nawet piekło.

Szukam Ciebie

Szukam Ciebie
pod paznokciem
milczącego Sfinksa
w ruchomym naskórku wody
w łupinie snu
w słowie
a Ty jesteś
pod moją skórą
we krwi mojej
w piecu wyobraźni
wszędzie jesteś
gdzie Cię nie ma

Wadzę się z Tobą serdecznie

Wadzę się z Tobą serdecznie.
Nie łaski dla siebie chcę dzisiaj.
Bo cóż mi po Twoim zbawieniu,
kiedy mi ona najmiłsza!?
Czym jeszcze możesz mnie zranić?
Świata pustkę odebrać,
pamięć o tej, co mi była
mlekiem i kromką chleba?

Że kiedyś ją spotkam jeszcze,
sam w to nie wierzysz, Panie.
Pod naszym klonem wyciętym
na ścieżce przed domem stanie?

Na cmentarzach uśmiechnięte drzewa,
na cmentarzach kwitną zmarłych dusze,
a gdy deszcz je wiosenny podlewa,
pną się w niebo, i ja tam iść muszę,
no bo twoje ślady wbite w ciężkie chmury,
drobne ślady zdartych obcasików
wiodą mnie w te niezdobyte góry
przez cierniowe ścieżki człecznych Jezusików.

* * *

Na skrzyżowaniu nocy z mgłą
Chrystusik skrył się w życie
i płakał deszczu krągłą łzą,
bo jakże on, Zbawiciel,
osłonić swoich wiernych ma
przed wiatrem, zawieruchą,
gdy sam gdzieś w polu zgubił płaszcz
jak oni wiarę kruchą.

Dlaczego tyle ziaren gwiazd
usypał ktoś w noc czarną?
Dlaczego to, co dotknął czas
zrodziło się na darmo?
I drżał Chrystusik w polu gdzieś
zwiadziony Drogą Mleczną
i swej niemocy nie mógł znieść
i odszedł w swoją wieczność.

Z Trenów mojej Matce, 1993

Kusiciel

Tyś jak Wergiliusz, który mnie po czyścću,
jak Charon, co na drugą stronę... wodzi.
W masce tajemnicy
tlisz się we mnie ciągle
jak pamięć gatunku,
świadek podróży do kresu.

Doświadczasz mnie wątpieniem,
kusisz do poznania,
które skażone grzechem pierworodnym.
Sam nieuchwytny, miałbyś być dowodem
w opozycji do siebie
na istnienie wiecznej Wszeczmiłości?

Swoje maski wciąż zmieniasz,
niby twarze natury,
co fermentują życiem
jak wytrawne wino.
Zbawiciel dla wędrowca
niejasny jest i niepewny,
kiedy mu daje słońą rybę
we wnętrzu pustyni.

Dar tworzenia, potworze
– okrucz z twego stołu –
wciąż mnie jeszcze (u)wodzi
po manowcach zdarzeń.
I wdzięczny ci jestem
za twe prowokacje,
bo mogę wybierać
uległość lub twórczy bunt wobec Pana.

O, gdybym ci miał moc jaką

Skarga moja kłuje niebo
zaślepione gęstwą chmur.
Panie Boże wielki, przebacz,
że mój szept twych sięga stóp.
Nędzne prośby w jasno-ciemność,
ledwom wypoczarzył się,
ku Nieskończonemu pełzną
narzekliwe, chciejne, mdłe.
O, gdybym ci miał moc jaką
nie dałbym się ja robakom,
nie dałbym się ja i bogom,
rozpanoszyłbym się sobą
rozpanoszył, duchem wzmocnił,
rozprzestrzenił tak jak Ty,
wreszcie rzekłbym Ci – odpocznij
w jakimś strzępku gwiazdnej mgły.
Dryfuj sobie w wszechświat niemy,
pusty, chociaż pełen śmiecia
gdzieś na jakiejś lichej Ziemi,
czuj jej ból przez tysiąclecia.

A skąd mam to wiedzieć

A skąd mam to wiedzieć,
że jesteś, Panie, dobry?
Historia świata
tego nie potwierdza.
Syna skazałeś,
by nas męką zbawił.
I każdy człowiek
też kończy na krzyżu.
Ludzie ocalić
chcieliby coś z siebie.
Nie wszystek umrę
tudzą się nadzieją.
Może z tchórzostwa
ukochali Ciebie?
Nie wierzę w miłość
do Niepoznawalnego.
Spieram się z Tobą co dzień,
a więc jednak jesteś?..
w kulturze mojej,
może w moich genach?
Potrzeba wiedzy,
to jeszcze nie prawda.
Potrzeba prawdy,
to wieczne wątplenie.

III nagroda w Ogólnopolskim Konkursie Literackim
im. I. Kraszewskiego – 1994 r.

Nasze modlitwy

Wszyscy piszą listy
do nieba,
choć nikt nie zna
adresu ani adresata.

Panie Niebieski,
który jesteś wszędzie,
w chmurze,
w gwieździe,
w kamieniu.

Jeśli jesteś i we mnie,
życzę Ci, żebyś był zdrowy
i już nigdy więcej
nie miał raka.

Kim jesteś?

Kim jesteś? Dlaczego twórcą tylu sprzeczności?
Zupełnie nie wiem, kto za to odpowiada,
za tyle piękna, za tyle nieszczęścia.
Ja nawet za siebie nie mogę odpowiadać,
a co dopiero za *pierwszych rodziców*,
za *rodzaj*. Ja jestem człowiekiem
w każdej chwili innym.
Dano mi Twoje księgi święte
i dziesięć przykazań.
Myślę jednak, że są one ludzkie,
bardzo słuszne, choć trudne w przestrzeganiu,
ale ludzkie.
A jeśli jesteś abstrakcją,
o co Cię podejrzewam,
albo niewyobrażalną nadpotęgą tworzenia,
której wcale nie frasuje, co stworzyła,
to po co to wszystko?
To co ja tu robię?

Myśl bezbożna

Fasolę dnia
łuskam na naszym progu.
Konary drzew ścina wiatr
i niesie je Panu Bogu.

A dobry Pan
wysuszy je dla nas na krzyże,
by było nam
po nich do nieba bliżej.

Meteor spadł
i wokół zaraz trwoga.
Czy inny świat
może innego mieć Boga?

I tylko tyle?

Rysunek obłoków
przekrzywiony
w chybotliwej ramie dnia,
płomień świecy,
jej refleks na drewnianym stole.
I tylko tyle zostanie?
A może jakiś strzęp symfonii,
może jaki ślad
po książce
ze zwęglonym Słowem,
aby znowu z prochu?

Pod moją sosną-nędzą

Spotkałem Hieronima Boscha,
opowiadał mi o piekle
na ziemi.
Spotkałem Muncha,
krzyczał niemymi ustami,
strachem wszystkich strachów,
upiorem,
głodem
i wojnami.
Spotkałem Bruegla,
chwycił się za głowę.
I co miałem zrobić?
Stałem pod moją sosną-nędzą,
zawiązałem pętlę,
gałąź była sucha,
tylko zwichnąłem sobie nogę w kostce.

Wielki Nikt

Przechylałam się w nieistnienie,
z drapieżną konsekwencją
redukcji ejdetycznej,
docieram do ziaren rzeczy samych w sobie.
A gdy opadną z nich łuski,
tak jak z oczu moich ociemniałych,
wtedy przyjdą po mnie aniołowie,
w których dziś jeszcze nie wierzę.
A może to Wergiliusz
powiedzie mnie przez kręgi
niedorzecznych przestrzeni,
gdzie wszelkie doznanie,
myśl, czas i pamięć,
i współbycie z drugim
będą wykluczone.
Umoczę nogę w starodawnej rzece
i Leta będzie mi błogosławiona.
A może pułapkę na mnie
zastawi nie fenomenolog
ani ten gbur nietowarzyski – Hades,
tylko... Wielki Nikt – niedefiniowalny porządek chaosu.

Powyższe wiersze zaprzyjaźnionego z „Res Humana” poety (a także prozaika, dramaturga, satyryka, autora słuchowisk radiowych i tekstów piosenek) Grzegorza Walczaka, dokumentujące jego metafizyczne zmagania z Transcendencją, zostały wybrane z bogatego zbioru o tej tematyce, który od dawna składa on z myślą o publikacji w postaci odrębnego tomiku.

za'ks
sprzyjamy wyobraźni

Z podziękowaniem za wsparcie
naszej pracy na rzecz kultury.

„Res Humana”

RECENZJE



Opowieść o Albanii

Marek Jeziorski: *Hotel Dajti*, Warszawa 2025, Wydawnictwo SEDNO, 314 stron.

Marek Jeziorski jest najpewniej największym w Polsce znawcą Albanii. Albanista i politolog z wykształcenia, autor pierwszego w naszym kraju słownika polsko-albańskiego i albańsko-polskiego, tłumacz powieści największego pisarza Albanii Ismaila Kadarego. Oraz dyplomata, który rozpoczynał karierę zawodową w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych w charakterze stażysty ambasady Polski w Tiranie, aby, już w latach 2012–2016, powrócić do Albanii jako ambasador Rzeczypospolitej.

Książka *Hotel Dajti*, która ukazała się nakładem Wydawnictwa Akademickiego SEDNO, jest bardzo osobistą, a jednocześnie możliwie zobiektywizowaną opowieścią Jeziorskiego o tej Albanii, której dzisiaj już nie ma, lecz bez znajomości której nie sposób zrozumieć Albanii współczesnej. Opowieść obejmuje – jak pisze autor we wstępie – czas od września 1983 roku, gdy po raz pierwszy przybył do „twierdzy ortodoksyjnego komunizmu”, do roku 2016, gdy Albania była krajem „zupełnie odmienionym, wolnym, naszym sojusznikiem w NATO i aspirującym do członkostwa w Unii Europejskiej”. Szczęśliwie M. Jeziorski, z pokorą właściwą prawdziwym reportażystom, uniknął – co niestety jest często spotykaną cechą wspomnień byłych ambasadorów – autohagiograficznej memuarystyki, wystawiającej własne dokonania w służbie Rzeczypospolitej. Owszem, autor-narrator jest obecny w *Hotelu Dajti*, ale jest to obecność, jak na wytrawnego dyplomatę przystało, dyskretna; zauważalna, ale nienarzucająca się narracją zbyt głośną czy niestosowną anegdotą. Jeziorski używa języka stonowanego, powściągliwego, niekiedy świadomie ascetycznie surowego, gdyż jakiegokolwiek pompatyczne, egzaltowane zdanie byłoby niewłaściwe, jak wówczas gdy kończy tragiczną opowieść o Ganimete Cuki, „najpiękniejszej kobiecie w powojennej Tiranie”: „Pewnego dnia Ganimete poinformowała matkę o samobójczej decyzji. Obie znaleziono martwe, powiesiły się. Ciała wrzuciono do dołu przy kanale, obok chlewu”.

„Albania w czasie przeszłym”, bo tak brzmi podtytuł książki Jeziorskiego, jest przede wszystkim opowieścią o represyjnym reżimie Envera Hoxhy, który utrzymywał się w Albanii nawet po śmierci dyktatora. Ze znawstwem dostępnym tylko wnikliwym ekspertom autor analizuje polityczne, kulturowe, społeczne uwarunkowania i następstwa terroru czasów Hoxhy. Nie czyni wszakże swojej narracji drobiazgowym, ale nudnym, z przypisami, akademickim wykładem, lecz oszczędnymi pociągnięciami pióra rysuje dramatyczne szkice zdarzeń i ludzi, których historie – wiemy, że prawdziwe – zestawione ze sobą tworzą wstrząsający w swojej wymowie obraz totalitarnego

reżimu. Dbałość o literackość i potoczność narracji oraz atrakcyjność czytelniczą kontroluje przebijającą się od czasu do czasu spod tekstu chęć autora pogłębienia analizy, sięgnięcia po kolejne fakty i przykłady.

Oto widzimy młodego, świetnie przygotowanego do swojego zawodu dyplomatę, który, chociaż przybywa z kraju bloku wschodniego, utrzymuje kontakty z kolegami z Zachodu. I to tytułowy hotel „Dajti”, jako symbol bezpiecznego punktu neutralnej obserwacji, jest miejscem tych spotkań. Lecz nade wszystko nasz narrator-dyplomata przygląda się ludziom, ich zachowaniu, miastu, którego ulicami przechodzą, domom, w których mieszkają, a później (domyślamy się, gdy takie interakcje stały się możliwe) spotyka się, rozmawia z samymi Albańczykami, wysłuchuje ich opowieści.

Czytając opowiadane przez Jeziorskiego historie i fakty, zdajemy sobie sprawę z dokonywanych przez autora uproszczeń i skrótów. Wiemy, że wprawdzie są to sprawy, o których dyplomata nie pisał w swoich raportach, ale jeszcze więcej tropów, objaśnień i interpretacji autor rozmyślnie pozostawia poza kadrem, aby nie obciążyć narracji. Przykładowo, opisując narodziny i rozwój specyficznego reżimu Hoxhy autor ogranicza się do określenia go słowem „komunistyczny”, niekiedy „ortodoksyjnie komunistyczny”, chociaż jako politolog musiał ulegać pokusie analizy komparatywnej, objaśniającej, dlaczego w sąsiedniej Jugosławii, także komunistycznej, nie dochodziło nawet do zbliżonych w formach i skali represji, co w Albanii. Czy muzułmańskie tradycje Albanii tworzyły szczególne podglebie historyczne do budowy reżimu, który może być porównywany jedynie z komunizmem azjatyckim? Czy narodziny totalitaryzmów w Europie (faszyzmu w Hiszpanii, Włoszech i Niemczech i komunizmu w Rosji) mają związek z religijnością społeczeństw, co objaśniałoby irreligijny, wojujący system polityczny Hoxhy? Równie liczne pytania pojawiają się w związku z uwarunkowaniami międzynarodowymi polityki Albanii, w tym konfrontacji Wschodu z Zachodem, wyznaczającym przez pół wieku wektor polityki światowej. Próba wyjaśnienia tych kwestii w jednej książce czyniłaby ją jednakże trudną do przebrnięcia dla przeciętnego czytelnika.

M. Jeziorski nazywa swoją książkę „reportażem literackim”, zgodnie z przeważającą w polskiej teorii genologiczną definicją literatury. Dość niefortunne przeniesienie z anglosaskiego obszaru kulturowego pojęcia „dziennikarstwo narracyjne/reportaż narracyjny” na grunt języka polskiego jako „reportaż literacki” wprowadziło dodatkowy zamęt do i tak rozmytych i nieczytelnych (a także bardzo wątpliwych z punktu widzenia logiki naukowej) granic między gatunkami i rodzajami literackimi. Jeśli jednak wziąć w miarę sensowne określenie K. van Kriekena, że chodzi w istocie o literaturę opartą na faktach (tak, jak przykładowo, pisał ją i rozumiał R. Kapuściński), to *Hotel Dajti* jest reportażem politycznym albo literaturą polityczną, łączącą w sobie wiele podgatunków, która pokazuje mechanizm terroru (i nie tylko albański, lecz – uniwersalny) i jego destrukcyjny wpływ na społeczeństwo. Dlatego aż prosi się o ciąg dalszy *Hotelu Dajti* – co dzisiaj dzieje się ze społeczeństwem Albanii?

Zdzisław RACZYŃSKI



Kłopot z historią

Polska Ludowa. Historia prawdziwa, red. Paweł Dybicz, wyd. Oratio Recta, Warszawa 2025, 400 stron.

Dobrze, że ta książka się ukazała. Po latach deprecjonowania, wręcz wymazywania blisko pół wieku z historii Polski, autorzy tomu starali się przywrócić należne mu miejsce w narodowych dziejach. Książka składa się ze wstępu redaktora tomu – Pawła Dybicza (*Polska Ludowa widziana z perspektywy 35 lat. Zamiast wstępu*), ośmiu artykułów o zbliżonej objętości¹ oraz fragmentów dziennika nieżyjącego już prof. Andrzeja Walickiego – wybitnego historyka idei – pod tytułem *Dziedzictwo Polski Ludowej*. „Historia prawdziwa” (z podtytułu książki) nie musi oznaczać, że apologetyczna. W artykułach Joanny Hańderek, Dariusza Łukasiewicza czy w dzienniku prof. Walickiego, który – jak wiadomo – do entuzjastów PRL nie należał, można znaleźć sporo uwag krytycznych i surowych ocen.

Prawdę mówiąc, wolałbym napisaną przez jednego, dwóch autorów syntezę tych 45 lat historii, zwłaszcza że to okres chronologicznie zamknięty (1944–1989) i definitywnie zakończony. Autorzy i redaktorzy postawili sobie – jak widać – nieco inny cel: zaprezentowanie różnego wizerunku tego okresu, a więc pokazanie, jak to oni z własnej perspektywy widzą ten czas. Każdy trochę inaczej. Coś z potrzeby syntezy pozostało jednak w artykułach Jarosława Dobrzańskiego, Pawła Siergiejczyka czy Wiesława Żótkowskiego. Andrzej Karpiński polemizuje raczej z neoliberalizmem, monetaryzmem i Balcerowiczem, a nie z odsądzaniem PRL od czci i wiary przez prawicowych historyków i propagandystów (choć z tym też). Pozostali (Łukasiewicz, Hańderek) bardzo trafnie omawiają kilka wybranych tematów szczegółowych. Autorzy sami dostrzegli, bijąc się w piersi, że w książce pominięto zagadnienia rozwoju oświaty, nauki i kultury, a przecież w tych właśnie dziedzinach dorobek Polski Ludowej był bezsporny; szybka likwidacja analfabetyzmu i demokratyzacja oświaty oraz masowy i tani dostęp do dóbr kultury były jej sztandarowymi osiągnięciami.

Ocena Polski Ludowej zależy od odpowiedzi na wyjściowe pytanie o alternatywę wobec zrealizowanego w praktyce przebiegu wydarzeń. Być może pod koniec międzywojnia istniała taka alternatywa: był nią sojusz z Hitlerem, wątpliwy militarnie i naganny moralnie. Po Stalingradzie i Kursku oraz po zawarciu przez trzy mocarstwa (ZSRR, USA i Wlk. Brytanię) koalicji antyhitlerowskiej – już nie. Jedynym racjonalnym stanowiskiem (przy tym jedynym definitywnie sprawdzonym) było przyłączenie się do tej koalicji, tyle że po konferencji w Teheranie (listopad-grudzień 1943) oznaczało to

¹ Jarosława Dobrzańskiego, *PRL z perspektywy racji stanu. Czy Polska Ludowa była państwem?*; Pawła Siergiejczyka, *Od uzależnienia do samodzielności – proces wyzwania się PRL spod kurateli Moskwy*, Andrzeja Karpińskiego, *Spojrzenie na Ziemię Odzyskane – bilans 80-lecia (1945–2025)*; Roberta Walenciaka, *Od negacji do rządzenia – spojrzenie na Solidarność*; Dariusza Łukasiewicza, *Mieszczanie Polski Ludowej po roku 1945*; Joanny Hańderek, *Kobiety w PRL*; Bogdana Piętki, *Czarna dziura? Polska Ludowa w polityce historycznej III RP*; Wiesława Żótkowskiego, *Spojrzenie na gospodarkę PRL – widziane z perspektywy dzisiejszej*.

jednoznacznie przynależność do radzieckiej strefy wpływów w czasie wojny i po jej zakończeniu. Z takim rozwiązaniem zgodziły się mocarstwa zachodnie, same nalegały na jego akceptację przez Polskę; trwałość koalicji i udział w niej Związku Radzieckiego były dla nich jedyną gwarancją zwycięstwa w walce z hitlerowskimi Niemcami i dbały o to bardziej niż o polskie granice. A gdyby nawet Amerykanie i Brytyjczycy uparcie opowiadali się za innym kształtem terytorialnym naszego państwa, to w 1944 roku w prawobrzeżnej części Polski znajdowało się z miliony żołnierzy radzieckich (35 na km²)² i wszelkie nawoływania do walki zbrojnej z Armią Czerwoną były aktem samobójczym i wrogim. Potępionym przez Wschód i Zachód. Niestety, zachęczone przez politycznych fanatyków oddziały, nazwane później „żołnierzami wyklętymi”, walkę tę podjęły, nie uzyskując nic poza iluzorycznym przekonaniem o własnym heroizmie moralnym. Walkę tę prowadziły w przekonaniu o potrzebie powrotu do przedwojennych granic ustalonych traktatem pokojowym w Rydze, a więc bez Ziemi Zachodnich, za to z Wileńszczyzną, Wołyniem i Podolem. Czy po 80 latach od zakończenia wojny i 35 latach od transformacji ustrojowej ktokolwiek w Polsce chciałby powrotu do takich granic i takich politycznych rozwiązań? Co więcej, czy chciałby, by to w polskich granicach rozgrywał się konflikt narodowościowy, religijny i kulturowy, wciąż obecny na wschód od Bugu? A przecież to Tomasz Arciszewski, premier rządu londyńskiego powtarzał: chcemy Wilna i Lwowa, nie Wrocławia i Szczecina. Nie pamiętano, że II Rzeczpospolita przed II wojną wcale nie była mile widziana ani na Litwie (stosunki dyplomatyczne wznowiono dopiero w 1938 r.), ani w Ukrainie.

Nonsensowność nawoływań do sprzeciwu wobec wyroków historii i podjęcia walki o powrót do międzywojennej Polski zadziwia. Podobnie dziwić musi interpretacja wyników referendum 1946 roku. Jeśli dziś historycy zarzucają ówczesnym władzom (działającym pod sowiecką kurtelą, to prawda) sfałszowanie jego wyników i z dumą podkreślają, że wyniki były inne, to czy naprawdę możemy być dumni z odrzucenia w referendum reformy rolnej i podkreślenia dość ambiwalentnego stosunku do granicy na Odrze i Nysie? Co tu gadać: Polska nie miała innego wyboru, a historia tych 80 lat potwierdziła słuszność drogi przyjętej przez polską lewicę, choć naprawdę to nie ona tego wyboru dokonywała. Zaakceptowane rozwiązanie zostało potwierdzone przez historię, zachowało też swoją trwałość w zmienionych warunkach ustrojowych i w diametralnie zmienionych warunkach politycznych³. Trzeba więc zgodzić się z przesłaniem obecnym prawie we wszystkich zamieszczonych w książce artykułach o ciągłości polskiej historii na różnych etapach rozwoju państwa. Próby takie, jak przekazywanie insygniów władzy przez niewiele znaczącego emigracyjnego polityka nowo wybranemu prezydentowi Wałęsie i pominięcie gen. Jaruzelskiego, świadczą raczej o aberracji umysłowej, niż stanowią ważny element historycznej oceny.

² Krystyna Kersten, *Narodziny systemu władzy*, Wyd. Textura, Warszawa 2018, s. 90.

³ Warto podkreślić, że to nieustępliwość Stalina zdecydowała, że Szczecin znalazł się w polskich granicach. Churchill chętnie przystałby na pozostawienie go Niemcom.

Prawicowi historycy nie zanegowali na ogół w miarę sprawnej translokacji ogromnych mas ludności, mimo zniszczonej gospodarki i utrudniającej ten manewr opozycji wewnętrznej, co stanowi ważny akcent w artykule Andrzeja Karpińskiego. Osobną sprawą było przesiedlenie ludności łemkowskiej w konsekwencji działania band UPA, ale tym tematem autorzy się nie zajmowali, więc i ja nie będę.

Niemalą ułomnością polskiej historiografii jest nadmierna skłonność do wartościowania. Polsce Ludowej oberwało się w ciągu ostatnich 35 lat mocno. Z trudem znaleźć można oceny, w których eksponuje się nie tyle dobre strony socjalistycznej formacji ustrojowej i polityki władzy ludowej, co wskazuje na uwarunkowania, w jakich znalazła się Polska, w tym brak innych możliwości wyboru rozwiązań ustrojowych i sojuszy politycznych, a to uważam za czynnik decydujący. Centralne zarządzanie, urząd rynku, polityka uległości wobec *wielkiego gwaranta*, opresyjność władzy były bodaj głównymi tematami krytyki, niedostrzegającej pozytywnych aspektów przemian. Bez wymuszonej (to prawda) nacjonalizacji i rozbudowy przemysłu, bez reformy rolnej nie byłoby możliwe odejście od archaicznego modelu gospodarki. Pod koniec dwudziestolecia międzywojennego dominowała gospodarka agrarna (60:40 dla rolnictwa w zestawieniu z przemysłem), wiodącą rolę odgrywało ziemiaństwo, rozwarstwienie majątkowe było ogromne, bezrobocie wysokie. Można się zżymać na dokonywane przez „komunistów” wybory (np. nadmierne preferencje dla przemysłu ciężkiego i niedocenienie gałęzi konsumpcyjnych) oraz stosowane metody, ale zasadniczy kierunek przemian był słuszny. Dostrzegł to bodaj najlepiej Andrzej Leder w swojej *Prześlionej rewolucji*. Kij ma jednak dwa końce. Ocenianemu na ogół pozytywnie dorobkowi „polskiego października '56” (zwiększenie suwerenności w ramach tzw. polskiej drogi do socjalizmu, zmniejszenie represji, szersze, choć krótkotrwałe, otwarcie na dorobek zachodniej nauki i kultury) towarzyszyło wyhamowanie bardziej radykalnych aspektów przemian także z negatywnymi tego konsekwencjami, zwłaszcza w rolnictwie, czego dowodem jest utrzymanie do dziś niewielkiego, niekonkurencyjnego gospodarstwa chłopskiego jako podstawy rolnictwa (obecnie średnie gospodarstwo ma bodaj 11 ha), choć z drugiej strony doświadczenia radzieckiej kolektywizacji pozwalają wątpić, czy tymi metodami cokolwiek by się udało zrobić. Dziś przychodzi się martwić, jak sprostać konkurencji ukraińskich latyfundiów. Ale to dygresja.

Dobrze, że omawiana książka pozwala spojrzeć z innej, także dobrej strony na dorobek Polski Ludowej. Bo były w niej blaski i cienie. Niektórym autorom nie udało się jednak wartościowania uniknąć. Słuszna krytyka okresu międzywojnia⁴ zakończonego klęską wrześniową abstrahuje – na przykład – od uwarunkowań; Polsce trudno było utrzymać byt państwowy między Niemcami i Rosją, uważającymi się za pokrzywdzonych w wyniku ustaleń wersalskich i dążącymi do rewizji tych ustaleń. I tak się stało. Dokonanie

⁴ Porównania z międzywojnem były ulubionymi tematami w przemówieniach Gomułki. Prześmiewcy (których w Polsce nigdy nie brakowało, także dziś) dworowali sobie, figlarnie cytując: „Zbiory ziemniaka w województwie poznańskim w porównaniu z rokiem 1938 wzrosły o siedemnaście *coma* trzy procent [*coma* było u Gomułki obowiązkowe]. W ten sposób prześcignęliśmy Stany Zjednoczone, które nie mają województwa poznańskiego.”

tw. słusznego wyboru sojuszy nie było naprawdę możliwe, bo postawienie na Francję i Anglię jako tzw. trzecią drogę okazało się – już po kilku dniach września 39 – iluzoryczne.

Pozornie łatwiej wyważyć właściwe proporcje w ocenie końcowego okresu socjalistycznej formacji ustrojowej. Kryzys miał miejsce we wszystkich krajach tzw. bloku radzieckiego, łącznie z państwem – przywódcą tego bloku. A więc nie błędy w bieżącej polityce prowadzonej przez kolejne ekipy rządzących były tego kryzysu przyczyną. Ale do tzw. przyczyn strukturalnych trudno było się przyznać. Co stało się źródłem kryzysu? – pytano więc na partyjnych plenach. Odejdźcie od leninowskich norm życia partyjnego. To co należy zrobić? Należy te normy przywrócić. Taką argumentacją niewielu dało się przekonać, a przecież niejednokrotnie ją słyszeliśmy. W najlepszym razie oceny sprowadzają się do uproszczonego stwierdzenia o wyczerpaniu możliwości rozwojowych i porażce w rywalizacji konkurencyjnej.

Zbiorowa świadomość kulturowa Polaków niesie ze sobą dziedzictwo historyczne: złudny mit „wielkiej Polski” ma w pamięci państwo z blisko milionem km², ale państwo o rachitycznej gospodarce agrarnej, która do dziś stanowi ekonomiczne i mentalne obciążenie Polaków, bez przemysłu, handlu i ekonomicznego myślenia, które decydowało w Europie o pozycji i sukcesie innych państw. Niesie spojrzenie na Wschód (na wschodni kierunek ekspansji militarnej i politycznej), którego resztki są szczęśliwie z tej świadomości wymazywane, ale które przez wieki wpływały na postawy i zachowania narodowe. Byliśmy przez lata deklaratywnie na Zachodzie, a mentalnie/kulturowo na Wschodzie i ten багаż niekonsekwencji przetrwał do dziś. Niesie ona za sobą także utrwalone w kulturze przekonanie o szczególnej pozycji wynikającej z narodowego męczeństwa i argumentów moralnych (nam się to szczególne miejsce z tych powodów należy) i zbiorową niechęć do rzetelnej i konsekwentnie prowadzonej pracy w oczekiwaniu na kolejny *cud*. Niesie przekonanie o winie *innych* jako przyczynie klęsk i niedowładu⁵, bez krytycznego spojrzenia na własne dziedzictwo.

Ta ogólna uwaga jest mi potrzebna, by ocenić działalność *Solidarności*, o której pisał Robert Walenciak. Nie kryję krytycznego do niej stosunku, bardziej krytycznego niż autor artykułu. *Solidarność* od początku swego istnienia była strukturą amorficzną, która usiłowała pomieścić przeciwstawne (nawet skrajnie odmienne) przekonania i opcje polityczne. Przykryte pozorami narodowego zjednoczenia w walce ze znienawidzonym reżimem. Choć czasem popieranym, jak Gomułka w Październiku '56, czy ekipa Gierka w początkach lat 70. To złudzenie narodowej jedności w walce ze złym „komunizmem” rozpadło się już rok po dojściu do władzy partii wyrosłych z tradycji *Solidarności*. Nienawiść wzajemna, która rozlała się i skaziła polskie życie, sięga bardzo głęboko. Tak, że nie są w stanie wspólnie świętować ani rocznicy swego powstania, ani rocznicy swego sukcesu. Choć trudno u Lecha Wałęsy dopatrywać się głębi intelektualnej, to jednak trafnie odgadł on, że zwinięcie sztandaru „S” w 1989 r. byłoby dla tego ruchu jedynym słusznym wyjściem,

⁵ Ostatnio jest to „wina Tuska”.

by zachować dobrą pamięć, bo to, co z niej wyrosło w postaci partii Śniadka i Piotra Dudy, jest ostatecznym jej dorobku zaprzeczeniem. Na przekór Walenciakowi natomiast uważam, że gospodarka Polski była w krytycznym stanie po czasach Rakowskiego i Sekuły (szalejąca inflacja, zadłużenie do granic bankructwa, a nade wszystkim utrata rynków zbytu w wyniku rozpadu RWPG), a terapia szokowa była jedynym dla niej rozwiązaniem. Choćby dlatego, że tylko ten wariant leżał na stole, nikt inny żadnego innego rozwiązania nie zaproponował, a nawoływania „Balcerowicz musi odejść” nie znalazły wsparcia w konstruktywnych (być może lepszych, ale ich nie było) propozycjach. A o dewastującej Polskę spuściznie braci Kaczyńskich mówić nie będę, bo tego już recenzowana książka nie dotyczy.

Powtórzyć tylko: choć omawiana praca zbiorowa nie jest tworem doskonałym, to dobrze, że jest na rynku. Jest bowiem świadectwem, że – jak pisze we wstępie Paweł Dybicz – „Ludziom IPN – swoistej policji historycznej – nie udało się narzucić jednej obowiązującej wszystkich oceny 45-lecia Polski Ludowej jako czarnej dziury w historii kraju”⁶. Być może stanie się dobrym początkiem dla kolejnych publikacji rzetelnie omawiających cechy (a nie głównie zalety i wady) minionej już formacji ustrojowej.

Andrzej ŻOR

⁶ Paweł Dybicz, *Polska Ludowa widziana z perspektywy 35 lat. Zamiast wstępu* [w:] *Polska Ludowa. Historia prawdziwa*, Oratio Recta, Warszawa 2025, s. 11.



Między kloszardem a Marią Szaloną

Jan Stępień, *Wyspa tańczących kotów*, Wydawnictwo „Kto jest Kim”, Warszawa 2025, 62 strony.

Twórczość Jana Stępnia od wielu lat sytuowana jest na osobnym torze współczesnej poezji polskiej, daleko od dominujących mód, strategii autopromocyjnych i eksperymentów formalnych podporządkowanych efektowi. *Wyspa tańczących kotów* stanowi w tym sensie tom szczególny, bo zarazem podsumowujący i pogłębiający najważniejsze wątki jego poetyckiego świata, a jednocześnie odsłaniający je w formie niemal ascetycznej, zredukowanej do elementarnych gestów języka. Jest to poezja, która nie chce imponować, nie chce błyszczeć erudycją ani formalną wirtuozerią; przeciwnie – konsekwentnie wybiera drogę prostoty, ryzykując niezrozumienie, a nawet lekceważenie ze strony czytelnika przyzwyczajonego do ironii, gry intertekstualnej czy semantycznego nadmiaru. Tym większa jednak siła oddziaływania tej książki, bo prostota u Stępnia nigdy nie jest naiwnością, lecz efektem długiej drogi twórczej, świadomego wyboru etycznego i estetycznego.

Biografia autora – obejmująca prozę, dramat, rysunek, rzeźbę, działalność międzynarodową i obecność w różnych środowiskach artystycznych – nie jest tu jedynie dodatkiem informacyjnym. W *Wyspie tańczących kotów*

czuć doświadczenie człowieka, który widział wiele światów i potrafi się w nich poruszać bez potrzeby dominowania nad nimi. Stępień nie mówi z pozycji mistrza ani nauczyciela; raczej z pozycji wędrowca, obserwatora, kogoś, kto *idzie* – często dosłownie, jak jego kłoszardzi, bezdomni, włóczędzy – i zapisuje to, co spotyka. Jego poezja jest zapisem drogi, ale drogi pozbawionej spektakularnych punktów orientacyjnych. To raczej ciąg małych zatrzymań, spojrzeń, milczeń, krótkich rozmów, które nie prowadzą do jednoznacznych konkluzji, lecz pozostawiają w czytelniku delikatny osad refleksji.

Jednym z najbardziej wyrazistych tematów tomu jest figura poety i pytanie o sens poezji we współczesnym świecie. Wiersz *Poezja* otwiera ten problem w sposób niemal anegdotyczny, a zarazem niezwykle znaczący. Pytanie „Kto dziś czyta wiersze?” zawieszono „na gwoździu milczenia” powraca jak refren egzystencjalnego zwątpienia. Odpowiedź „Wrażliwi ludzie” jest nieśmiała, jakby sam poeta nie był pewien jej wystarczalności. Ten dialog z Nieznajomym nie jest jedynie zapisem zewnętrznej rozmowy, lecz dramatem wewnętrznym – próbą usprawiedliwienia sensu własnego pisania. Milczenie, które następuje po pytaniu, staje się tu równoprawnym elementem wiersza, a może nawet jego istotą. Stępień od początku jasno sugeruje, że poezja nie jest domeną masową, że jej adresatem jest ktoś, kto potrafi zatrzymać się i słuchać ciszy.

Ten wątek zostaje rozwinięty w wierszu *Poeta*, który można czytać jako swoisty manifest, ale manifest pozbawiony patosu. Definicja poety jest tu negatywna: nie ten, kto siedzi przy biurku, nie ten, kto drukuje wiersze, nie ten, kto mówi o sobie. Poeta to „wieczny wędrowiec”, ktoś, kto „z księżycem się wadzi”, kto „z kłoszardem milczeniem rozmawia”. Ta definicja przesuwaa akcent z produktu (wiersza) na postawę życiową. Poezja przestaje być rzemiosłem literackim, a staje się sposobem bycia w świecie. W tym sensie *Wyspa tańczących kotów* jest książką głęboko etyczną, choć pozbawioną moralizatorstwa. Stępień nie poucza; pokazuje, że uważność, empatia i zdolność do milczenia są wartościami, które konstytuują zarówno poetę, jak i człowieka.

Motyw kłoszarda, bezdomnego, wykluczonego powraca w tomie wielokrotnie i pełni funkcję znacznie szerszą niż społeczny komentarz. Wiersze *Wolny człowiek*, *Kłoszard*, *Idę...*, *Biedni i bogaci* układają się w swoisty cykl, w którym bezdomność staje się figurą egzystencjalną. Kłoszard Stępnia nie jest jedynie ofiarą systemu; bywa kimś, kto posiada wiedzę niedostępną ludziom „ustawionym”. Jego wolność – niepłacenie rachunków, brak podatków – ma wymiar paradoksalny i gorzki, ale zarazem demaskuje iluzoryczność porządku społecznego. Gdy kłoszard mówi, że „czeka na Sąd Ostateczny”, aby „wygarnąć całą prawdę Panu Bogu”, słyhać w tym nie tylko bunt, lecz także przekonanie o własnej godności. Stępień konsekwentnie przywraca głos tym, którzy zwykle milczą, albo których milczenie jest ignorowane.

Jednocześnie poeta nie idealizuje biedy ani wykluczenia. W *Biedni i bogaci* pojawia się obraz biedy, która „nie ma sił by wyjść na ulicę i krzyczeć”, która „czeka cierpliwie na ciepłe lato”. To jeden z najbardziej przejmujących fragmentów tomu, bo pozbawiony jakiegokolwiek retorycznej

ostrości. Bieda nie protestuje, nie manifestuje – po prostu trwa. Ten obraz kontrastuje z oficjalnym dyskursem sukcesu, nowoczesności, obfitości. Stępień nie potrzebuje statystyk ani publicystycznych argumentów; wystarczy mu jedno zdanie, by odślonić fałsz triumfalnych narracji.

Obok tematów społecznych bardzo silnie obecny jest w tomie motyw walki, ale walki rozumianej nie jako droga do zwycięstwa, lecz jako konieczność istnienia. Wiersz *Walcz* jest pod tym względem znamienny: „To nic, że przegrasz”. Smak zwycięstwa może być „tak gorzki jak smak porażki”. To przesunięcie akcentu z rezultatu na sam akt zmagania wpisuje się w etos Don Kichota, którego Stępień przywołuje w wierszu *Rozmowa*. Don Kichot wie, że „ludzi budzi się długo”, ale mimo to nie rezygnuje. Poezja jawi się tu jako forma quijotyizmu – świadomego działania wbrew oczywistościom, wbrew cynizmowi świata.

Bardzo ważnym, być może centralnym wątkiem *Wyspy tańczących kotów*, jest problem milczenia i słowa. Wiersze *Skaleczona cisza*, *Milczenie*, *Słowa*, *Są...*, *Nowa lekcja* tworzą rodzaj filozoficznej medytacji nad językiem. Stępień nie ufa słowom bezwarunkowo; wie, że mogą ranić, budować mury, kaleczyć ciszę. Jednocześnie nie rezygnuje z nich – przeciwnie, próbuje je oczyścić, sprowadzić do ich pierwotnej funkcji: komunikowania tego, co najdelikatniejsze. Postulat „naucz się mówić milczeniem” nie jest wezwaniem do rezygnacji z mowy, lecz do odpowiedzialności za każde wypowiedziane zdanie. Cisza u Stępnia nie jest pustką, lecz przestrzenią sensu, w której „słyszać nasze myśli i nasze pragnienia”.

Ten etos uważności i czułości szczególnie wyraźnie objawia się w wierszach poświęconych naturze i rzeczom pozornie nieistotnym. Liść zaproszony na zimę do ciepłej chaty, zmęczony motyl, który staje się „bratem”, kamień będący „mistrzem cierpliwości”, drzewa i wiatr uczestniczące w subtelnych relacjach uczuciowych – wszystko to tworzy świat, w którym granica między ludzkim a nieludzkim zostaje zatarta. Stępień nie antropomorfizuje natury w sposób naiwny; raczej przywraca jej podmiotowość, zdolność do bycia partnerem w dialogu. To poezja głęboko ekologiczna w sensie duchowym, wolna od ideologicznych deklaracji, a zarazem niezwykle aktualna.

Osobnym i kluczowym obszarem tomu jest cykl wierszy poświęconych Marii Szalonej, który należy czytać jako najbardziej otwarcie autobiograficzną część *Wyspy tańczących kotów*. Maria nie jest tu wyłącznie figurą symboliczną ani literacką maską – jest żoną Jana Stępnia, realną towarzyszką jego życia, a zarazem centralnym punktem emocjonalnym tej książki. Wiersze te powstają z bezpośredniego doświadczenia bliskości, wspólnego trwania, codzienności przeżywanej razem, z jej rytuałami, lękami, czułościami i drobnymi zachwytaami. Autobiografizm nie ma tu jednak charakteru wyznania ani ekshibicjonizmu; przeciwnie – zostaje przefiltrowany przez delikatność spojrzenia i język metafory, który chroni intymność, a jednocześnie pozwala ją uniwersalizować.

Maria Szalona jest żoną-muzą, ale nie w romantycznym, uprzedmiotawiającym sensie. Jest partnerką dialogu, osobą równorzędną, żywą, zmienną, nieprzewidywalną. Jej *szaleństwo* oznacza sprzeciw wobec świata uporządkowanego według chłodnych reguł, wobec racjonalizmu, który nie umie pomieścić emocji, tańca, zabawy, dziecięcej ciekawości. W ten sposób Maria staje się także lustrem dla samego poety – to przy niej i dzięki niej możliwe

jest zachowanie wrażliwości, zdolności do zdumienia, do życia poza schematem. Wiersze o Marii są więc zapisem relacji małżeńskiej rozumianej jako wspólna droga, w której miłość nie jest stanem statycznym, lecz ruchem, tańcem, ciągłym odnawianiem obecności.

Autobiograficzny wymiar tych utworów ujawnia się również w drobiazgach: w tygodniowym rytmie dni, w podróżach, w rozmowach z przedmiotami i roślinami, w czułym humorze i w momentach niepokoju. Maria bywa kapryśna, załężniona, roztańczona, skupiona, śniąca i pisząca – dokładnie taka, jaka bywa bliska osoba, widziana bez idealizacji, ale z miłością. Wiersze te pokazują, że prywatność u Stępnia nie służy autokreacji, lecz jest przestrzenią prawdy, w której poezja wyrasta z życia, a życie zostaje ocalone przez poezję. Dzięki temu cykl Marii Szalonej stanowi emocjonalne serce tomu – miejsce, w którym intymność staje się uniwersalnym doświadczeniem bliskości, a małżeństwo zostaje zapisane jako jedna z najbardziej elementarnych form wspólnego istnienia w świecie.

Kulminacją tej poetyckiej wyobraźni jest tytułowa *Wyspa tańczących kotów*. Ten obraz ma w sobie coś z dziecięcego snu, utopii, miejsca, do którego chce się uciec, ale które istnieje być może tylko w marzeniu. Tańczące koty, księżyc, senny blues – wszystko to tworzy atmosferę łagodnej melancholii. Wyspa nie jest celem podróży; jest pragnieniem, projekcją tęsknoty za światem, w którym ruch, taniec i bezruch współistnieją harmonijnie. To jeden z tych obrazów, które zostają w czytelniku na długo, nie domagając się interpretacyjnej przemocy.

Ważnym, bardzo osobistym tonem w tomie jest wiersz *Ojciec*. To krótki, ascetyczny zapis snu, w którym pojawia się wstyd, poczucie winy i nieodwracalność straty. Stępień nie rozwija tej sceny, nie tłumaczy jej psychologicznie. Wystarczy kilka wersów, by odsłonić dramat niemożności przeproszenia, który jest jednym z najbardziej uniwersalnych ludzkich doświadczeń. Ten wiersz pokazuje, że poezja Stępnia – choć często cicha i pogodna – potrafi dotykać najboleśniejszych punktów egzystencji.

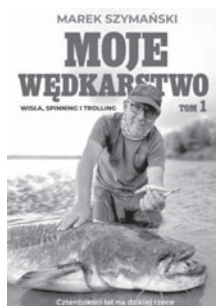
Wyspa tańczących kotów jest także książką o przyjaźni i samotności. Drzewo i pies słuchają uważnie i milczą taktownie; człowiek często nie potrafi ani jednego, ani drugiego. To gorzka, ale nie oskarżycielska diagnoza. Stępień nie traci wiary w człowieka, ale przypomina o konieczności uczenia się relacji od istot, które nie mówią – albo mówią inaczej.

Na końcu tomu pojawia się wiersz *Moja Ojczyzna*, który zamyka całość w tonie spokojnej afirmacji. Ojczyzna jako krajobraz, jako język, jako przestrzeń sprzeczności – ostrych słów i łagodnych uniesień – nie jest tu fetyszem ani ideologicznym hasłem. Jest czymś żywym, delikatnym, wymagającym troski. W tym sensie cały tom można czytać jako akt lojalności wobec świata, który mimo swojej niedoskonałości zasługuje na uważne spojrzenie.

Wyspa tańczących kotów nie jest książką, którą czyta się szybko. Jej siła polega na powolności, na zgodzie na pauzę, na przyjęciu ciszy jako pełnoprawnego elementu lektury. To poezja, która nie konkuruje o uwagę, lecz ją zaprasza. W czasach nadmiaru słów i obrazów tom Jana Stępnia jawi się jako propozycja alternatywna, a zarazem niezwykle potrzebna: powrotu do elementarnych pytań o sens, relację, obecność. Jest to książka

skromna i odważna jednocześnie, cicha, ale długotrwanie rezonująca. Jeśli istnieje jeszcze „wrażliwi ludzie”, o których mowa w pierwszym wierszu, *Wyspa tańczących kotów* z pewnością jest napisana właśnie dla nich.

Andrzej DĘBKOWSKI



Książka będąca antidotum

Marek Szymański, *Moje wędkarstwo. Wisła, spinning i trolling*, Leśniewo 2025, 395 stron.

Czasy mamy dziś takie, że to, co uznajemy za ważne i istotne, podlega nieustającej weryfikacji i podważaniu, wystarczy tylko spojrzeć na *social media*, które obdarzaliśmy przecież jeszcze niedawno wielkim zaufaniem, a okazało się, że zostaliśmy przez nie obdarci dosłownie ze wszystkiego. Z wolnego czasu, życia rodzinnego, pieniędzy, wizerunku, nawet intymności, które zgarniają giganci internetowi, nie bacząc na koszty społeczne i indywidualne, a jedynie na swoje zyski. Narasta w związku z tym debata publiczna, co dalej robić, skoro nawet dzieci mieszkają już w internecie i nijak nie zamierzają tego domu złego nigdy opuszczać. Może więc warto tu i teraz odwołać się do własnego doświadczenia, bo przecież nie zawsze tacy internetowi i facebookowi byliśmy. Co prawda nie wszyscy mają do czego wracać, ale jest jeszcze sporo ludzi, którzy kiedyś w pełni zaznawali innego życia, a nawet nadal czynią to notorycznie. I ja trochę do takich osób należę, choć z higieną internetową jest u mnie dość krucho, co kompensuję sobie podlewaniem kwiatków oraz lekturą książek, kolekcjonerstwem malarstwa polskiego, wędkarstwem i grzybobraniem oraz uprawą ogródka. Może wygląda to śmiesznie wobec zapędów potężnego Marka Zuckerberga, aby organizować mi świat od rana do wieczora, ale dla dobrego życia ważną wartością są rzeczy małe; a kto wie czy obecnie nie są remedium, żeby się *big techom* choć trochę wywinąć. I nie mam tu na myśli całkowitego rozstania, to chyba już się nie uda, ale wykrwanie sobie z codzienności enklaw, które będą nasze i tylko nasze.

Dla mnie taką enklawą jest wędkarstwo, które uprawiam od szóstego roku życia, co pieczętuje oprawiona w ramki fotografia z Ojcem, jak łowimy szczupaki na Zalewie Zegrzyńskim z zacumowanego przy brzegu statku Diana. Było to co prawda w okropnych czasach gomulłowskiego PRL-u, ale musiało mieć jakąś wartość i ogromną siłę przyciągania, bo trwam w wędkarstwie od tamtej pory i je sobie niezmiennie chwalebę. A że niestety mrozy poniżej 10 stopni Celsjusza wykluczyły w tym roku wędkowanie na lodzie i wychodzenie w morze, to spojrzawszy na nabytą w styczniu br. grubą książkę Marka Szymańskiego *Moje wędkarstwo – Wisła, Spinning i Trolling. Część 1*. I jak ją dopadłem, to już nie puściłem, męcząc co wieczór przed snem wzrok przy kolejnych Markowych opowieściach.

Kim jest red. Marek Szymański, wszyscy w wędkarskim świecie doskonale wiedzą. Wędkarz, przewodnik, wielki autorytet i to nie z kategorii tych, którzy o wodach wypowiadają się tylko dlatego, że otrzymali tłusty finanso-

wy grant z UE z zadaniem objawienia światu kolejnych urzędowych mądrości. Marek naprawdę spędził kilkadziesiąt lat swojego życia na wodzie, więc każde jego słowo ma walor osobistego ogromnego doświadczenia i przeżytej przygody. Oczywiście nie jest to literatura, ale już reportaż na pewno, choć i w literackim zakresie mamy znakomite nazwiska – Wisława Szymborska i Kornel Filipowicz wyprawiali się nad Sołę i Skawę, łowiąc świnki i klenie, Jerzy Putrament pisał o boleniach, a STS żywił się rybami złowionymi w jeziorze Nidzkim przez red. Rakowskiego. Można więc powiedzieć, że jest do czego nawiązywać – w moim przypadku była to od zawsze prenumerata „Wiadomości Wędkarskich”, teksty Mariana Paruzela, Jacka Kolendowicza, Karola Zacharczyka, czy *Życie Wielkiej Rzeki* Wiktora Ostrowskiego – kapitalny reportaż z podróży do Amazonki i jej dopływów. No i Ojciec, bez którego pasji wędkarskiej zapewne by to wszystko oklapło. Choć właściwie nie wiem, czy akurat w przypadku *Śmierci pięknych saren* Oty Pavla, będąc już licealnym młodzieńcem, nie dowiedziałem się czegoś szczególnego o sobie i Rodzicach – faktem jest, że ta piękna książka znalazła się u nas wtedy w domu w zasięgu dłoni.

Wracając jednak do Marka Szymańskiego i jego znakomitego dzieła, to powiedzmy sobie wprost, iż jest to robota chyba porównywalna jedynie z Feliksa Choynowskiego pomnikowym *Wędkarstwem na wodach polskich*, pierwsze wydanie z 1939 roku, opatrzone 156 rycinami i jedną kolorową tablicą, co było jak na tamte czasy kapitalnym osiągnięciem. U Szymańskiego samych zdjęć jest na pewno paręset, a tekst to przeplatanka gawędy, opowieści, porad i sposobów, bo przecież wędkarstwo rzeczne i morskie, które Marek nadal uprawia, jest naprawdę gigantyczną szkołą życia i dziedziną bardzo fachowej wiedzy. Mamy więc piękną kontynuację tej tradycji pisarskiej, tym bardziej cenną, że Szymański poświęca swą książkę pięknu Wisły na wszystkich jej odcinkach, także warszawskim. Wszędzie tam łowił ryby, zna rzekę jak mało kto i ma swoje zdanie na temat działalności człowieka i różnych, zarówno urzędowych, jak i ekologicznych pomysłów, co by tu jeszcze spieprzyć...

Niewątpliwie lektura *Mojego wędkarstwa* powinna przechodzić z ojca na syna, z dziadka na wnuka, jako antidotum na cały ten ohydny brud, jaki przynosi internet i tzw. media społecznościowe. Najczęściej bowiem jej lektura skutkuje po prostu pójściem na ryby, kupnem pierwszej wędki, a często złowieniem pierwszego okonia. Niby to proste, znane od dziesięcioleci, a ustawia tę wspaniałą książkę w rzędzie takich lektur, jak Eugeniusza Paukszy *Zatoka żarłocznego szczupaka* – że aż chce się wyjść z domu. Bez telefonu komórkowego i bez Tik Toka, za to z głową pełną marzeń, u boku Ojca.

Jerzy PAPUGA

FUNDUSZ WSPARCIA „RES HUMANA”

Wydawanie „Res Humana” wsparły ostatnio darowizny dokonane przez:

pana Zdzisława Błaszka z Gdyni, panią Irenę Peszkin z Koszalina,
pana Edwarda Kuczerę z Warszawy, panią Danutę Annę Siek z Wrocławia.

Bardzo serdecznie dziękujemy!

Rachunek wydawcy „Res Humana”: Fundacja Naukowa A. Frycza Modrzewskiego – Centrum Analiz Strategicznych:
nr 52 1020 5561 0000 3202 3066 0553



MAREK CHACZYK W KOLORZE

